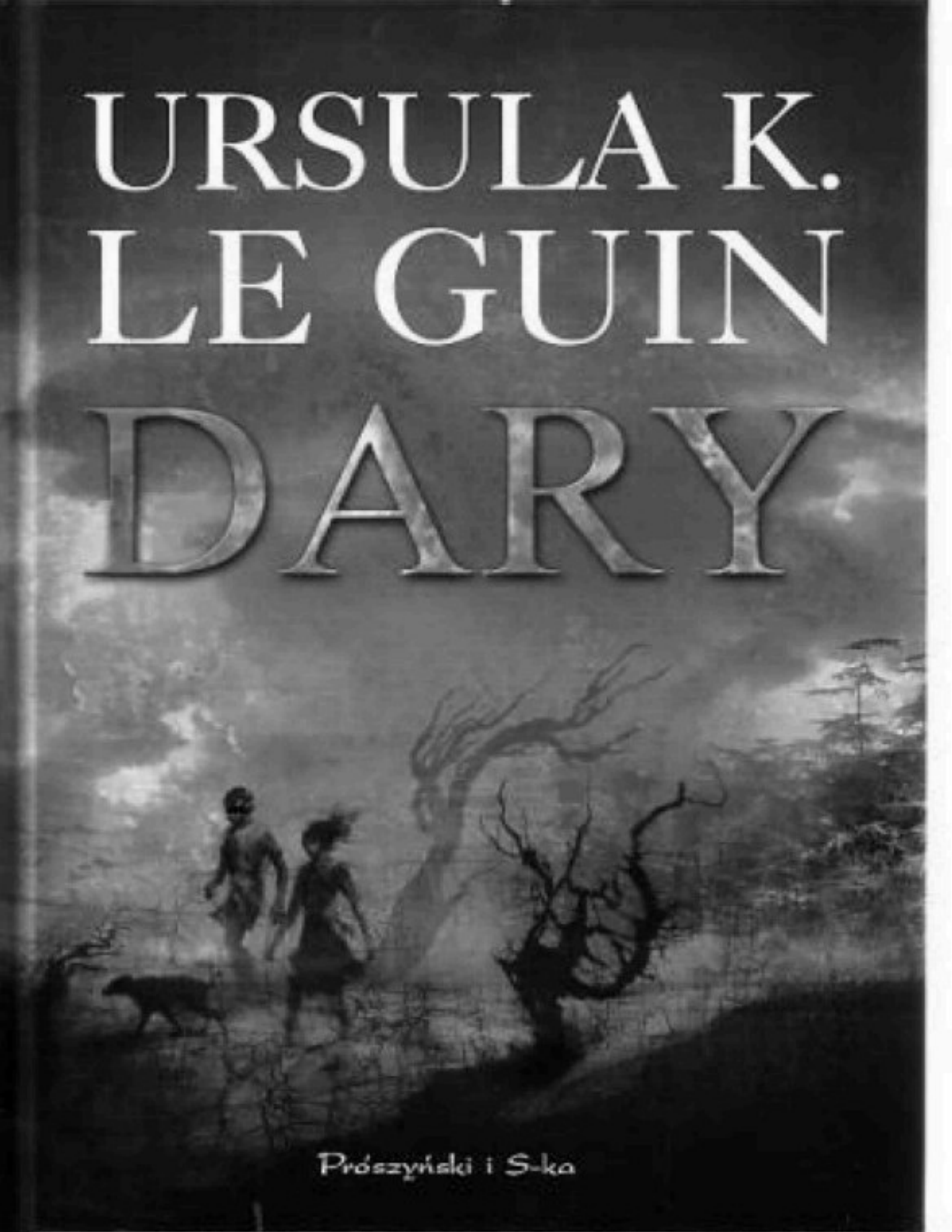


URSULA K. LE GUIN DARY



Prószyński i S-ka

URSULA K. LE GUIN

Dary

LEWA RĘKA CIEMNOŚCI

Tej samej autorki ukazały się:

WSZYSTKIE STRONY ŚWIATA

CZARNOKSIĘŻNIK Z ARCHIPELAGU

GROBOWCE ATUANU

NAJDALSZY BRZEG

TEHANU

WRACAĆ WCIAŻ DO DOMU

CZTERY DROGI KU PRZEBACZENIU

MALAFRENA

OPOWIADANIE ŚWIATA

OPOWIEŚCI ORSINIAŃSKIE

ŚWIAT ROCANNONA

MIASTO ZŁUDZEŃ

KOTOLOTKI

KOTOLOTKI Z WIZYTĄ U MAMY

OPOWIEŚCI Z ZIEMIOMORZA

DARY

Przełożyła

Maciejka Mazan

Prószyński i S-U.a

Tytuł oryginału:

GIFTS

Copyright © 2004 by Ursula K. Le Guin

AU rights reserved

Ilustracja na okładce:

Cliff Nielsen

Redakcja:

Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna:

Elżbieta Urbańska

Korekta:

Bronisława Dziejic-Wesołowska

amanie komputerowe

Aneta Osipiak

4 000318636

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

Druk i oprawa:

Drukarnia Wydawnicza im. W.L.

Anczyca S.A.

30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

1

Zjawił się u nas, zgubiwszy drogę, i boję się, że tymi srebrnymi łyżkami, które nam ukradł, nie zdołał się wykupić, gdy uciekł i zapuścił się w wysokie góry. A jednak ten zagubiony, ten zbieg, stał się naszym przewodnikiem.

Gry nazwała go zbiegiem. Kiedy się zjawił, była pewna, że dopuścił się czegoś strasznego, morderstwa lub zdrady, i ucieka przed zemstą. Co innego mogło wygnać człowieka z Nizin aż tutaj, między nas?

–Nieświadomość – powiedziałem. – Nic o nas nie wie. Nie boi się nas.

–Mówił, że tam w dole ostrzegali go, by nie wchodził między czarnoksiężników.

–Ale on nie zna się na darach – odparłem. – Dla niego to tylko gadanina. Legendy, kłamstwa...

Oboje mieliśmy rację, to pewne. Emmon na pewno uciekał, choćby tylko przed zasłużoną reputacją złodzieja lub nudą; był równie niespokojny, nieustraszony, ciekawski i niekonsekwent-

ny jak szczeniak, który biegnie tam, gdzie prowadzi go węch. Teraz, gdy sobie przypominam jego akcent i frazowanie, wiem, że pochodził z południa, ziem dalszych niż Algalanda, gdzie opowieści o Wyżynach były tylko opowieściami, starymi podaniami o dalekiej północy, gdzie czarnoksiężnicy zamieszkują lodowate góry i dopuszczają się niewyobrażalnych czynów.

Gdyby wierzył w to, co usłyszał w Dannerze, nigdy by nie przybył do Caspromantu. Gdyby uwierzył nam, nigdy by się nie zapuścił wyżej. Uwielbiał słuchać opowieści, więc i nas wysłuchał, ale nie dał wiary. Był miastowy, miał jakieś wykształcenie, przemierzył całe Niziny. Znał świat. Kim byliśmy my, ja i Gry? Co wiedzie-

liśmy, ślepy chłopiec i ponura dziewczynka, szesnastoletni, uwięzieni wśród przesądów i nędzy samotnych górskich gospodarstw, które bardzo na wyrost nazywaliśmy posiadłościami? Zachęcał –w swej leniwej życzliwości – do mówienia o naszej mocy, lecz kiedy mówiliśmy, on widział nasze surowe, twarde życie, okrutną biedę, okaleczonych i zacofanych wieśniaków, widział naszą nieznajomość niczego poza tymi mrocznymi górami i mówił sobie: Tak, tak, jakąż to wielką moc mogą mieć te biedne smarkacze? Gry i ja lękaliśmy się, że kiedy nas opuścił, poszedł do Gerechtmantu. Strach pomyśleć, że nadal może tam być, żywy, lecz zniewolony, z nogami wykręconymi jak korkociągi lub twarzą zmienioną w potworność dla rozrywki Erroya, lub też oczami, które w przeciwieństwie do moich naprawdę oślepyły. Erroy by nie ścierpiał jego beztroskiego sposobu bycia.

Zadałem sobie nieco trudu, żeby Emmona trzymać z dala od mego ojca, kiedy mełł językiem, lecz jedynie dlatego, że Canoe miał niewiele cierpliwości i ponure usposobienie, a nie z obawy, że mógłby użyć swego daru w złej sprawie. Poza tym nie zwracał uwagi na Emmona ani nikogo innego. Od śmierci matki zatonął w cierpieniu, wściekłości i rozpacz. Pielęgnował swój ból i pragnienie zemsty. Gry, która znała gniazda wszelkiego ptactwa w promieniu wielu mil, widziała raz ścierwo orła w gnieździe na Urwi-

sku. Padł, wysiadując dwa srebrne, groteskowe jaja, gdyż pasterz zabił orlicę, która przynosiła mu pożywienie. Podobnie mój ojciec wysiadywał swój ból, głodując.

Dla Gry i mnie Emmon był skarbem, świetlistą istotą, która weszła w nasz mrok. Zaspokoił nasz głód. Bo i my głodowaliśmy. Nigdy nie mieliśmy dość opowieści o Nizinach. Odpowiedział na wszystkie pytania, które zadawałem, lecz często żartobliwie, wymijająco czy tylko od niechcenia. Prawdopodobnie chciał przed nami ukryć sporą część swojej przeszłości, a zresztą nie był wnikliwym obserwatorem i precyzyjnym sprawozdawcą, jak Gry, która zastępowała mi oczy. Potrafiła dokładnie opisać nowego cielaka, jego błękitną maść, węzłaste nogi i małe futrzane wyrostki rogów, tak że i ja go prawie widziałem. Lecz kiedy prosiłem Emmona, by mi opowiedział o Gorzkowodzie, on rzekł tylko, że to żadne miasto, a targ jest nudny. A jednak wiedziałem, ponieważ opowiedziała mi o tym matka, że w Gorzkowodzie są wysokie czerwone domy i ulice jak wąwozy, że wykładane łupkiem stopnie wspinają się

z doków i przystani, gdzie przybijają i odpływają statki, że jest tam targ drobiowy i rybny, i korzenny, kadzidlany i miodowy, targ, gdzie sprzedaje się stare stroje, i taki, gdzie sprzedaje się nowe, i wielkie targi garncarskie, na które ludzie zjeżdżają się z górnego i dolnego biegu rzeki Trond, a nawet z dalekich morskich wybrzeży.

Może w Gorzkowodzie Emmonowi nie powiodło się w złodziejskim rzemiośle.

Jakiegolwiek miał powody, wolał zadawać pytania i słuchać nas z zajęciem – głównie mnie. Zawsze lubiłem mówić, jeśli tylko trafił mi się słuchacz. Nawet Gry, zwykle milczącą i nieufną, potrafił sprowokować do mówienia.

Wątpię, żeby rozumiał, jak bardzo mu się poszczęściło, że trafił na nas dwoje, lecz cenił sobie naszą gościnę i wygody podczas surowej, słotnej zimy. Litował się nad nami. Bez wątpienia się nudził. Był ciekawski.

–Więc co właściwie wyczynia ten jegomość z Geremantu, że budzi taki strach? – pytał tonem na tyle sceptycznym, bym ze wszystkich sił zapragnął mu udowodnić prawdziwość mych słów.

Lecz o tych sprawach nieczęsto się mówiło nawet wśród obdarzonych. Wydawało się, że mówienie o nich na głos jest nienaturalne.

–Dar tego rodu nazywa się skręcaniem.

–Kręcenie? Oszukiwanie?

–Nie. – Trudno było odnaleźć słowa, trudno je wypowiedzieć.

–Skręcanie ludzi.

–Wokół własnej osi?

–Nie. Ich rąk, nóg. Karków. Ciał. – Sam zacząłem się lekko skręcać, zaniepokojony tematem. W końcu dodałem: – Widziałeś starego Gonnena, tego z lasu, na Wyżynnej Górze. Mijaliśmy go wczoraj na gościńcu. Gry powiedziała ci, kto to jest.

–Zgięty wpół jak scyzoryk.

–Brantor Erroy tak go zgiął.

–Tak go pochylił? Za co?

–Za karę. Brantor twierdził, że przyłapał go na podkradaniu drewna w lesie Gere.

–Tak się objawia reumatyzm – odezwał się Emmon po chwili.

–Gonnen był wtedy młody.

–Więc nie widziałeś tego na własne oczy.

–Nie – przyznałem, dotknięty jego niewiarą. – Ale on to widział i mój ojciec. Gonnen mu powiedział. Gonnen powiedział, że

wcale nie był w Geremancie, tylko blisko granicy, w naszych lasach. Brantor Erroy go zobaczył i krzyknął, a Gonnen się przestraszył i zaczął uciekać z drwem na plecach. Upadł. Kiedy chciał wstać, grzbiet miał już wykrzywiony i zgarbiony, tak jak teraz.

Jego żona mówi, że kiedy chce się wyprostować, krzyczy z bólu.

–A w jaki sposób brantor mu to zrobił?

Emmon nauczył się tego słowa od nas; twierdził, że na Nizinach go nie znają. Brantor to pan lub pani ziem, czyli najważniejszy i najbardziej obdarzony z całego rodu. Mój ojciec był brantorem Caspromantu. Matka Gry była brantorem Barrów w Roddmancie, a jej ojciec brantorem Roddów tych posiadłości. My jesteśmy ich spadkobiercami, ich orlątkami.

Wahałem się z odpowiedzią. Emmon nie szydził, lecz nie wiedziałem, czy powinienem w ogóle mówić o mocy daru.

Odpowiedziała mu Gry.

–Wystarczyło, że spojrzał – odezwała się swoim cichym głosem. W mojej ślepcie jej głos był mi zawsze jasnym światłem poruszającym się w liściach drzewa. – 1 wskazał lewą ręką albo palcem, może też wypowiedział jego imię. A potem powiedział słowo, dwa lub więcej. I to wszystko.

–Jakie słowa?

Gry milczała; może wzruszyła ramionami.

–To dar Gerów, nie mój – odezwała się w końcu. – Nie znamy

jego reguł.

–Reguł?

–Reguł, jakich przestrzega jego dar.

–A jakich reguł przestrzega twój dar, jak działa? – spytał

Emmon, nie kpiąc, lecz kipiąc ciekawością. – Czy to ma coś wspólnego z polowaniem?

–Darem Barrów jest przywołanie – powiedziała Gry.

–Przywołanie? Kogo przywołujesz?

–Zwierzęta.

–Jelenie? – Po każdym pytaniu następowała krótka pauza, w sam raz na skinienie głowy. Wyobraziłem sobie twarz Gry, szczerą, lecz pełną dystansu. – Zające? Dziki? Niedźwiedzie? Gdybyś przywołała niedźwiedzia, a on by do ciebie przybył, co byś wtedy zrobiła?

–Myśliwi by go zabili. – Zrobiła pauzę i dodała: – Nie wzywam zwierzyny łownej.

Jej głos nie był jak wiatr w listowiu, ale jak wichur na skale.

Nasz przyjaciel na pewno nie rozumiał, o co jej chodzi, lecz jej ton mógł go nieco zmrozić. Przestał się zwracać do niej i spytał mnie:

–A ty, Orrec, jaki masz dar?

–Ten sam co ojciec – powiedziałem. – Dar Casprów jest zwany odczynianiem. I nic ci o nim nie powiem. Wybacz.

–To ty mi wybacz moją niezręczność – rzekł Emmon po krótkiej chwili milczenia, łagodnie, z wielką kurtuazją. Jego głos przypominał głos mojej matki i pod pieczęcią, która zamknęła moje oczy, zapiekły mnie łzy.

Emmon lub Gry dorzucili do ognia. Ciepło znowu otuliło moje nogi. Siedzieliśmy przy wielkim palenisku Kamiennego Domu Caspromantu, w południowym narożniku, gdzie w kamienie kominu wbudowane są głębokie ławy. Był zimny wieczór pod koniec stycznia. Wicher huczał w kominie niczym wielka sowa. Po drugiej stronie paleniska, gdzie światło jest lepsze, zgromadziły się prządki. Gwarzyły ze sobą lub mrucały długie, ciche, monotonne przedne pieśni, a my troje rozmawialiśmy w kącie.

–No, a w takim razie inne? – spytał niepoprawny Emmon.

–Może o nich mi powiesz? Inni brantorowie, z całych gór, w swoich kamiennych basztach, takich jak ta, na swoich ziemiach... jakie mają dary? Jaka jest ich moc? Czym budzą strach?

W niedowierzaniu zawsze jest wyzwanie, któremu nie potrafię się oprzeć.

–Kobiety z rodu Cordemantu mają moc oślepiania – powiedziałem – lub odbierania słuchu i mowy.

–O, to brzydko – mruknął, przez jedną chwilę poruszony.

–Niektórzy mężczyźni z Cordemantu mają ten sam dar – dodała Gry.

–Gry, a twój ojciec, brantor Roddmantu, ma dar, czy wszystko przypadło twojej matce?

–Roddowie mają dar noża.

–Czyli...

–Mogą wysłać w ludzkie serce zakłęcie noża albo poderżnąć nim gardło, zabić lub okaleczyć, jeśli tylko ofiara jest w zasięgu wzroku.

–Na wszystkie imiona wszystkich synów Chorma, a to ładna sztuczka! Śliczny dar! Cieszę się, że dziedziczysz po matce.

–Ja też – powiedziała Gry.

Dalej naciskał, a ja nie mogłem się oprzeć temu poczuciu siły, które dawało mi opowiadanie o mocy mojego ludu. Więc opowiedziałem o rodzie Olmów, którzy potrafią podpalić dowolne miejsce, jakie widzą i wskażą palcem; i o Callemach, którzy przesuwają ciężkie przedmioty słowem i gestem, nawet budynki, nawet góry; i o rodzie Morgów, którzy mają dar widzenia, tak że widzą cudze myśli... Gry wtrąciła, że tylko słabości i choroby. Zgodziliśmy się, że tak czy tak Morgowie byliby krępującymi sąsiadami, choć nie niebezpiecznymi, dlatego trzymają się na uboczu, na biednych ziemiach wysoko nad północnymi dolinami i nikt nie wie o nich nic z wyjątkiem tego, że hodują dobre konie. Potem powiedziałem mu, co słyszałem przez całe życie o rodach z wielkich posiadłości. Helvarmant, Tibromant, Borremant, panowie z Carrantagów, wysoko w górach na północnym wschodzie. Dar Helvarów nazywa się oczyszczeniem i przypomina dar mojego rodu, więc nie powiedziałem o nim nic więcej. Dary Tibrow i Borrów nazywają się wodzami i miotłą. Mężczyzna z Tibromantu może odebrać ci wolę i zmusić, byś był mu posłuszny; to właśnie wodze. A kobieta z Borremantu może ci zabrać umysł i zostawić cię, bezmyślnego idiotę, bez mózgu i mowy – to miotła. Dokonać tego można, jak wszystkiego w przypadku takiej mocy, spojrzeniem, gestem, słowem.

Lecz o tych mocach tylko słyszeliśmy, tak samo jak Emmon.

Tu, na Wyżynach, nie było nikogo z wielkich rodów, a brantorzy Carrantagów nie zadają się z nami, ludkiem z małych posiadłości, choć od czasu do czasu zjeżdżają z gór po brańców.

–Walczyście z nimi nożami, ogniem i tak dalej – powiedział

Emmon. – Teraz rozumiem, dlaczego mieszkacie tak rozproszeni!

A lud z zachodu, o którym wspomniałeś, z wielkich posiadłości...

Drummantu, tak? W jaki sposób ich brantor was unieszczęśliwia?

Chciałbym się tego dowiedzieć, zanim spotkam jegomościa.

Milczałem.

–Darem brantora Ogge jest powolne wycieńczenie – powiedziała Gry.

Emmon się roześmiał. Nie mógł wiedzieć, że z tego śmiać się nie należy.

–Jeszcze gorzej! Cofam to, co powiedziałem o tych jasnowidzących, którzy znają twoje słabości. Ten dar jednak może się przydać.

–Nie w czasie napadu – stwierdziłem.

–Czy zatem wasze rody zawsze ze sobą walczą?

–Oczywiście.

–Po co?

–Jeśli nie walczysz, zostaniesz podbity, a twój ród wygaśnie.

–Potraktowałem jego niewiedzę dość wyniośle. – Dary, moce po to zostały nam dane, byśmy mogli bronić swych posiadłości i zachować czystość rodu. Gdybyśmy nie umieli się bronić, stracilibyśmy dar. Pokonałyby nas inne rody i zwykli ludzie albo nawet calluowie... – urwałem. Powstrzymało mnie to słowo, pogardliwe określenie mieszkańców Nizin, ludu bez żadnego daru; słowo, którego nigdy w życiu nie wypowiedziałem na głos.

Moja matka była callucą. Tak ją nazywano w Drummancie.

Usłyszałem, jak Emmon grzebie patykiem w popiele. Po chwili rzekł:

–Więc te moce, te dary są dziedziczone, przechodzą z ojca na syna, jak na przykład zadarty nos?

–I z matki na córkę – odpowiedziała Gry.

–Wobec tego wszyscy musicie się pobierać z krewniakami, by dar pozostał w rodzinie. Rozumiem. Czy jeśli nie znajdziesz małżonka w rodzie, dar wygasa?

–W Carrantagach nie ma tego problemu – tłumaczyłem.

–Ziemia jest tam bardziej urodzajna, posiadłości są większe, wię-

cej na nich ludzi. Brantor może mieć w swojej posiadłości kilkanaście rodzin ze swojego rodu. Tu rody są nieliczne. Dar słabnie, jeśli zbyt wielu małżonków pochodzi spoza rodu. Lecz potężny dar się odradza. Z matki na córkę, z ojca na syna.

–Więc smykałkę do zwierząt przekazała ci twoja matka,

brantora – użył żeńskiej formy tego słowa, które zabrzmiało idio-

tycznie. – A dar Orreca pochodzi od brantora Canoca i o niego nie

będę pytać. Ale czy zechcesz mi powiedzieć – przecież pytam jako

przyjaciel – czy urodziłeś się ślepy? Czy też czarnoksiężnicy z Cor-

demantu, o których opowiadałeś, uczynili ci to w złości albo z ze-

msty czy podczas napaści?

Nie wiedziałem, jak ominąć to pytanie i nie miałem na nie

połowicznej odpowiedzi.

–Ojciec zapieczętował mi oczy.

–Ojciec?! Ojciec cię oślepił?!

Przytaknąłem.

Zrozumienie, że życie każdego człowieka jest historią, pomaga dobrze je przeżyć. Jednak nieroztropnie jest sądzić, że wiesz, jak się potoczy albo skończy. To wiadomo dopiero wtedy, gdy dobiegnie kresu.

A nawet gdy dobiegnie kresu, nawet kiedy jest to życie kogoś, kto żył sto lat temu, czyją historię słyszałem raz po raz, i tak przysłuchując się, doznaję nadziei i lęku, jakbym nie znał zakończenia; i tak ja przeżywam historię, a ona odżywa we mnie. To dobry sposób na przechytrzenie śmierci. Śmierć myśli, że to ona kończy wszystkie historie. Nie rozumie, że kończą się nią, lecz nie z nią.

Historie innych mogą się spleść z twoją, stać się jej fundamentem, podstawą. Tak było z historią mego ojca o Ślepym Bran-
torze – i jego historią napaści na Dunet; tak było z historiami mo-
jej matki o Nizinach i czasach, kiedy Cumbelo był królem.

Kiedy myślę o swoim dzieciństwie, wchodzę do komnaty Kamiennego Domu, znajduję się na siedzeniu przy palenisku, na błotnistym dziedzińcu lub w czystych stajniach Caspromantu; jestem w warzywniku, gdzie matka zbiera fasolę, lub przy palenisku w okrągłej komnacie na wieży. Jestem z Gry na wzgórzach. Jestem w świecie historii, które nie mają końca.

Długa, mocna laska z cisowego drewna, tylko z grubsza ocio-

sana, lecz przy uchwycie wyślizgana i czarna od długiego używania, wisiała przy drzwiach Kamiennego Domu, w ciemnym korytarzu – laska Ślepego Caddarda. Nie wolno było jej dotykać. Kiedy się o tym dowiedziałem, sięgała mi wysoko nad głowę. Wykradałem się potajemnie, by potrzymać ją choć trochę – dla samego

dreszczyku emocji, ponieważ było to zakazane, ponieważ była to tajemnica.

Sądziłem, że brantor Caddard był ojcem mego ojca, gdyż moje zrozumienie nie sięgało głębiej w historię. Wiedziałem, że mój dziad nazywał się Orrec. Dostałem imię po nim. Dlatego uznałem, że mój ojciec miał dwóch ojców. Pogodziłem się z tym bez trudu, jedynie z zainteresowaniem.

Byłem w stajni z ojcem, doglądaliśmy koni. Canoe nie pozwoliłby ich żadnemu słudze, a mnie zaczął przyuczać do pomocy, odkąd skończyłem trzy lata. Stałem na zydelku, wyczesując zimowe włosie dereszowatej klaczy.

–Dlaczego nazwałeś mnie imieniem tylko jednego twojego ojca? – spytałem ojca, który zajmował się w sąsiednim boksie wielkim siwym ogierem.

–Miałem tylko jednego ojca, którego imieniem mogłem cię nazwać – odparł. – Jak większość przyzwoitych ludzi.

Nie śmiał się często, ale widziałem jego powściągliwy uśmiech.

–Więc kim był brantor Caddard? – Zanim odpowiedział, sam się domyśliłem. – Ojcem twojego ojca?

–Ojcem ojca ojca ojca – powiedział Canoe za chmurą zimowego włosia i pyłu, które wyczesywał z Siwosza. Ja z zapalem szarpalem, czochrałem i tarosiłem sierść klaczy, dzięki czemu do

oczku, nosa i ust naleciało mi paprochów, na grzbiecie Dereszy pojawiła się łąta biało-rudej wiosennej maści wielkości mojej dłoni, a klacz zarżała z zadowoleniem. Była jak kocica – kiedy ją pieściłęś, tuliła się do ciebie. Odpychałem ją ze wszystkich sił i pracowałem dalej, starając się powiększyć jasną łątę. Za dużo było tych ojców, żebym się w nich połapał.

Ten jedyny, którego miałem, stanął przed boksem klaczy, otarł twarz i patrzył, co robię. Pracowałem jak szalony, popisywałem się, szarpałem zgrzeblem ze zbyt wielkim rozmachem, by coś zdziałać, ale ojciec nawet o tym nie wspomniał.

–Caddard miał dar większy niż ktokolwiek w naszym rodzie czy gdziekolwiek w górach na zachodzie. Największy, jaki otrzymaliśmy. Jaki jest dar naszego rodu, Orrec?

Przestałem pracować, zszedłem z zydelka, ostrożnie, bo dla mnie była to wielka odległość, i stanąłem przed ojcem. Kiedy wypowiedział moje imię, prostowałem się, nieruchomiałem i zwracałem się ku niemu. Robiłem tak, odkąd pamiętam.

–Naszym darem jest odczynianie – powiedziałem.

Skinął głową. Zawsze traktował mnie łagodnie. Nie bałem się krzywdy z jego ręki. Posłuszeństwo wobec niego było trudną, dojmującą przyjemnością. Nagrodą było mi jego zadowolenie.

–Co to znaczy?

Odpowiedziałem tak, jak mnie nauczył:

–Oznacza to moc odczyniania, odwracania, unicestwiania.

–Czy widziałeś, żebym korzystał z tej mocy?

–Widziałem, jak roztrzaskałeś misę.

–Czy widziałeś, jak wykorzystuję ten dar przeciwko żywemu stworzeniu?

–Widziałem, jak sprawiłeś, że wierzbowy witek stał się krucho i czarna.

Miałem nadzieję, że na tym poprzestanie, ale nie był to punkt, w którym pytania ustawały.

–Czy widziałeś, jak wykorzystuję tę moc przeciwko żywemu zwierzęciu?

–Widziałem, jak sprawiłeś... że... szczur umarł.

–Jak umarł? – Jego głos był cichy i nieustępliwy.

Było to w zimie. Na dziedzińcu. Szczur w pułapce. Młody szczur. Dostał się do beczki na deszczówkę i nie potrafił się wydostać. Pierwszy zobaczył go Darre zamiatacz. Ojciec powiedział:

„Podejź tu, Orrec”, i podszedłem. Powiedział: „Bądź cicho i patrz”. Tak wyciągnąłem szyję, że zobaczyłem szczura pływającego w wodzie. Ojciec stanął nad beczką, spojrział w nią nieruchomo. Poruszył ręką, lewą, i powiedział lub wyszeptał coś ostro. Szczur szarpnął się raz, wzdrygnął i uniósł na wodzie. Ojciec go wyłowił. Szczur leżał mu na dłoni całkowicie bezwładny, bezkształtny, jak mokra szmatka, nie szczur. Ale widziałem ogon i łapki z małutkimi pazurkami.

–Dotknij go – powiedział ojciec. Dotknąłem. Szczur był mięki, nie miał kości, przypominał mały, na wpół opróżniony bukłak z cienkiej mokrej skóry. – Jest odczyniony – powiedział ojciec, patrząc mi w oczy, a wtedy bałem się jego oczu.

–Odczyniłeś go – powiedziałem teraz, w stajni, z suchymi oczami, bojąc się oczu mego ojca.

Skinął głową.

–Mam taką moc – rzekł. – Ty też. A gdy będzie w tobie wraść, nauczę cię z niej korzystać. Jak używa się twojego daru?

–Okiem, ręką, oddechem i wolą – powiedziałem, tak jak mnie nauczył.

Przytaknął z zadowoleniem. Nieco odetchnąłem, ale on nie.

Egzamin jeszcze się nie skończył.

–Spójrz na ten kołtun.

Na podłodze u moich stóp, pomiędzy słomą leżał niewielki supełek końskich włosów. Wyczesalem go z grzywy klaczy i rzuciłem na podłogę. Początkowo myślałem, że ojciec chce mnie zganić za niechlujstwo.

–Spójrz na niego. Tylko na niego. Nie odwracaj spojrzenia.

Skieruj na niego oczy.

Uśluhałem.

–Porusz ręką... tak.

Ojciec stanął za mną i łagodnie, ostrożnie poruszył moją lewą dłoń, aż złączone palce wskazały zlepek błota i włosów.

–Tak zatrzymaj. A teraz powtarzaj za mną. Samym oddechem, lecz nie głosem. Powiedz to. – Wyszeptał coś, co nie miało dla mnie znaczenia, i wyszeptałem to po nim, wskazując ręką tak, jak mi kazał, gapiąc się na kołtun włosów.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem Deresza zarżała i stuknęła kopytem, a ja usłyszałem wicher przed drzwiami stajni. Kołtun ubłoconych włosów na podłodze lekko się poruszył.

–Rusza się! – zawołałem.

–Wiatr go przesunął – powiedział ojciec łagodnie. Zmienił pozycję, przeciągnął ramiona. – Zaczekaj trochę. Jeszcze nie masz sześciu lat.

–Ty to zrób, ojciec – poprosiłem zły, pełen urazy. – Ty go odczyń!

Ledwie się poruszył, ledwie usłyszałem jego oddech. Splątany kłębek na podłodze rozchylił się w obłoczku kurzu i po chwili ujrzałem tylko parę długich, rudawokremowych włosów.

–Moc do ciebie przyjdzie – rzekł Canoe. – Dar naszego rodu jest silny. Ale w Caddardzie był najsilniejszy. Usiądź tutaj. Jesteś już na tyle duży, że możesz poznać jego historię.

Przycupnąłem na zydelku. Ojciec stanął w drzwiach boksu, chudy, wyprostowany, śniady, z gołymi nogami, w grubym czarnym kilcie i płaszczu, o oczach ciemnych i błyszczących w masce stajenego brudu. Ręce także miał brudne, ale były to silne, szlachetne dłonie, pewne, pozbawione niepokoju. Głos miał cichy. Wolę silną.

Opowiedział mi historię Ślepego Caddarda.

–Caddard ujawnił swój dar wcześniej niż jakikolwiek syn naszego rodu i wszystkich z wyjątkiem największych rodzin z Car-rantagów. Miał trzy lata, gdy pod jego spojrzeniem zabawki roz-padały się na kawałki, rozsypywały się węzły. Jako czterolatek posłużył się mocą przeciwko psu, który skoczył na niego i go wy-straszył. I unicestwił psa. Tak jak ja unicestwiłem szczura.

Zaczekał, aż skinąłem głową.

–Służba się go bała, a matka mówiła: „Póki jego wola to wo-la dziecka, jest dla nas wszystkich zagrożeniem, nawet dla mnie”.

Była z naszego rodu, spokrewniona ze swoim mężem Orrekiem.

Usłuchał jej ostrzeżenia. Na trzy lata zasłonili oczy dziecka banda-żem, by nie mogło wykorzystywać mocy wzroku. I przez cały czas go uczyli. Tak jak ja uczę ciebie. W nagrodę za całkowite posłu-szeństwo miał odzyskać wzrok. Bardzo się starał korzystać z daru jedynie podczas ćwiczeń, kierując go przeciwko rzeczom nieprzy-datnym i bez wartości.

W dzieciństwie tylko dwa razy zademonstrował swoją moc.

Raz, kiedy brantor Drummantu rabował bydło z różnych posiadło-ści, zaproszono go do Caspromantu i pokazano, jak Caddard, wów-czas dwunastoletni, odczynia stado dzikich gęsi. Jednym spojrze-niem i gestem strącił je z nieba. Zrobił to z uśmiechem, jakby dla

rozrywki gościa. „Silne oko”, rzekł Drum. I nie ukradł nam bydła.

Potem, kiedy Caddard miał siedemnaście lat, z Carrantagów przyjechała zbrojna grupa pod wodzą brantora Tibromantu.

Chcieli pojmać mężczyzn i kobiety do pracy na nowych polach na wyrębie. Nasi ludzie przybiegli do Kamiennego Domu, szukając ratunku z obawy, że do końca swych dni będą harować dla brantora, posłuszni nie swojej, lecz jego woli. Ojciec Caddarda, Orrec, miał nadzieję, że odeprze napastników w Kamiennym Domu, lecz Caddard, nie wtajemniczając go w swoje plany, wybrał się na samotną wyprawę. Trzymając się na obrzeżach lasu, wypatrzył paru ludzi z gór i ich odczytał.

Spojrzałem na szczura. Miękki skórzany woreczek.

–Poczekaj, aż inni górale znajdą ciała – opowiadał dalej ojciec. – Wówczas stanął na wzgórzu pod białą flagą, stanął przed Długim Kopcem całkiem sam. Zawołał do najeźdźców: „Uczyniłem to z odległości mili lub większej!”. Zawołał do nich przez dolinę, a oni ukryli się za wielkimi głazami Kopca. „Skały nie zasło-

nią was przede mną!". I unicestwił głaz Kopca. Ukrył się za nim brantor Tibromantu. Głaz roztrzaskał się, rozpadł na okruchy i pył. „Moje oko jest silne”, powiedział Caddard.

Zaczekał na ich odpowiedź. „Twoje oko jest silne”, rzekł Tibro. A Caddard spytał: „Przybyliście tu na poszukiwanie sług?”.

Tibro odparł: „Potrzebujemy ludzi, tak”. Na to Caddard: „Dam wam dwóch naszych, by dla was pracowali, lecz jako słudzy, nie w okowach”. Brantor odrzekł: „Jesteś hojny. Przyjmiemy twój dar i dotrzymamy warunków”. Caddard wrócił do domu, wybrał dwóch młodych chłopów z różnych gospodarstw, zaprowadził do górali i oddał w ich ręce. Potem rzekł do Tibra: „Teraz wracajcie w swoje góry, a ja nie pójdę za wami”.

Odeszli i od tego dnia nikt z Carrantagów nie przekroczył naszej zachodniej granicy. I tak w całych Wyżynach stało się głośno o Caddardzie Silnookim.

Ojciec przerwał, żebym mógł się zastanowić nad tym, co usłyszałem. Po chwili spojrzałem na niego, sprawdzając, czy mogę zadać mu pytanie. Tak mi się wydawało, więc spytałem:

–Czy ci młodzi chłopci z naszej posiadłości chcieli iść do Tibromantu?

–Nie. A Caddard nie chciał ich oddawać innemu panu i traścić ręce do pracy. Lecz jeśli zademonstruje się siłę, należy ofiaro-

wać dar. To ważne. Zapamiętaj. Powtórz, co powiedziałem.

–Ważne jest, by demonstrując siłę, ofiarować również dar.

Ojciec pokiwał twierdząco głową.

–Dar daru – powiedział cicho i sucho. – A więc po jakimś czasie stary Orrec wyjechał z żoną i swymi ludźmi do naszych górskich gospodarstw, a Kamienny Dom zostawił swemu synowi Caddardowi, który został brantorem. I posiadłość rozkwitła.

Powiadają, że w tamtych czasach na Skalistych Wzgórzach mieliśmy tysiąc owiec. A nasze białe bydło służyło w okolicy. W owych dniach ludzie zjeżdżali się po nie aż z Dunetu i Danneru. Caddard poślubił kobietę z Barrów z Drummantu, Semedan, i było to huczne wesele. Drum też ją chciał dla swego syna, lecz Semedan go odrzuciła, pomimo całego bogactwa, i wyszła za Caddarda. Na wesele zjechali się ludzie ze wszystkich posiadłości na zachodzie.

Canoe umilkł. Klepnął dereszowatą klacz po zadziera ona trzepnęła splątanym ogonem. Zastukała kopytami i trąciła ijłhje, bym znowu się zabrał do czesania.

–Semedan miała dar swojego rodu. Chodziła z Caddardem na polowania i przyzywała do niego jelenie, łosie i dziki. Urodziła im się córka Assal i syn Canoe. Dobrze im się żyło, lecz po jakimś czasie nadeszła surowa zima, potem zimne, suche lato i zabrakło trawy dla stad. Zapanował nieurodzaj. Na nasze białe bydło padła zaraza. W jeden sezon straciliśmy wszystkie najpiękniejsze sztuki. Ludzie także zaczęli chorować. Semedan urodziła

martwe dziecko, a potem długo nie mogła odzyskać sił. Susza trwała rok i drugi. Wszystko się psuło. Lecz Caddard był bezradny. Nie miał wpływu na te sprawy. Więc żył w gniewie.

Patrzyłem ojcu w twarz. Malował się na niej smutek, gniew, przerażenie. Jego jasne oczy widziały tylko to, o czym mówił.

–Lud Drummantu dowiedział się o naszych nieszczęściach i znowu zaczął nas napadać. Z zachodnich pastwisk zrabowano dobre konie. Caddard ruszył w ślad za złodziejami i dogonił ich w pół drogi do Drummantu. W furii nie panował nad swoją mocą. Unicestwił ich wszystkich, sześciu mężów. Jednym z nich był bratanek brantora Drummantu. Drum nie mógł się domagać prawa pomsty, gdyż jego ludzie zostali przyłapani na kradzieży, mieli ze sobą skradzione konie. Lecz między naszymi posiadłościami zapanowała nienawiść.

Ludzie zaczęli się Caddarda bać. Kiedy pies go nie posłuchał, on go unicestwiał. Jeśli na polowaniu nie trafiał do celu, niszczył zarośla, w których kryła się zwierzyna, zostawiał jedynie czarne zgliszcza. Raz jeden pasterz z górskich pastwisk odezwał się do niego bezczelnie, a Caddard w gniewie okaleczył mu ramię i dłoń. Dzieci lękały się nawet jego cienia.

W złych czasach rodzą się kłótnie. Caddard nakazał żonie, by jeździła z nim na polowanie. Odmówiła, tłumacząc, że jest niezdrowa. On rozkazał: „Pójdź. Muszę zapolować, w domu nie ma mięsa”. Odrzekła: „Więc jedź na polowanie. Ja z tobą nie pójdę”.

**I odeszła ze służącą, którą lubiła, dwunastoletnią dziewczynką,
niańką dzieci. Caddard w porywie gniewu stanął przed nimi. „Rób,
co mówię!”, krzyknął i okiem, ręką, oddechem i wolą uderzył
dziewczynkę. Upadła tak, jak stała – unicestwiona, odczyniona.
Semedan uklękła nad nią i ujrzała, że dziewczynka nie żyje.
Wówczas podniosła się znad jej ciała i stanęła przed Caddardem.
„Nie masz odwagi, żeby uderzyć we mnie?”, spytała szyderczo.
A on w swej furii uderzył.**

Domowi byli świadkami i wszystko widzieli. Dzieci krzyczały i z płaczem chciały podbiec do matki, ale kobiety je powstrzymywały.

Potem Caddard wyszedł z sali do komnaty żony, a nikt nie ośmielił się iść za nim.

Gdy pojął, co uczynił, pojął także, co uczynić musi. Nie mógł już ufać, że siłą woli zdoła opanować swój dar. Dlatego się oślepił.

Kiedy Canoe opowiedział mi tę historię po raz pierwszy, nie powiedział, w jaki sposób Caddard odebrał sobie wzrok. Byłem za mały, zbyt przestraszony i oszołomiony tą straszną historią, by pytać czy się nad tym zastanawiać. Potem, gdy już podrosłem, spytałem, czy Caddard zrobił to sztyletem. Nie, powiedział Canoe. Odczynił swój dar za pomocą samego daru.

Pomiędzy rzeczami Semedan znajdowało się szklane zwierciadło w srebrnej ramie o kształcie wygiętego w łuk łososia. Kupcy, którzy przybywali z Dunetu i Danneru po bydło i wełniane tkaniny, czasami przywozili osobliwości i towary zbyt kowne.

W pierwszym roku małżeństwa Caddard oddał białego byka za to lustro dla młodej żony. Teraz ujął je i spojrział. Zobaczył swoje oczy. Ręką, oddechem i wolą uderzył w nie swoją mocą. Szkło się rozprysło, a on oślepił.

Nikt nie domagał się na nim pomsty za śmierć żony i dziew-

czynny. Choć oślepiiony, pełnił funkcję brantora Caspromantu, póki nie przyuczył syna do korzystania z mocy. Potem Canoe został brantorem, a Ślepy Caddard odszedł w góry, gdzie aż do śmierci mieszkał wśród pasterzy.

Nie podobało mi się to smutne i przerażające zakończenie.

Kiedy usłyszałem je po raz pierwszy, wkrótce niemal całe wyrzuciłem z pamięci. Podobała mi się pierwsza część, o chłopcu i jego potężnym darze, którym przerażał własną matkę, i o dzielnym młodzieńcu, który pokonał wroga i ocalił swoje posiadłości. Kiedy wybierałem się samotnie w góry, byłem Caddardem Silnookim.

Setki razy wzywałem przerażonych górali, krzychałem: „Zrobiłem to z odległości mili!”, i roztrzaskiwałem głaz, za którym się chowali, a oni wracali ze wstydem do domu. Pamiętałem, jak ojciec ujął i ustawił moją rękę, i raz po raz wlepiąłem spojrzenie w kamień, i tak samo trzymałem rękę, dokładnie tak samo – ale nie potrafiłem sobie przypomnieć słowa, które ojciec do mnie szepnął, jeśli to było słowo. „Oddechem, nie głosem”, powiedział. Prawie je pa-

miętałem, a jednak nie słyszałem jego dźwięku, nie czułem, żeby moje wargi i język je uformowały, jeśli je uformowały. Niemal udawało mi się je wypowiedzieć, ale nie wypowiadałem. Potem, zniecierpliwiony, syczałem jakieś dźwięki bez znaczenia i udawałem, że skała się poruszyła, roztrzaskała, rozpadła na pył i okruszki, a ludzie z gór korzyli się przede mną, gdy mówiłem: „Mam silne oko!”.

Wtedy chodziłem obejrzyć skałę i raz czy dwa byłem pewien, że pojawiło się na niej pęknięcie lub rysa, której tam nie było.

Czasami, kiedy znudziłem się już byciem Caddardem Silnokim,

stawałem się jednym z wieśniaków, których oddał ludziom

z gór. Uciekałem z niewoli dzięki sprytnym fortelom i znajomości

lasu, myliłem pogoń, a ścigających prowadziłem na bagna, które

znałem, a oni nic o nich nie wiedzieli, po czym wracałem do Cas-

promantu. Dlaczego miałby woleć odrabiać pańszczyznę w Caspro-

mancie, skoro uciekł przed nią z Tibromantu? Nie wiedziałem. Ni-

gdy nie przyszło mi do głowy, żeby spytać. Prawdopodobnie tak

postąpiłby wieśniak: wróciłby do domu. Naszym chłopom i paste-

rzom wiodło się niemal tak dobrze jak nam w Kamiennym Domu.

Dzieliliśmy jeden los. Nie trzymał ich przy nas pokolenie za poko-

leniem strach przed naszą mocą. Nasza moc ich chroniła. Bali się

raczej tego, czego nie znali, trzymali się tego, co znane. Wiedzia-

łem, gdzie bym poszedł, gdybym uciekł z wrogiej niewoli. Wiedziałem, że na całych Wyżynach ani w szerokim, jasnym, nizinnym świecie, o którym opowiadała mi matka, nie ma takiego miejsca, które pokochałbym tak, jak kochałem te nagie góry i rzadkie lasy, skały i bagna Caspromantu. I nadal to wiem.

Inna wspaniała opowieść mojego ojca dotyczyła najazdu na Dunet i podobała mi się od początku do końca, bo miała najszcześliwsze z możliwych zakończeń. Kończyła się mną.

Ojciec był wówczas kawalerem, który szukał żony. W posiadłościach Cordów i Drumów mieszkali potomkowie naszego rodu.

Mój dziadek dołożył starań, żeby utrzymać dobre stosunki z Cordami, i usiłował naprawić dawne urazy między Casprami i Drumami. Nie brał udziału w napadach na nich, nie pozwalał swoim ludziom kraść im bydła ani owiec; wynikało to z więzi z tymi posiadłościami, a także nadziei, że jego syn może znaleźć w nich żonę. Nasz dar przechodzi z ojca na syna, ale nikt nie wątpił, że matka z prawdziwego rodu przyczyni się do wzmocnienia daru. Więc skoro w naszej rodzimej posiadłości nie było dziewczyny o czystym pochodzeniu, zwróciliśmy wzrok na Cordemant, gdzie mieszkali liczni młodzieńcy z naszej rodziny, lecz tylko jedna panna na wydaniu. Była o dwadzieścia lat starsza od Canoca. Takie małżeństwa zawierano dość często – wszystko, byle tylko „zachować dar”. Ale Canoe się wahał, a zanim Orrec zdążył go zmusić, brantor Ogge z Drummantu zażądał tej kobiety dla swojego najmłodszego. Cordowie tańczyli, jak im Ogge zagrał, więc mu ją dali.

Wówczas kandydatki na żonę pozostało nam szukać tylko pomiędzy Casprami z Drummantu. Były tam dwie panny, które mo-

głyby się nadać, musiały tylko podrosnąć. Chętnie by weszły do rodzimej posiadłości ich rodu. Jednak stara waśń Drumów i Casprów nadal żyła w pamięci brantora Ogge'a. Odrzucił propozycję Orreca, wyśmiał jego ofertę i wydał dziewczęta w wieku czternastu i piętnastu lat, jedną za gospodarza, drugą za pańszczyźnianego chłopca.

W ten sposób z premedytacją znieważył dziewczęta i ich rody, a co gorsza, znacznie osłabił nasz dar. Postąpił arogancko. Uczciwa walka darów to jedno, a niegodny atak na sam dar to coś zupełnie innego. Jednak Drummant był bardzo potężną posiadłością i brantor Ogge poczynął sobie w niej wedle uznania.

I tak Canoe nie znalazł oblubienicy z krwi Casprów. Jak mi powiedział, „Ogge wybawił mnie przed staruszką z Cordemantu i tymi biednymi dziobatymi dziewuszykami z Drummantu. Więc rzekłem do ojca: «Wezmę brankę»”.

Orrec sądził, że syn chce najechać niewielkie posiadłości w Dolinach albo na północy w Morgamancie, słynące ze szlachetnych koni i pięknych kobiet. Ale Canoe miał śmielsze zamiary.

Zebrał oddział krzepkich młodych chłopów z Caspromantu, paru Casprów z Cordemantu i Ternoca Rodda, a także młodych mężczyzn z innych posiadłości, którym uśmiechało się polowanie na brańców i łupienie gospodarstw. Spotkali się pewnego majowego poranka na Rozdrożu pod Urwiskiem i ruszyli wąską dróżką w dół na południe.

Od siedemdziesięciu lat nikt nie najechał Nizin.

Chłopi byli ubrani w sztywne, grube skórzane kapoty i hełmy z brązu, nieśli włócznie, maczugi i długie sztylety na wypadek, gdyby doszło do starcia. Mężczyźni z rodów mieli na sobie kilty

**i płaszcze z czarnego filcu, jechali z obnażonymi nogami i głowami, z długimi czarnymi włosami spiętymi lub splecionymi w war-
kocze. Nie mieli broni prócz myśliwskich noży i oczu.**

**–Kiedy ujrzałem naszą kompanię, pożałowałem, że najpierw
nie ukradłem jakichś koni Morgów – mówił Canoe. – Wyglądalibyś-
my zacie, gdyby nie chabety moich towarzyszy. Ja miałem Kró-
la... – Król był ojcem Dereszki, pamiętałem tego wysokiego kasz-
tana. – ...ale Ternoc jechał na szkapinie prosto od pługa, a Barto
dosiadał ślepego na jedno oko srokacza. O reszcie szkoda gadać.
Muły wyglądały niczego, trzy najlepsze, jakie miał ojciec. Prowa-
dziliśmy je ze sobą. Mieliśmy na nich przywieźć łupy.**

**Roześmiał się. Opowiadając tę historię, zawsze miał dobry hu-
mor. Wyobrażam sobie ten mały hufiec, poważnych jasnookich
młodzieńców na człapiących koniach, zjeżdżających w szeregu wąs-
ką, kamienistą i zarośniętą trawą ścieżką, prosto z Wyżyn w świat
u ich stóp. Za nimi wznosiła się góra Airn i szare turnie Barrica gó-
rującego nad całymi Carrantagami, potężnego i w białej koronie.**

Przed nimi jak okiem sięgnąć rozpościerały się trawiaste wzgórza – zielone jak beryl, mawiał mój ojciec, a jego oczy spoglądały wstecz, ku wspomnieniu tamtej żyznej, pustej krainy.

Pierwszego dnia drogi nikogo nie spotkali, nie zobaczyli żadnych śladów ludzkiej obecności, ani bydła, ani owiec, tylko przepiórki i krążące w górze jastrzębie. Mieszkańcy Nizin zostawili szeroki pas pustkowiec między sobą i górskim ludem. Jeźdźcy przez cały dzień podróżowali stępą, dostosowując się do kroku ślepego konia Barta. Nocowali pod gołym niebem. Dopiero późnym rankiem następnego dnia zobaczyli owce i kozy na wzgórzach ogrodzonych kamiennymi murkami, potem daleką chatę i młyn w dolinie nad strumieniem. Ścieżka zmieniła się w gościniec, a później w trakt pomiędzy ornymi polami, aż wreszcie ujrzeli przed sobą osnute dymem i czerwieniące się dachami na słonecznym zboczu miasto Dunet.

Nie wiem, jak mój ojciec planował tę napaść – nagły, brutalny atak wojowników, rzucających się na przerażonych mieszczan, czy budzący strach wjazd do miasta i żądanie poparte groźbą straszliwej i nadprzyrodzonej mocy. Jakkolwiek było, wprowadził swoich ludzi do miasta i na ulicę nie w galopie, z wrzaskiem i potrząsaniem bronią, lecz dostojnie, w szyku. I tak przeszli niemal niezauważeni pomiędzy tłumami, stadami, wozami i końmi

w dzień targowy, aż znaleźli się na głównym placu i rynku, gdzie ludzie nagle ich dostrzegli i zaczęli krzyczeć: „Ludzie z gór! Czarnoksiężnicy!”. Niektórzy uciekali lub zamykali drzwi, inni biegli ratować swój towar, a uciekającym na drodze stanęli ciekawscy biegnący sprawdzić, co się dzieje. Wszędzie zapanowała panika i rozgardiasz, przewracały się stragany, wleczono po ziemi płócienne daszki, przerażone konie wierzgały i tratowały, gospodarze z Caspromantu podnosili włócznie i maczugi na sklepikarki i blacharzy. Canoe krzyczał do nich w środku tego zamieszania, groził użyciem mocy nie ludziom z miasta, lecz własnym towarzyszom, aż zgromadzili się wokół niego, ukrywając łupy, które porwali ze straganów – a to różowy szal, a to miedziany saganek.

–Wiedziałem, że w razie starcia będziemy zgubieni – opowiadał mi ojciec. – Tam były setki ludzi. Setki!
Skąd miał wiedzieć, co to jest miasto? Nigdy żadnego nie widział.

–Gdybyśmy wdzierali się do domów, by łupić, rozdzielilibyśmy się, a tamci ubiliby nas jednego po drugim. Tylko Ternoc i ja mieliśmy dar na tyle silny, by móc się bronić lub atakować. Zresztą co mieliśmy łupić? Wszędzie były towary, ubrania, jedzenie, wszystkiego w bród! Jak moglibyśmy to wszystko unieść? Po co tu przybyliśmy? Ja chciałem żony, ale nie wiedziałem, jak to załatwić, skoro sprawy się tak potoczyły. A jedyne, czego naprawdę było nam potrzeba w górach, to ręce do pracy. Wiedziałem, że jeśli ich nie zastraszę, zaraz się na nas rzucą. Więc ukazałem białą flagę w nadziei, że tamci wiedzą, co to jest. Wiedzieli. Jacyś mężczyźni ukazali się w oknach wielkiego budynku przy placu i wywiesili płachtę.

Wtedy zawołałem: „Jestem Canoe Caspro z Prawdziwego Rodu Caspromantu, mam dar i moc odczyniania, które wam zaraz ukazę!”.

Uderzyłem w jeden ze straganów, który rozpadł się na kawałki. Potem odwróciłem się, by sprawdzić, że wszyscy widzieli, co zrobiłem i jak, po czym uderzyłem w narożnik wielkiego kamiennego budynku naprzeciwko domu, z którego na nas patrzyli. Trzymałem rękę nieruchomo, żeby wszyscy ją ujrzeli. Zobaczyli, że mury budynku poruszają się i wybrzuszą, a po wyslizgujących się kamieniach zostają dziury. Stawały się coraz większe, worki z ziarnem

wewnątrz pękały, łoskot padających kamieni brzmiał straszliwie.

„Dość, dość!”, krzyknęli, więc zaprzestałem odczyniania spirytów. Zgodzili się na rozmowy i pertraktacje. Spyтали, czego od nich chcę.

„Kobiet i chłopców”, odparłem.

Wtedy podniósł się wielki krzyk. Ludzie na wszystkich ulicach i we wszystkich domach wyli: „Nie! Nie! Zabić czarnoksiężników!”.

Było ich tylu, że te głosy huczały niczym burza. Mój koń spłoszył się i zarżał. Strzała drasnęła go w zad. Podniosłem spojrzenie na okno ponad tym, w którym stali pertraktujący mężczyźni, i ujrzałem łucznika wychylającego się z okna, by znowu naciągnąć łuk. Uderzyłem w niego. Jego ciało spadło na bruk niczym worek – i rozprysło się. Wtedy zobaczyłem na skraju tłumu, na rynku mężczyznę, który pochylił się i podniósł z kamieniem w rękę, i jego także uderzyłem. Odczyniłem mu tylko ramię. Zwisło mu u boku wiotkie niczym sznurek.

„Odczynie następnego, który się poruszy!”, krzyknąłem co sił. I nikt się nie poruszył...

Canoe pertraktował, Ternoc strzegł tyłów. Przedstawiciele miasta niechętnie zgodzili się wydać pięć wieśniaczek i pięciu chłopców. Chcieli pertraktować co do terminu złożenia daniny, jak to nazywali, ale Canoe uciał: „Przyślijcie ich tu natychmiast, a my wybierzemy, co nam się spodoba”, i lekko uniósł lewą rękę, a wtedy zgodzili się na jego żądanie.

Potem nastąpiła chwila, która wydała mu się bardzo długa, gdy tłumy na ulicach gęstniały i gęstniały, a on mógł tylko siedzieć na spoconym koniu i czujnie wypatrywać łuczników i innych niebezpieczeństw. Wreszcie przypędzono na rynek przerażonych chłopców i kobiety, płaczących i błagających o litość; niektórzy nawet pełzali na czworakach, a pędzono ich batami i kopniakami.

Razem było pięciu chłopców, z których żaden nie miał więcej niż dziesięć lat, i cztery kobiety: dwie młode wieśniaczki, na pół żywe ze strachu, i dwie starsze kobiety w poplamionym, śmierdzącym odzieniu, które przybyły z własnej woli, być może sądząc, że życie wśród czarnoksiężników nie może być gorsze niż niewola u garbarza. I to wszystko.

Canoe uznał, że nieroztropnie będzie się upierać przy lepszych egzemplarzach do wyboru. Im dłużej przebywali wśród ciż-

by tak przerastającej ich liczebnie, tym bardziej zbliżał się moment, kiedy ktoś wypuści strzałę lub celnie rzuci kamieniem, a wówczas tłum rozdarłby ich na strzępy.

Mimo to nie mógł pozwolić, by ci kramarze ich przechytrzyli.

–Są tylko cztery kobiety – powiedział.

Przedstawiciele miasta zaczęli biadolić i targować się.

Czas go naglił. Rozejrzał się po rynku i wielkich budynkach wokół. W oknie wąskiego domu w rogu ujrzał kobietę. Była ubrana w wierzbową zieleń, która już wcześniej przykuła jego oko. Nie ukrywała się, lecz stała w oknie, spoglądając na niego.

–Ona. – Wskazał ją. Wskazał prawą ręką, ale ludzie skulili się i jęknęli. To go rozśmieszyło. Z wolna wskazał prawą ręką wokół, udając, że chce wszystkich odczynić.

W narożnym domu otworzyły się drzwi. Kobieta w wierzbowej zieleni wyszła i stanęła na schodkach. Była młoda, niska, szczupła. Długie włosy czerniły się na zielonej szacie.

–Zostaniesz moją żoną? – spytał Canoe.

Stała bez ruchu.

–Tak – powiedziała, powoli zeszła po schodkach i przemierzyła zrujnowany rynek. Nosiła czarne pantofle z rzemykami. Wyciągnął do niej lewą rękę. Wsunęła stopę w strzemię, a on posadził ją w siodle przed sobą.

–Muły wraz z uprzężą są wasze! – krzyknął do mieszczan, pamiętając, że za dar należy dziękować darem. Dla takiego biedaka jak on był to w rzeczy samej wspaniały dar, choć mieszkańcy Dunet mogli go uznać za obelgę.

Jego ludzie posadzili przed sobą po jednym brańcu i wyruszyli powoli, szeregiem – tłum rozstępował się przed nimi w milczeniu – przez ulice, pomiędzy murami domów, na drogę na północ z widokiem na góry.

I tak zakończył się ostatni rabunek Caspromantu na Nizinach. Ani Canoe, ani jego żona nigdy więcej nie przemierzyli tej drogi.

Nazywała się Melle Aulitta. Czarne pantofelki, sukienka w kolorze zieleni wierzb i maleńki opal na srebrnym łańcuszku na szyi to był jej posag. Poślubił ją cztery dni po przyjeździe do Kamiennego Domu. Jego matka i kobiety przygotowały stroje i inne rzeczy, które godzi się posiadać pannie młodej, w wielkim pośpiechu i z dobrego serca. Brantor Orrec dał im ślub w komnacie

Kamiennego Domu, w obecności wszystkich uczestników wyprawy, całego ludu Caspromantu oraz wszystkich, którzy przybyli z zachodnich posiadłości, by zatańczyć na weselu.

–A potem – mówiłem, kiedy ojciec kończył opowieść – matka urodziła mnie!

Melle Aulitta urodziła się i dorastała w Gorzkowodzie, jako czwarta z pięciu córek kapłana cywilnej religii Bendramanu. Jest to wysoki urząd i cywilny kapłan oraz jego żona żyli w dostatku, wychowując córki w zbytku i wygodach, choć bardzo surowo, ze względu na państwową religię, wymagającą skromności, cnotliwości i posłuszeństwa kobiet, karzącą i upokarzającą tych, którzy się tym wymogom sprzeciwili. Adild Aulitta był ojcem dobrym i pobłażliwym. Pragnął oddać córki Miejskiej Świątyni. Melle uczyła się pisania, czytania, podstaw matematyki, prawie całej świętej historii i poezji, miernictwa i architektury – w przygoto-

26

waniu do tej zaszczytnej kariery. Lubiała naukę i była doskonałą uczennicą.

Ale kiedy miała osiemnaście lat, coś się popsuło; coś się wydarzyło, nie wiem co, nigdy tego nie powiedziała, uśmiechała się tylko i zmieniała temat. Może nauczyciel się w niej zakochał, a ją obarczono za to winą. Może miała ukochanego i wykradała się na schadzki. Może chodziło o coś jeszcze mniej istotnego. Na świątynne dziewice nie mógł paść nawet cień pomówienia, bo od ich czystości zależy dobro całej religii Bendramanu. Może sama Melle zaaranżowała jakiś mały skandalik, by uniknąć Miejskiej Świątyni. W każdym razie została wysłana na daleką północ do kuzy-

nów mieszkających w odległym miasteczku Dunet. Oni także byli szacowni i stateczni i trzymali ją krótko, a jednocześnie prowadzili rozmowy i układy z miejscowymi rodzinami, szukając dla niej stosownego męża i zapraszając konkurentów, żeby ją sobie obejrzeni.

–Przyszedł raz mały grubasek z różowym nosem, który handlował świniami – mówiła. – Innym razem wysoki, bardzo wysoki i chudy, bardzo chudy chłopiec, który modlił się przez godzinę jedenaście razy dziennie. Chciał, żebym się modliła razem z nim.

Aż pewnego razu wyjrzała z okna i zobaczyła, jak Canoe z Caspromantu dosiadający pięknego kasztana unicestwia samym spojrzeniem ludzi i budynki. Wybrała go, tak jak on wybrał ją.

–Jak namówiłaś kuzynów, żeby cię puścili? – pytałem, znając odpowiedź i już rozkoszując się jej smakiem.

–Wszyscy leżeli na podłodze, pod meblami, żeby wojownik czarnoksiężnik nie roztopił ich kości i nie unicestwił ich spojrzeniem. Powiedziałam: „Nie obawiaj się, kuzynie. Czyż nie zostało powiedziane: «Dziewica ocali dom twój i wszystko, co twoje jest»”? Po czym zeszłam po schodach na dwór.

–Skąd wiedziałaś, że ojciec cię nie unicestwi?

–Wiedziałałam.

Nie wiedziała, dokąd jedzie i na co się zgadza, tak samo jak zjeżdżający z gór Canoe, który sądził, że Dunet wygląda jak nasze wioski – parę chat i szop, zagrody dla bydła i dziewięciu czy dziesięciu mieszkańców, wszyscy na polowaniu. Pewnie sądziła, że jedzie do domu przypominającego domostwo jej ojca albo chociaż

27

kuzynów: czystego, ciepłego, jasnego, pełnego ludzi i wygód. Skąd mogła wiedzieć?

Dla ludzi z Nizin Wyżyny są przeklętym, zapomnianym zakątkiem świata, który zostawili za sobą dawno temu. Nic o nich nie wiedzą. Ludzie skłonni do walki mogliby wysłać całą armię w te przerażające, nieprzychylne relikty przeszłości, lecz w Bendramanie i Urdile mieszkają kupcy, rolnicy, naukowcy i kapłani, nie wojownicy. Odwrócili się od gór i zapomnieli o nich. Nawet w Dunecie, mówiła matka, wielu przestało wierzyć w opowieści o Ludziach z Carrantagów – hordach straszyciel zjeżdżających do miast w dolinie, potworach na końskich grzbietach, podpalających całe pola ruchem ręki i obracających wojska w perzynę jednym spojrzeniem. Wszystko to wydarzyło się dawno temu, „gdy Cumbelo był królem”. W obecnych czasach już to się nie zdarzało. Mówiono jej, że ludzie z Dunetu kupowali kiedyś szlachetne kremowobiałe bydło z Wyżyn, ale wszystkie sztuki padły. Górskie

ziemie były jałowe. W starych wyżynnych posiadłościach żyli pasterze i wieśniacy ledwie wiążący koniec z końcem.

I to była prawda, jak się przekonała moja matka. A przynajmniej znaczna część prawdy.

Ale według mojej matki istniało wiele prawd, tyle samo co opowieści. Wszystkie ciekawe historie, które opowiadała nam w dzieciństwie, działy się w czasach „gdy Cumbelo był królem”. Dzielni młodzi kapłani rycerze zwyciężali diabły w postaci ogromnych psów, straszliwi czarnoksiężnicy z Carrantagów budzili postrach, gadające ryby ostrzegały przed trzęsieniem ziemi, żebraczka dostała w darze fruwały wózek z księżycowego światła – wszystko to działo się w czasach panowania Cumbelo. Jej opowieści wcale nie dotyczyły przygód ani wypraw łupieskich – z wyjątkiem tej jednej, w której matka wyszła z domu i przemierzyła rynek. Wówczas przecięły się dwa wątki historii, spotkały się dwie prawdy.

Jej opowieści, w których nie było przygód, opisywały monotonne dni skromnego domostwa w średnim mieście sennego kraju Nizin. Uwielbiałem je tak samo – albo bardziej – niż przygody. Domagałem się ich: „Opowiedz o Gorzko wodzie!”. I sądziłem, że lubiła opowiadać nie tylko dlatego, że mi to sprawia przyjemność, lecz by ukoić swoją tęsknotę. Zawsze pozostała obca wśród obcego ludu, choć kochała go i była kochana. Była wesoła, radosna,

energiczna, pełna życia, ale wiem, że jedną z jej największych przyjemności było położenie się ze mną na kobiercach i poduszkach przed małym paleniskiem w jej salonie, okrągłym pokoju w wieży i opowiadanie, co można było kupić na rynkach Gorzkowody. Opowiadała, jak razem z siostrami uwielbiała podglądać ojca, ubieranego kolejno w gorsety, watowania, szaty spodnie i wierzchnie ceremonialnego kapłańskiego stroju. Jak się kołysał, chodząc w butach na koturnach, dzięki którym wydawał się wyższy od innych mężczyzn, i jak się kurczył, kiedy zdejmował buty i szaty. Opowiadała, jak wybrała się z przyjaciółmi rodziny w podróż statkiem, który żeglował Trondem aż do morza. Opowiedziała mi o morzu. Mówiła, że skamieliny, które znajdowaliśmy w kamieniołomach i wykorzystywaliśmy do różnych zabaw, były niegdyś stworzeniami żyjącymi w morskiej toni, delikatnymi, kolorowymi, lśniącymi.

Ojciec wchodził z pola do jej pokoju – z czystymi rękami i w czystych butach, bo nieustępliwie przestrzegała pewnych zasad nieznanych dotąd w Kamiennym Domu – siadał z nami i słuchał. Uwielbiał jej słuchać. Mówiła, jakby szemrał mały strumyk, wesoło i wyraziście, z niziną płynnością i miękkością. Dla miastowych mowa jest sztuką i przyjemnością, nie tylko kwestią czysto użytkową. Ona nauczyła mieszkańców Caspromantu tej sztuki

i przyjemności. Była światłem oczu mojego ojca.

Waśnie i więzi wyżynnych rodów wykraczają poza pamięć, poza historię, poza zdrowy rozsądek. Rody Casprów i Drumów zawsze były ze sobą w niezgodzie. Między Casprami, Roddami i Barrami zwykle panowała zgoda i szybko powracała po okresie waśni.

Drumowie się bogacili, głównie na kradzieży owiec i ziem, a na trzy pozostałe rodziny przyszyły złe czasy. Wydawało się, że ich świetność już minęła, zwłaszcza Casprów. Nawet w czasach Ślepego Caddarda siła i liczebność naszego rodu niebezpiecznie zmalała, choć zachowaliśmy nasze posiadłości oraz blisko trzydzieści rodzin pańszczyźnianych i wolnych gospodarzy.

Gospodarz mógł mieć z nami wspólnych przodków, lecz niekoniecznie dar; pańszczyźniany ani jednego, ani drugiego. Obaj mieli obowiązek składania daniny i prawo szukania pomocy u rządzącej rodziny ich posiadłości. Pańszczyźniani i gospodarze na ogół mieszkali na uprawianej przez siebie ziemi nawet dłużej niż rodzina brantora. Obowiązki i dogłądanie zbiorów, trzód, lasów i wszystkiego innego były rozdzielone na mocy dawnego zwyczaju i częstych porad. Mieszkańcom naszej posiadłości nie trzeba było przypominać, że brantor ma nad nimi władzę życia i śmierci. Oddanie dwóch pańszczyźnianych, których Caddard ofiarował Tibrom, stanowiło rzadką i brawurową demonstrację bogactwa i władzy; Caddard ocalił posiadłość, chwytając napast-

ników w sieć ich niebywalej rozrzutności. Dar daru miał chyba większą moc od samego daru. Caddard użył go roztropnie. Ale sprawy przyjmowały zły obrót, gdy brantor używał swej mocy przeciwko własnemu ludowi, jak Erroy w Geremancie i Ogge w Drummancie.

Dar Barrów nigdy nie przydawał się w takich sprawach. Zdolność przywoływania dzikich leśnych zwierząt, obłaskawiania żrebaka lub gawędzenia z psem w rzeczy samej można było nazwać darem, lecz nie dawała ona przewagi nad ludźmi, którzy potrafili samym spojrzeniem i słowem podpalić twoje stogi siana i zabić ciebie wraz z psem. Barrowie już dawno stracili wiele swoich ziem na korzyść Helvarów z Carrantagów. Różne rodziny z rodu zeszyły z gór i wżeniły się w posiadłości zachodnie. Usiłowały zachować czystość krwi, by nie osłabić lub stracić daru, ale oczywiście nie zawsze się to udawało. Kilku naszych gospodarzy pochodziło z Barrów. Nasze uzdrowicielki i lekarki bydła, hodowczynie kur i psów – wszystko to były gospodynie, w których żyłach płynęła krew Barrów. W Geremancie, Cordemancie i Roddmancie jeszcze się spotykało Barrów czystej krwi.

Roddowie, mający dar noża, byli dobrze przygotowani na obronę lub atak i narzucanie swej woli, jeśli tak zapragnęli, lecz przeważnie brakowało im do tego temperamentu. Nie nadawali się na panów. Bardziej interesowało ich polowanie na łosie niż podboje. W przeciwieństwie do większości szanujących się ludzi gór woleli hodować bydło, niż je kraść. Kremowobiała rasa, z której niegdyś słynął Caspromant, powstała dzięki ich staraniom. Moi przodkowie kradli krowy i byki z Roddmantu, dopóki sami

nie założyli hodowli. Roddowie uprawiali ziemię, hodowali bydło i powodziło im się dość dobrze, lecz nie bogacili się i nie rośli w siłę. Zawarli wiele małżeństw z Barrami i w czasach mego dzieciństwa Roddmant miał dwóch brantorów, Parn Barre i Ternoca Rodda, rodziców Gry.

Nasze rodziny od pokoleń – gdyż tak się sprawy mają na Wyżynach – były w dobrych stosunkach, a Ternoc i mój ojciec darzyli się prawdziwą przyjaźnią. Ternoc na swojej szkapinie brał udział w słynnej napaści na Dunet. Jako łup przypadła mu w udziale jedna z wieśniaczek; wkrótce oddał ją Bacie Caspro z Cordemantu, który wziął drugą, gdyż były to siostry i ciągle chliły po kątach z tęsknoty za sobą. Na rok przed najazdem Ternoc poślubił Parn. Parn dorastała w Roddmancie i w jej żyłach płynęła krew Roddów. Miesiąc po moich narodzinach Parn wydała na świat córkę Gry.

Gry i ja przyjaźniliśmy się od kołyski. Gdyśmy byli małymi szkrabami, nasi rodzice często składali sobie wizyty, a myśmy

uciekali się bawić. Zdaje się, że ja pierwszy dostrzegłem dojrzewający dar Gry, choć nie jestem pewien, czy to prawdziwe wspomnienie. Dzieci często widzą to, o czym się im opowiada. Widzę taki obrazek: Gry i ja siedzimy na ziemi koło letniej kuchni w Roddmancie, budując domki z patyków, a z zagajnika za domem wyłania się łoś, potężny byk. Podchodzi do nas. Jest ogromny, większy od domu, ma wielkie, kołyszące się konary łopat, które chwieją się na tle nieba. Podchodzi powoli, prosto do Gry. Ona wyciąga rękę, a on wtula nozdrza w jej dłoń, jakby oddając jej cześć.

–Dlaczego tu przyszedł? – pytam.

–Zawołałam go.

Tyle pamiętam.

Kiedy wiele lat później opowiedziałem ojcu o tym wspomnieniu, powiedział, że to niemożliwe. Gry i ja mieliśmy wtedy nie więcej niż cztery lata, a dar, wyjaśnił, rzadko ujawnia się przed dziewiątym lub dziesiątym rokiem życia.

–Caddard miał trzy lata – przypomniałem.

Matka dotknęła krawędzi mojego małego palca krawędzią swojego na znak: nie sprzeciwiaj się ojcu. Canoe był rozdrażniony i spięty, ja zarozumiał; chroniła mnie przed nim, a jego przede mną z najsubtelniejszym, niezauważalnym taktem.

Gry była dobrą towarzyszką zabaw. Razem wpadaliśmy w niezbyt poważne tarapaty. Najgorzej było, kiedy wypuściliśmy kury. Gry twierdziła, że potrafi je nauczyć najróżniejszych sztuczek: chodzenia między liniami, wskakiwania jej na palec.

–To mój dar – oświadczyła pompatycznie.

Mieliśmy sześć lub siedem lat. Na wielkim wybiegu dla drobiu w Roddmancie złapaliśmy parę młodych kurek i usiłowaliśmy je nauczyć jakichś – jakichkolwiek – sztuczek. Było to zajęcie tak rozczarowujące i angażujące, że szeroko otwartą bramę zauważyliśmy dopiero, kiedy reszta kur znikła w ślad za kogutem w lesie. Wszyscy pomagali nam ich szukać. Parn, która mogłaby je przywołać, nie wróciła jeszcze z polowania. Lisy na pewno były nam wdzięczne. Gry rozpaczała, bo opieka nad drobiem należała do jej obowiązków. Rozpłakała się, a jeszcze nigdy nie widziałem jej płaczącej. Przez cały wieczór i następny dzień biegała po lesie, głosiłkiem drżącym z rozpaczony wzywając zaginione kury: „Bibi! Lila! Śnieżka! Frania!”.

W Roddmancie zawsze pakowaliśmy się w kłopoty. Kiedy Gry przybywała z rodzicami lub ojcem do Caspromantu, nigdy nie wydarzały się żadne katastrofy. Moja matka bardzo lubiła Gry. Czasami mówiła niespodziewanie: „Stać tam!”. Gry nieruchomiała, a moja matka patrzyła na nią, aż dziewczynka zaczynała się wstydzić, kręcić, wiercić i chichotać.

–Nie ruszaj się – upominała ją moja matka. – Uczę się ciebie, bo chciałabym mieć córeczkę taką jak ty. Chcę się dowiedzieć, jak to zrobić.

–Mogłabyś mieć drugiego syna, takiego jak Orrec – odpowiedziała Gry, ale na to moja matka wołała:

–Nie! Jeden Orrec w zupełności wystarczy. Chciałabym mieć jedną Gry!

Parn, matka Gry, była dziwna i nerwowa. Dar miała silny, a wydawała się w połowie dzikim zwierzęciem. Często ją proszono, by wzywała zwierzynę, więc z polowania na polowanie przemierzyła połowę Wyżyn. Kiedy wracała do Roddmantu, wydawało się, że patrzy na wszystko przez pręty klatki. Z mężem traktowali się nawzajem uprzejmie i nieufnie. Nie interesowała się szczególnie córką, odnosiła się do niej jak do innych dzieci, z bezstronną obojętnością.

–Czy matka uczy cię, jak się posługiwać darem? – spytałem

kiedyś Gry, zarozumiały, bo mnie ojciec uczył.

Gry pokręciła głową.

–Mówi, że to nie ja posługuję się darem. To on posługuje się mną.

–Musisz się nauczyć, jak nad nim panować – poinformowałem ją, poważny i surowy.

–Wcale nie.

Była uparta, obojętna – czasami za bardzo przypominała matkę. Nie kłóciła się ze mną, nie broniła swoich opinii, nie zmieniała ich. Ja pragnąłem słów. Ona – milczenia. Ale kiedy moja matka opowiadała, Gry wychylała się z głębi swego milczenia i słyszała każde słowo, słyszała, chwytiała, doceniała, rozważała.

–Potrafisz słuchać – powiedziała jej kiedyś Melle. – Masz dar nie tylko przyzywania, lecz również słuchania. Słuchasz myszy, prawda?

Gry skinęła głową.

–I o czym mówią?

–O mysich sprawach – odparła Gry. Była bardzo nieśmiała, nawet przy Melle, którą kochała z całego serca.

–Przypuszczam, że potrafiłabyś wezwać myszy, które gniezdzą się w mojej spizarce, i poprosić je, żeby zamieszkały w stajni?

Gry zastanowiła się chwilę.

–Będą musiały przenieść małe – powiedziała.

–Ach, o tym nie pomyślałam. Więc nie ma mowy. Poza tym w stajni jest kot.

–Mogłabyś wtedy przynieść kota do spizarki – odezwała się

Gry. Jej umysł funkcjonował w nieprzewidywalny sposób: patrzyła oczami myszy, kota i mojej matki, a wszystko to jednocześnie.

Jej świat był niewyobrażalnie złożony. Nie broniła swoich opinii, ponieważ miała sprzeczne poglądy na niemal wszystko. A jednak nie można było na nią wpłynąć.

–Czy opowiesz mi o dziewczynce, która była dobra dla mrówek? – pytała płochliwie moją matkę, jakby było to jakieś nadzwyczajne żądanie.

–O dziewczynce, która była dobra dla mrówek – powtarzała matka, niby odczytując tytuł. Zamknęła oczy.

Mówiła nam, że wiele jej historii pochodziło z książki, którą miała w dzieciństwie, i kiedy je opowiada, czuje się, jakby czytała. Kiedy powiedziała to po raz pierwszy, Gry spytała: „Co to jest

książka?".

Matka czytała nam z książki, której nie było.

Dawno, dawno temu, gdy Cumbelo był królem, w wiosce mieszkała pewna wdowa z czterema córkami. I dobrze im się żyło, dopóki wdowa nie zapadła na ciężką chorobę, z której nie mogła wyzdrowieć. Przyszła mądra, zbadła ją i powiedziała:

–Uzdrowi cię jedynie woda z Morskiej Studni.

–Och, och, więc z pewnością umrę – mówi wdowa. – Jakże mam odnaleźć tę studnię, gdy jestem taka chora?

–Czy nie masz czterech córek?

Więc wdowa poprosiła najstarszą, by poszła do Morskiej Studni i przyniosła jej kubek wody.

–Wtedy dam ci całą moją miłość – powiedziała – i najpiękniejszy czepiec.

Najstarsza córka wyruszyła w drogę. Szła, szła, szła, a potem usiadła, żeby odpocząć, i wtedy ujrzała mrówki ciągnące do mrowiska martwą osę.

–Uch, paskudztwa! – krzyknęła, rozgniotła je obcasem i ruszyła w dalszą podróż. Do morza było daleko, ale w końcu dotarła na miejsce, a było to morze o wielkich falach, które kłębiły się i rozbijały o piaszczysty brzeg.

–Starczy tego dobrego! – rzekła dziewczyna, zanurzyła kubek w najbliższej fali i zaniosiła wodę do domu.

Matka wypła. O, jaka gorzka, słona i gorzka była ta woda!

W oczach matki stanęły łzy, ale podziękowała córce i dała jej swój najpiękniejszy czepiec. A dziewczyna przywdziała go, wyszła z domu i wkrótce zdobyła kawalera.

Ale matka marniała coraz bardziej, więc poprosiła drugą córkę, by przyniosła jej wody z Morskiej Studni, a jeśli to zrobi, dostanie miłość matki i jej najlepszą koronkową suknię. Dziewczyna poszła. Po drodze przysiadła, by odpocząć, i ujrzała oracza z wołem, a jarzmo było źle założone i głęboko raniło szyję zwierzęcia. Ale jej to nie wzruszyło. Poszła dalej i stanęła na brzegu morza. Wielkie fale ryczały i gryzły piasek.

–Starczy tego dobrego! – rzekła dziewczyna, zanurzyła kubek w falach i popędziła w dyrdy do domu. – Oto woda, matko, a teraz daj mi suknię.

Słona, słona i gorzka była ta woda, matka z trudem ją przełknęła. Ledwie dziewczyna wyszła na dwór w koronkowej sukni,

znalazła sobie kawalera, ale matka zaniemogła, jakby śmierć już stała u jej wezgłowia. Jeszcze starczyło jej tchu, by prosić trzecią córkę.

–Woda, którą wypiałam, nie może pochodzić z Morskiej Studni – powiedziała – bo smakowała solą. Idź, a będziesz miała całą moją miłość.

–Nie dbam o nią, ale daj mi ten dom, a pójdę – rzekła trzecia córka.

I matka jej to obiecała. Więc dziewczyna ruszyła pełna dobrej woli, prosto nad morze, nigdzie się nie zatrzymując. Już na piaszczystych wydmach spotkała szarą gęś ze złamanym skrzydłem. Gęś podeszła, ciągnąc skrzydło za sobą.

–Uciekaj, głupia – powiedziała dziewczyna i zeszła nad morze, a tam wielkie bałwany ryczą i grzmocą o piasek. – Starczy tego dobrego! – krzyknęła, zanurzyła kubek, nabrała wody i wróciła do domu. A ledwie matka zamoczyła usta w słonej morskiej wodzie, powiedziała: – Zabieraj się stąd, matko! To teraz mój dom.

–Nie pozwolisz mi umrzeć we własnym łóżku, dziecko?

–Niech ci będzie – mówi dziewczyna. – Ale się nie ociągaj!

Kawaler z sąsiedztwa chce się ze mną ożenić, bom majątna. Siostry i ja wyprawimy w tym domu wielkie wesele.

I tak matka leżała na łożu śmierci, płacząc gorzkimi i słonymi łzami. Wtedy cicho podeszła do niej najmłodsza córka i rzecze:

–Nie płacz, matko. Ja ci przyniosę tej wody.

–Nie uda ci się, dziecko. To za daleko, a ty jesteś za młoda.

I nie zostało mi już nic, co mogłabym ci dać, więc muszę umrzeć.

–A ja i tak spróbuję – rzekła dziewczyna i ruszyła w drogę.

Gdy szła, ujrzała mrówki, które z wielkim wysiłkiem ciągnęły ciała swoich towarzyszek.

–Pomogę wam, mnie jest łatwiej – powiedziała dziewczyna, zgarnęła je wszystkie na dłoń, zaniosiła do mrowiska i tam złożyła na ziemi.

Szła i szła, i ujrzała wołu w jarzmie, którego szyja nadal krwawiła.

–Poprawię to jarzmo – powiedziała do oracza i podłożyła pod nie własny fartuszek, żeby osłonić kark zwierzęcia.

Szła i szła. W końcu doszła na brzeg morza, a tam na wydmach stała szara gęś ze złamanym skrzydłem.

–O, biedny ptaszku! – Dziewczyna oddarła kawałek spódn-

cy) by przewiązać skrzydło gęsi.

Potem stanęła nad morzem. Wielka woda była spokojna

i lśniąca. Skosztowała jej i poczuła słony i gorzki smak. Daleko

na morzu ujrzała wyspę, górę na lśniącej wodzie.

–Jak mam dotrzeć do Morskiej Studni?! – zawołała. – Nie

zdołam tak daleko dopłynąć!

Ale zdjęła buty i już szła w głąb morza, kiedy nagle słyszy, aż tu

–człap, człap – na plaży staje wielki biały wół o srebrnych rogach.

–Usiądź mi na grzbiecie. Ja cię zaniosę.

Więc usiadła na wolim grzbiecie, chwyciła się rogów i zanu-

rzyli się w morzu, a wół dopłynął aż na daleką wyspę.

Skąły na wyspie były strome jak mury i gładkie jak szkło.

–Jak mam dotrzeć do Morskiej Studni? – spytała dziewczyna.

– Nie zdołam się tak wysoko wspiąć!

Ale wyciągnęła ręce, by zacząć się wdrapywać na górę. Wte-

dy z nieba sfrunęła szara gęś, a była większa niż orzeł.

–Usiądź mi na grzbiecie. Ja cię zaniosę.

Dziewczyna usiadła między jej skrzydłami, a gęś poleciała na najwyższą górę wyspy. I była tam głęboka studnia pełna przejrzystej wody. Dziewczyna zanurzyła w niej kubek. Potem szara gęś przeniosła ją przez morze, a biały wół płynął za nimi.

Ale ledwie szara gęś usiadła na piasku, zmieniła się w wysokiego pięknego młodzieńca. A ów młodzieniec miał prawe ramię obwiązane bandażami ze spódnicy.

–Jestem władcą tego morza – mówi – i chcę cię wziąć za żonę.

–Najpierw muszę zanieść matce wodę – odpowiedziała dziewczyna.

Więc razem dosiedli białego wołu i wrócili do wioski. Matka dziewczyny była już umierająca, lecz gdy przełknęła jedną kroplę wody, uniosła głowę. Po drugiej kropli usiadła. Po trzeciej wstała. A po czwartej zatańczyła.

–To najśodsza woda na calutkim świecie! – zawołała.

Razem z najmłodszą córką i morskim władcą odjechali na białym wole do srebrnego pałacu, gdzie odbyło się huczne weselisko, a wdowa tańczyła na nim przez trzy dni.

–Ale mrówki... – szepnęła Gry.

–A, mrówki. Czy były niewdzięczne? Nie! Bo one także były na wesele, drepcząc ze wszystkich sił, i przyniosły złoty pierścień, który leżał sto lat w ziemi pod ich mrowiskiem, i tym pier-

ścieniem młodzi się zaślubili.

–Poprzednim razem powiedziałaś, że mrówki przyszły i zjadły wszystkie torty i słodczyce na weselu starszych sióstr.

–Tak było. To także. Mrówki są zdolne do wielu rzeczy i potrafią być wszędzie jednocześnie – powiedziała matka poważnie, a potem parsknęła śmiechem. Wszyscy śmieliśmy się z tego, że zapomniała o mrówkach.

Pytanie Gry „Co to jest książka?” skłoniło moją matkę do przemyślenia pewnych kwestii zaniedbanych lub zapomnianych w Kamiennym Domu. W Caspromancie nikt nie umiał czytać ani pisać, a owce liczyliśmy, nacinając karby na kiju. Myśmy tego nie uważali za hańbę, lecz ona tak. Nie wiem, czy kiedykolwiek marzyła, żeby odwiedzić rodzinny dom lub by jej rodzina przybyła na Wyżyny. Obie możliwości były zdecydowanie nieprawdopodobne, lecz co z dziećmi? A jeśli jej syn zejdzie w Niziny, w świat, jako nieuczony głupek niczym żebrak z miejskich ulic?’ Jej duma by tego nie zniosła.

Na Wyżynach nie było ksiązek, więc matka je zrobiła. Za-
gruntowała płachty przedniego płótna i naciągnęła je na ramę.
Zrobiła atrament galasowy, a pisała gęsimi piórami. Stworzyła dla
nas elementarz i na nim nauczyła nas czytania. Pisać uczyła nas
najpierw patykiem na piasku, potem piórem na naciągniętym
płótnie. Ze wstrzymanym oddechem gryzmoliliśmy straszliwie, sa-
dząc okropne kleksy. Zmywała ten blady atrament i mogliśmy pi-
sać od nowa. Gry starała się wyłącznie z miłości do mojej matki,
było to dla niej bardzo trudne. Mnie przychodziło to z łatwością.
–Napisz mi książkę! – poprosiłem, więc Melle spisała dla
mnie życie Raniu. Traktowała to zadanie poważnie. Uważała, że
gdybym miał mieć tylko jedną książkę, powinna zawierać historię
świętego. Pamiętała niektóre frazy i język „Historii czynów i cu-
dów pana Raniu”, a resztę dopowiedziała własnymi słowami. Tę
książkę podarowała mi na dziewiąte urodziny: czterdzieści płacht
zagruntowanego płótna, pokrytego od brzegu do brzegu bladym,
ozdobnym pismem i zszytego na górze niebieską nicią. Byłem za-
chwycony. Kiedy już się jej nauczyłem na pamięć, dalej czytałem
wciąż od nowa, bo zapisane słowa zawierały nie tylko historię, ja-
ką opowiadały, ale także to, co było w nich ukryte: wszystkie inne
historie. Historie, które opowiadała mi matka. I historie, których
jeszcze nikt nigdy nie opowiedział.

W owym czasie ojciec również dbał o moje wykształcenie, ale ponieważ nic nie wskazywało na to, że jestem drugim Caddardem i przerażę świat swoją nieograniczoną mocą, pozostało mu jedynie tłumaczyć, demonstrować metody działania i cierpliwie czekać, aż dar się we mnie ujawni. Powiedział, że i on musiał czekać do dziewiątych urodzin, zanim udało mu się strącić choćby komara. Nie był cierpliwy z natury, ale nie tracił nadziei. Często mnie sprawdzał. Staralem się, jak mogłem, wytrzeszczałem oczy, wskazywałem, szeptałem, wzywałem na pomoc tę tajemniczą rzecz, moją wolę.

–Co to jest wola? – spytałem go kiedyś.

–Hm... to twój zamiar. Musisz chcieć skorzystać ze swego daru. Jeśli użyjesz go bez takiego pragnienia, możesz narobić wielkich szkód.

–Ale co to za uczucie – używać go?

Ojciec zmarszczył brwi i długo milczał.

–Jest tak, jakbyś coś zbierał, łączył. – Lewą ręką poruszył lekko, nieświadomie. – Jakbyś był węzłem w środku tuzina sznurków, które są w tobie zadzierzgnięte, a ty je napinasz. Jakbyś był łukiem, ale z tuzinem cięciw. I jakbyś je naciągnął, a one ciągnęły z ciebie siły, aż powiesz: „już” i wtedy moc strzela niczym strzała.

–Więc siłą woli skłaniasz swoją moc, żeby odczyniała to, na

co patrzysz?

Zmarszczył brwi i znowu się zastanowił.

–Tego nie można ująć w słowa. Na to nie ma słów.

–Ale mówisz... Skąd wiesz, co powiedzieć?

Bo już wiedziałem, że słowa, które wypowiadał przy używaniu daru, za każdym razem były inne, a może w ogóle nie były słowami. Brzniało to raczej jak „ha!” albo ostry wydech człowieka czyniącego wielki, nagły wysiłek całym ciałem, a jednak było w tym jeszcze coś; tego dźwięku nigdy nie potrafiłem odtworzyć.

–To nadchodzi, kiedy... To wynika z działania mocy – potrafił tylko powiedzieć ojciec. Te rozmowy go niepokoiły. Nie umiał odpowiadać na takie pytania. Nie powinienem ich zadawać; nie powinny się we mnie rodzić.

Kiedy skończyłem dwanaście, a potem trzynaście lat, bez przerwy się zamartwiałem, że mój dar się nadal nie ujawnił.

W snach zawsze byłem o krok od wielkiego, straszliwego aktu zniszczenia, roztrzaskania na pył i w gruzy ogromnej kamiennej baszty, odczynienia wszystkich mieszkańców jakiejś ponurej, dziwnej wioski – bądź właśnie go dokonałem i potykałem się wśród ruin i trupów bez twarzy i kości, szukając drogi do domu. Ale zawsze byłem przed lub po akcie odczynienia, nigdy w trakcie.

Budziłem się z takiego koszmaru z sercem galopującym niczym koń, usiłowałem opanować zgrozę i zebrać w sobie moc, jak nakazywał ojciec. Dygocząc tak, że ledwie mogłem oddychać, ga-

piłem się na rzeźbioną gałkę w nogach łóżka, ledwie widoczną o bladym świetle, podnosiłem lewą rękę, wskazywałem z zamiarem zniszczenia tej czarnej drewnianej kuli i wypuszczałem powietrze z płuc w konwulsyjnym „ha!”. Potem zaciskałem powieki i modliłem się w ciemnościach, by moje życzenie, moja wola się spełniła. Ale kiedy otwierałem oczy, drewniana gałka była nie-
tknięta. Mój czas nie nadszedł.

Póki nie skończyłem czternastu lat, nie mieliśmy wielu kłopotów z mieszkańcami Drummantu. Sąsiadem, którego musieliśmy się strzec, był Erroy z Geremantu. Gry i ja mieliśmy surowy zakaz zbliżania się do jesionowego lasu, gdzie przebiegały granice jego posiadłości. Byliśmy posłuszni. Oboje znaleźliśmy Benta Gonnena. Znaleźliśmy też człowieka z wykręconymi rękami. Brantor Erroy uczynił to dla rozrywki – sam tak mówił. Ten człowiek należał do jego pańszczyźnianych.

–Pozbawił go przydatności – mówili nasi gospodarze – a to rzecz osobliwa.

Tylko na taką krytykę sobie pozwalali. Erroy był szalony, ale nikt tego głośno nie powiedział. Wszyscy trzymali język za zębami. Unikali kłopotów.

A Erroy unikał Caspromantu. Rzeczywiście, wykrzywił plecy naszego Gonnena, ale Gonnen niemal z całą pewnością przekroczył granice i kradł drewno z Geremantu. Zgodnie z kodeksem Wyżyn było to jakieś uzasadnienie. Mój ojciec nie szukał zemsty, ale poszedł do jesionowego lasu i czekał, aż Erroy się zjawi. Wówczas wezwał swoją moc i przeciągnął przez las linię zniszczenia, znacząc granicę – jakby piorun przemknął nad ziemią, niszcząc wszystko na drodze; została palisada z wyschniętych, spopielenych, osmalonych drzew. Ojciec nie odezwał się do Erroya, który krył się w gęstwinie. Erroy też się nie odezwał, ale nigdy więcej nie widziano go w granicznym lesie.

Od czasu najazdu na Dunet mój ojciec miał ugruntowaną reputację człowieka niebezpiecznego. Nie potrzebował tego widowiskowego czynu, żeby ją potwierdzić. „Caspro ma silne oko”, mawiali ludzie. Słyszając to, pękałem z dumy. Byłem dumny z niego, z nas, naszego rodu, naszej mocy.

Geremant był biedną, źle zarządzaną posiadłością, ale Drummant – o, to była całkiem inna historia. Drummant był bogaty i coraz bardziej się bogacił. Chodziły słuchy, że Drumowie sobie roją,

by być brantorami Carrantagów – butni aż strach, żądali a to opłat za ochronę, a to daniny... daniny, jakby byli panami całych Wyżyn! A jednak słabsze posiadłości w końcu im płaciły, wykupywały się owcami, bydłem, wełną czy nawet pańszczyźnianymi, jeśli Drumowie żądali – gdyż dar tego rodzaju należał do straszliwych. Działał powoli, niewidzialnie, brakowało mu widowiskowości noża, odczyniania, ognia, lecz jeśli Ogge z Drummantu przeszedł przez twoje pole, następnego roku kukurydza marniała, a trawa nie chciała rosnąć jeszcze przez wiele lat. Potrafił sprawić, że zaraz atakowała owce, bydło, dom.

W Rimmancie, małej posiadłości graniczącej od południa z Drummantem, zginęli wszyscy mieszkańcy. Brantor Ogge przybył do nich z żądaniami. Brantor Rimm stanął w drzwiach, wyzywający, gotowy użyć mocy rzucania ogniem i kazał mu odejść.

Lecz powiadają, że Ogge zakradł się w nocy do ich domu i rzucił uroki – gdyż jego moc nie zależała od spojrzenia i słowa, lecz szep-tania, nazywania i ruchów rąk, co zajmuje sporo czasu. I wszyscy

z rodziny Rimma zachorowali, a po czterech latach żaden nie ostał się przy życiu.

Canoe powątpiewał w tę powszechnie opowiadaną historię.

–Drum nie mógłby tego zrobić w ciemnościach, na dworze, gdy oni byli w domu – mawiał z przekonaniem. – Jego moc jest taka jak nasza, działa poprzez wzrok. Może zostawił tam jakąś truciznę. Może umarli na chorobę, która z nim nie miała nic wspólnego. Ale cokolwiek się stało, odpowiedzialnością za to obarczano Ogge'a i z pewnością on na tym zyskał, bo dołączył Rimmant do swoich ziem.

Przez długi czas nie musieliśmy się tym martwić. Potem dwaj bracia Cordowie zaczęli się wadzić o to, kto jest spadkobiercą i prawdziwym brantorem posiadłości, a Ogge umieścił swoich ludzi w południowej części Cordemantu, twierdząc, że w ten sposób go chroni. Bracia nadal się kłócili, gdyż byli głupi, a Ogge zagarnął najlepszy kąsek ich ziemi. I dlatego Drummant zbliżył się do Caspromantu od strony południowej granicy. Ogge stał się naszym sąsiadem.

Ojciec robił się coraz bardziej poważny, mroczny. Czuł, że jesteśmy – my, mieszkańcy jego posiadłości – w niebezpieczeństwie i tylko on może nas obronić. Miał silne poczucie odpowiedzialności, może przesadnie silne. W jego pojęciu przywilej oznaczał obo-

wiązek, władza była służbą, moc, sam dar, łączył się z utratą wolności. Gdyby Canoe był młodzieńcem, nie miał żony i dziecka, pewnie napadłby na Drummant, ryzykując wszystko w jednej chwili, rzucając na szalę własny los. Był jednak głową domu, człowiekiem obarczonym brzemieniem, obciążonym troskami związanymi z zarządzaniem ubogą posiadłością i dbaniem o jej mieszkańców, z żoną, którą miał obowiązek chronić, i bez żadnych krewnych dzielących jego dar, by go wspomogli – z wyjątkiem, być może, syna.

Jeszcze coś budziło jego niepokój. Jego syn miał już trzynaście lat, a dar jeszcze się w nim nie ujawnił.

Odebrałem doskonale przeszkolenie w kwestii korzystania z daru, ale nie miałem z czego korzystać. Tak jakby mnie nauczono jeździectwa, ani razu nie sadzając na końskim grzbiecie.

Wiedziałem, że ta troska nęka ojca, nie potrafi! tego ukryć.

W tym Melle nie mogła mu być pomocą ani pociechą, którymi służyła mu we wszystkim innym, nie mogła też pogodzić nas ze sobą ani

ulżyć nam w brzemieniu, którym nawzajem się obarczyliśmy. Bo co wiedziała o darze i jego działaniu? Był dla niej zupełnie obcy. Nie wywodziła się z Wyżyn. Nigdy nie widziała Canoca używającego daru – z wyjątkiem tego jednego razu, na rynku w Dunet, kiedy zabił jednego napastnika i okaleczył drugiego. Nie pragnął pokazywać jej swojej mocy zniszczenia i nie czuł takiej potrzeby. Ten dar ją przerażał; nie rozumiała go, a może prawie w niego nie wierzyła. Tak więc ojciec wytyczył granicę Caspromantu linią zeschniętych drzew w jesionowym lesie, a potem wykorzystał swą moc w nieznacznym stopniu, jedynie by mi pokazać, jak się to robi i jaki jest tego koszt. Nigdy nie używał daru przy polowaniu, ponieważ zmiażdżone i rozpadające się ciało i kości zwierząt były wstrętne, nie nadawały się do jedzenia. W każdym razie w jego pojęciu dar nie był przeznaczony do codziennego użytku, lecz tylko w prawdziwej potrzebie. Dlatego Melle mogła zapomnieć, że Canoe go posiada, i nie widziała wielkich powodów do strapienia, jeśli ja go mieć nie będę.

Przestraszyła ją dopiero wieść, że moja moc się wreszcie ujawniła.

Mnie też.



Byłem na przejażdżce z ojcem, on na starym siwym ogierze, ja

na Dereszy. Towarzyszył nam Alloc, młody gospodarz. Alloc był spokrewniony poprzez ojca z rodem Caspro i miał „dotyk oka” – potrafił rozwiązywać węzły i robić parę podobnych sztuczek. Może gdyby wpatrywał się dostatecznie długo, mógłby zabić szczura, ale który szczur byłby dość uprzejmy, by tyle czasu pozostać bez ruchu... Kochał konie i miał do nich dobrą rękę – koniuszy, o jakim od dawna myślał mój ojciec. Zajmował się najmłodszym źrebakiem Dereszy. Starannie trenowaliśmy tego dwulatka, gdyż mój ojciec widział w nim godnego potomka kasztana, na którym wyprawił się do Dunet.

Byliśmy na południowo-zachodnim pastwisku dla owiec, wypatrując – choć Canoe tego nie przyznał głośno – zabłąkanych na naszą posiadłość ludzi z Drummantu lub ich owiec wmieszanych w nasze stada, dzięki czemu pasterze Drumów mogli „odnaleźć” również parę naszych sztuk, zaganiając do domu swoje – przed tą metodą ostrzegali nas Cordowie, którzy długo sąsiedowali z Dru-

mami. Rzeczywiście, pomiędzy naszymi żylastymi górskimi owcami o szorstkim runie znaleźliśmy parę intruzów. Pasterze robili na wełnistym *uchu każdej naszej owcy żółtą plamę z cebulowego wywaru, byśmy mogli odróżnić je od owiec Erroya, który miał zwyczaj wypuszczać stada z Geremantu na nasze pastwiska, a potem utrzymywać, żeśmy je ukradli – choć od kiedy mój ojciec przeciągnął granicę w jesionowym lesie, Erroy już tego nie robił. Skręciliśmy na południe, odszukaliśmy naszego pasterza z psami, kazaliśmy mu oddzielić owce Drumów i odesłać je tam, gdzie ich miejsce. Potem znowu ruszyliśmy na zachód, żeby znaleźć dziurę w ogrodzeniu i ją załatać. Canoe jechał z marsową miłą. Alloc i ja podążaliśmy za nim cicho i pokornie. Na skłonie wzgórza nabraliśmy sporego pędu, gdy nagle Siwosz potknął się na śliskim, ukrytym w trawie kamieniu. Odzyskał równowagę, a Canoe utrzymał się w siodle. Pochylił się, sprawdzając, czy Siwosz nie zwichnął nogi, i wówczas, na przechylonym kamieniu, którego zaraz miał dotknąć stopą, ujrzałem szykującą się do ataku żmiję. Krzyknąłem, wskazałem dłonią, Canoe znieruchomiał w pół ruchu, spojrział na mnie, na żmiję, wyciągnął lewą rękę, znowu siadając w siodle, a wszystko w jednej chwili. Siwosz odbił się czterema kopytami i zrobił wielki skok, oddalając się od żmii. Żmija leżała na kamieniu jak zwleczona pończocha, miękka

i niekształtna.

Alloc i ja siedzieliśmy jak zakłęci, zapatrzeni, nadal wskazując żmiję lewymi rękami.

Canoe uspokoił Siwosza i ostrożnie zsiadł. Spojrzał na zniekształcone truchelko na kamieniu. Spojrzał na mnie. Wyraz twarzy miał dziwny – skamieniały, dziki.

–Dobra robota, mój synu – powiedział.

Siedziałem w siodle ogłupiały.

–W rzeczy samej, znakomita! – dodał Alloc z szerokim uśmiechem. – Na Kamień, ależ to wielka, podła, jadowita gadzina! Ukąsiłaby brantora aż do kości.

Gapilem się na muskularne, odsłonięte nogi mojego ojca.

Alloc zsiadł z konia i podszedł do martwej żmii, gdyż kasztanowaty źrebak nie chciał się do niej zbliżyć.

–A to ci akt zniszczenia – powiedział. – To dzieło silnego oka!

Patrz tutaj, to jej kły jadowe. Przeklęta bestia. – I splunął. – Silne oko – powtórzył.

–To nie ja... – zacząłem. Podniosłem na ojca zdumiony wzrok.

–Kiedy ją zobaczyłem, już była odczyniona – rzekł Canoe.

–Przecież ty...

Zmarszczył brwi, ale nie w gniewie.

–Ty ją uderzyłeś.

–Tak było – dodał Alloc. – Sam widziałem. Młody Orrec.

Szybki jak błyskawica.

–Zaraz, wcale nie...

Canoe patrzył na mnie surowo i w skupieniu.

Usiłowałem wyjaśnić.

–Przecież było tak jak poprzednim razem, kiedy próbowałem... kiedy się nie udawało. – Zamilkłem. Chciało mi się płakać.

–Nie czułem żadnej różnicy – dodałem zdławionym głosem.

Ojciec jeszcze przez chwilę na mnie patrzył, a potem oznajmił:

–Ale różnica była. – 1 dosiadł Siwosza.

Alloc musiał złapać kasztanka, który nie życzył sobie znowu dźwigać jeźdźca. Nie chciałem patrzeć na odczynioną żmiję.

Dotarliśmy do ogrodzenia i znaleźliśmy miejsce, przez które przedostały się owce Drumów; wyglądało to tak, jakby kamienie wyjęto z muru całkiem niedawno. Przez cały ranek uzupełnialiśmy mur w tym i innych miejscach, którym także przydałoby się

naprawa.

Nadal nie mogłem uwierzyć we własne osiągnięcie, nie potrafiłem przestać o nim myśleć. Zaskoczyło mnie, że ojciec wieczorem opowiedział o tym matce. Mówił zwięźle i sucho, tak jak miał w zwyczaju, i dopiero po chwili zaczęła rozumieć, że opowiada jej o moim ujawnionym darze i że prawdopodobnie uratowałem mu życie. Wówczas, podobnie jak ja, była zbyt zdumiona, by zareagować zachwytem, pochwałami czy czymkolwiek z wyjątkiem lęku.

–Więc źmije są tak niebezpieczne? – pytała raz po raz. – Nie wiedziałam. Mogą być wszędzie na tych wzgórzach, gdzie biegają dzieci!

–I są – powiedział Canoe. – Zawsze były. Na szczęście nieliczne. To, że nasze życie jest nieustannie zagrożone, dla Canoca było faktem, a dla Melle czymś, z czym musiała się niechętnie zmagać, by wbrew własnemu sercu dać mu wiarę. Nie była naiwna, lecz zawsze chroniono ją przed fizycznym niebezpieczeństwem. Canoe także ją chronił, choć nigdy jej nie okłamał.

–Nasz dar ma starą nazwę – powiedział. – Ludzie nazywali go kiedyś żmiją.

Zerknął na mnie przelotnie, ponuro i twardo – tak patrzył na mnie od tamtej chwili na wzgórzu.

–Ich jad i nasze uderzenie pod wieloma względami działają podobnie.

Matka wykrzywiła usta. Po chwili się odezwała:

–Wiem, cieszysz się, że dar się ujawnił.

Musiała się zdobyć na odwagę, żeby to powiedzieć.

–Nigdy nie wątpiłem, że tak się stanie – odparł ojciec. To miało uspokoić ją, a także mnie, choć nie wiem, czy któreś z nas było zdolne się z tym pogodzić.

Tej nocy długo leżałem bezsennie i wciąż od nowa przypomniałem sobie, jak to było, kiedy ujrzałem żmiją. Niepokój we mnie narastał. W końcu zapadłem w zawikłane i dręczące sny. Obudziłem się wcześniej. Wstałem i poszedłem do stajni. Przynajmniej raz znalazłem się tam przed ojcem, lecz wkrótce i on się zjawił, ziewając i trąc zaspane oczy.

–Witaj, Orrec – powiedział.

–Ojczy... chcę... bo ta żmija...

Przechylił lekko głowę.

–Wiem, że wycelowałem dłoń i spojrzenie – tłumaczyłem da-

lej. – Ale chyba jej nie zabiłem. Moja wola... nie czułem żadnej różnicy. Było tak samo jak wcześniej. – W gardle i za oczami czułem bolesny ucisk.

–Nie myślisz chyba, że zrobił to Alloc? – spytał ojciec. – Nie ma prawdziwego daru.

–Ale ty... ty ją uderzyłeś...

–Była już odczyniona, kiedy ją ujrzałem – rzekł tak jak poprzedniego dnia, lecz teraz w jego głosie i oczach pojawiło się mgnienie niepewności lub powątpiewania. Zastanowił się. Jego twarz, złagodniała po śnie, znowu stwardniała. – Uderzyłem w nią, to prawda. Ale po tobie. Jestem pewien, że ty uderzyłeś pierwszy. I to szybką, mocną ręką i okiem.

–Skąd będę wiedzieć, że posługuję się mocą, skoro... skoro czuję to tak samo jak wtedy, gdy próbowałem bez skutku?

To go zastanowiło. Stał ze zmarszczoną brwią, zamyślony.

W końcu powiedział niepewnie:

–Może wypróbuj swój dar na czymś małym... na tych chwas-

tach? – Wskazał kępkę mlecza pomiędzy kamieniami na dziedzińcu przy drzwiach stajni.

Wpatrzyłem się w kwiaty. W oczach wezbrały mi łzy, nie mogłem ich powstrzymać. Zasłoniłem twarz dłońmi i rozszlochałem się.

–Nie chcę, nie chcę! – płakałem. – Nie mogę, nie mogę, nie chcę!

Ojciec podszedł, ukląkł i objął mnie. Pozwolił mi się wypłakać.

–Ja wiem, synu – powiedział, kiedy się uspokoilem. – Ja wiem. To bardzo trudne.

I kazał mi umyć twarz.

Przez jakiś czas nie wspominaliśmy już o darze.

Parę dni później wróciliśmy, ojciec, ja i Alloc, żeby solidnie naprawić mur wokół naszych południowo-zachodnich pastwisk, co miało być jasnym sygnałem dla pasterzy z drugiej strony, że znamy każdy kamień w tych murach i zorientujemy się, jeśli któryś zostanie ruszony. Trzeciego lub czwartego dnia pracy od strony zbiegających w dół pastwisk spod Małego Urwiska – ziem będących niegdyś pod panowaniem Cordów, a teraz Drummantu – nadjechała grupa konnych. Owce uciekły, becząc ochryple. Oni jechali wprost na nas, przyspieszali na równiejszym gruncie. Byliśmy przemoczeni, bo mżyło, i brudni od noszenia mokrych, zabłoconych kamieni.

–O, na Kamień, ależ to stary gad we własnej osobie – mruk-

nał Alloc.

Ojciec uciszył go spojrzeniem, a gdy konni zrównali się z murem, odezwał się spokojnie:

–Dobrego dnia, brantorze Ogge.

Wszyscy podziwialiśmy wierzchowce, gdyż piękne to były stworzenia. Brantor dosiadał cudownej bułanej klaczy, zbyt delikatnej na jego wagę. Ogge Drum miał jakieś sześćdziesiąt lat, brzuszysko jak antałek i byczy kark. Nosił czarny kilt i opończę – nie z filcu, ale ze szlachetnej wełnianej tkaniny, a siodło miał nabijane srebrem. Na jego odsłoniętych łydkach nabrzmiewały mięśnie. Głównie widziałem te łydki, bo nie chciałem patrzeć mu w oczy. Przez całe życie słyszałem o brantorze Ogge wszystko co najgorsze, a fakt, że zbliżył się, jakby atakując, i zatrzymał konie tuż przed murem, nie budził ufności.

–Naprawiasz ogrodzenie, Caspro? – spytał niespodziewanie ciepło i jowialnie. – Dobra robota. Mam paru ludzi biegłych w kamieniarstwie. Przyślę ci ich do pomocy.

–Dziś już kończymy, lecz wielkie dzięki.

–I tak ich przyślę. Mury mają dwie strony, hę?

–W rzeczy samej – powiedział mój ojciec. Mówił miłym tonem, choć twarz miał niewzruszoną.

–Jeden z tych młodzików jest twój, hę? – spytał Ogge, przyglądając się Allocowi i mnie. Była to subtelna obelga. Z pewnością wiedział, że syn Canoca jest chłopcem, nie dwudziestoletnim młodzieńcem. Sugerował, że nie można odróżnić syna Caspro od jego poddanego, a przynajmniej tak to wszyscy trzej zrozumieliśmy.

–Tak – odpowiedział ojciec, ale nie wymienił mojego imienia, nie przedstawił mnie, nawet na mnie nie spojrzał.

–Teraz, gdy nasze ziemie mają wspólną granicę – powiedział Ogge – chcę zaprosić ciebie i twą panią do Drummantu. Jeśli za dzień lub dwa zjawię się pod twym domem, zastanę cię?

–Jesteś u mnie mile widziany.

–Dobrze, dobrze. Więc się zjawię. – Ogge podniósł rękę w niedbałym, dobrotliwym pozdrowieniu, zawrócił klacz w miejscu i poprowadził niewielki oddział galopem wzdłuż muru.

–Ach! – westchnął Alloc. – Jakaż piękna ta bułanka. – Był koniarzem do szpiku kości, podobnie jak mój ojciec; obaj marzyli o uszlachetnieniu naszej stajni. – Gdybyśmy mogli przyprowadzić

do niej Księcia, jaki byłby z tego źrebaczek!

–I za jaką cenę – odparł ostro Canoe.

Od tego dnia chodził drażliwy i często ponury. Powiedział matce, by poczyniła przygotowania do wizyty Ogge'a, i oczywiście usłuchała. Czekali. Canoe nie oddalał się zanadto od Kamiennego Domu, nie chcąc, by musiała przyjmować Ogge'a sama. Minęło pół miesiąca, zanim się zjawił.

Przybył w towarzystwie tej samej świty; kobiet w niej nie było. Ojciec, drażliwy na punkcie honoru, to także uznał za obelgę. Nie puścił jej płazem.

–Żałuję, żeś nie przywiózł ze sobą żony – powiedział.

Ogge zaczął przeproszać i tłumaczyć, że żona jest zmęczona obowiązkami domowymi, zresztą jest słabego zdrowia.

–Ale nie może się doczekać twojej wizyty w Drummancie

–rzekł, zwracając się do Melle. – W dawnych czasach częściej składano sobie wizyty w posiadłościach. Teraz gościnność na Wyżynach podupadła. W miastach Nizin wygląda to bez wątpienia ina-

czej, lecz tam ma się wielu sąsiadów, ludzi gęsto niczym kruków na ścierwie, jak powiadają.

–Tak, w mieście jest zupełnie inaczej – odparła matka potulnie, onieśmielona jego donośnym głosem, którym zawsze zdawał się wysyłać powściągane groźby.

–A to pewnie twój chłopak, którego już widziałem – dodał, odwracając się nagle do mnie. – Caddard, tak?

–Orrec – sprostowała matka.

Zabrakło mi tchu.

–No, Orrec, podnieś głowę, pozwól mi ujrzeć swoją twarz. Boisz się drumowego oka, co? – Znowu się roześmiał.

Serce biło mi w gardle tak mocno, że prawie się dławilem, ale spojrzałem w tę wielką, wiszącą nade mną twarz. Ledwie widziałem oczy Ogge'a pod ciężkimi, opadającymi powiekami. Patrzyły na mnie spomiędzy zmarszczek i worów, nieruchome i puste niczym oczy węża.

–Jak słyszę, twój dar się ujawnił. – Zerknął na mojego ojca.

Oczywiście Alloc rozpowiedział wszystkim wokoło o żmii – zaskakujące, jak szybko rozchodzą się wieści na Wyżynach, gdzie wydawałoby się, nikt nie rozmawia z nikim oprócz najbliższej rodziny, a i to nieczęsto.

–Tak – powiedział Canoe, patrząc na mnie, nie na Ogge'a.

–Więc jednak się sprawdził – powiedział Ogge tak ciepło, że z trudem pojąłem, iż jest to bezczelna obelga pod adresem mojej matki. – Odczynianie... ha, to ci dopiero moc! W Drummancie, jak wiecie, są tylko kobiety z rodu Caspro. Oczywiście mają dar, ale nie mogą tego udowodnić. Może mały Orrec urządzi nam pokaz? Zgodziłbyś się, chłopcze?

Grzmiący głos był dobrotliwy i natarczywy. Nie można było odmówić. Nie odpowiedziałem, ale grzeczność nakazywała jakąś reakcję. Skinąłem głową.

–Dobrze, więc na twój przyjazd nałapiemy węży, hę? A może, jeśli zechcesz, oczyścisz naszą starą stodołę ze szczurów i kociąt. Miło wiedzieć, że dar się ujawnił – to powiedział do ojca, z tą samą grzmiącą dobrotliwością – bo mam pewien zamysł dotyczący mojej wnuczki, córki mego najmłodszego, o czym możemy pomówić, gdy przyjedziecie do Drummantu. – Wstał. – Teraz widzisz, że nie taki ze mnie potwór, jak zapewne ci opowiadano – to do mojej matki –więc może zaszczyisz nas wizytą w maju, kiedy drogi obeschną?

–Z przyjemnością, panie – odparła Melle, także wstając,
i skłoniła głowę nad dłońmi o splecionych palcach, co na Nizinach
było gestem uprzejmego szacunku, dla nas zupełnie obcym.

Ogge zagapił się na nią, jakby przez ten gest nagle naprawdę
ją dostrzegł. Matka stała w postawie pełnej szacunku i swobody.

Urodą nie przypominała żadnej z kobiet na Wyżynach – drobno-
kościasta, zgrabna, subtelna. Widziałem, że jego wielka twarz się
zmienia, nabrzmięwa emocjami, których nie potrafiłem odczytać

–zdumieniem, zazdrością, głodem, nienawiścią?

Huknął na swych towarzyszy, którzy zebrali się przy stole za-
stawionym dla nich przez matkę. Ruszyli do koni na podwórcu
i odjechali. Matka spojrzała na resztki *uczty*.

–Mieli apetyt – powiedziała z dumą gospodyni, lecz i mar-
kotnie, bo ze wszystkich zgromadzonych z trudem i troską przy-
smaków nic dla nas nie zostało.

–Jak kruki na ścierwie – zacytował Canoe oschle.

Roześmiała się cicho.

–Nie jest dyplomata.

–Nie wiem, kim jest. I dlaczego przyjechał.

–Chyba w sprawie Orreca.

Ojciec zerknął na mnie, ale ja stałem jak przyrośnięty do miejsca.

–Może – powiedział, najwyraźniej odwlekając rozmowę do

chwili, kiedy nie będę słyszał.

Matka nie miała takich skrupułów.

–Czy on mówił o zaręczynach?

–Dziewczynka jest w odpowiednim wieku.

–Orrec jeszcze nie ma czternastu lat!

–Ona jest tylko trochę młodsza. Ale przez matkę pochodzi z Casprów.

–Zaręczyny dzieci?

–Nic w tym nie ma niezwykłego – stwierdził Canoe chłodno.

–To tylko obietnica. Na małżeństwo będzie się czekać latami.

–Jest dużo za wcześnie na jakiegokolwiek zobowiązania.

–Takie sprawy najlepiej ustalić i wiedzieć z góry. Małżeństwo to poważny układ.

–Nie chcę o tym słyszeć – powiedziała matka cicho, kręcąc głową. Wcale nie mówiła wyzywającym tonem, ale nieczęsto się sprzeciwiała i chyba dlatego ojciec, rozdrażniony, posunął się dalej niż normalnie.

–Nie wiem, czego chce Drum, ale jeśli proponuje zaręczyny, jest to wspaniałomyślna oferta, którą musimy rozważyć. Na zachodzie nie ma drugiej dziewczynki prawdziwej krwi Caspro.

–Canoe spojrział na mnie i mimo woli przyszło mi do głowy, że tak samo patrzył na żrebaki i klaczki, tym samym uważnym spojrzeniem, szacując ich przyszłe potomstwo. – Zastanawiam się tylko, skąd ta propozycja. Może uważa ją za rekompensatę.

Melle otworzyła szeroko oczy.

Musiałem tę zagadkę rozwikłać. Czy chodziło o rekompensatę za trzy kobiety, które mógł poślubić, by zachować czystość krwi, a Ogge mu je odebrał z przekory, zmuszając go do poszukania żony bez dobrego pochodzenia?

Matka poczerwieniała, tak że jej jasnobrązowa skóra pociemniała niczym zimowe niebo o zachodzie.

–Czy spodziewałeś się... rekompensaty? – spytała ostrożnie.

Canoe był jak wykuty z kamienia.

–Tak by było sprawiedliwie. Można by naprawić parę płotów...

Daredan nie była staruszką. Była na tyle młoda, że urodziła Sebbowi Drumowi tę córkę. – Stał ze spuszczonego wzrokiem, zamyślony.

–Skoro złożył propozycję, musimy ją rozważyć. Drum jest naszym wrogiem. Mógłby być przyjacielem. Jeśli jego ofertą jest przyjaźń, muszę ją przyjąć. A dla Orreca to nadspodziewana szansa.

Melle milczała. Wyraziła swój sprzeciw i nie miała już nic więcej do powiedzenia. Zwyczaj zaręczania dzieci był dla niej nowy i niesmaczny, lecz dobrze знаła zasadę planowania przyzwoitego związku i zapewnienia rodowi finansowych i społecznych zysków dzięki małżeństwu. A co do przyjaźni i wrogości między posiadłościami i dbania o czystość krwi – nie urodziła się tutaj, była obca, musiała zaufać wiedzy i osądowi męża.

Ale ja także miałem własne zdanie, a ponieważ matka była po mojej stronie, ważyłem się odezwać.

–Ale jeśli mnie zaręczycie z tą dziewczyną z Drummantu, co będzie z Gry?

–Co z Gry? – spytał ojciec, udając niezrozumienie, co nigdy mu się nie zdarzało.

–Gdybym chciał poślubić Gry?

–Jesteś za młody! – wybuchnęła matka. Zrozumiała dopiero po chwili, co powiedziała.

Ojciec milczał przez jakiś czas.

–Już rozmawiałem o tym z Ternokiem – powiedział z trudem, wrywając z siebie zdanie po zdaniu. – Gry pochodzi z wielkiego rodu i ma silny dar. Jej matka pragnie, by poślubiono ją Annrenowi Barre z Cordemantu, by zachować czystość krwi. Decyzja jeszcze nie zapadła. Ale ta dziewczyna z Drummantu pochodzi z naszego rodu. To sprawa wielkiej wagi – dla mnie, dla ciebie, dla naszego ludu. To szansa, której nie możemy odrzucić. Teraz Drum jest naszym sąsiadem, a powiązanie rodów małżeństwem to metoda nawiązania przyjaźni.

–Zawsze przyjaźniliśmy się z Roddmantem – nie ustępowałem.

–Nie zaprzeczam. – Ojciec spojrzał na nieład na stole, nagle, pomimo całej zdecydowanej przemowy, niepewny. – Zostawmy to na razie – powiedział w końcu. – Drum mógł nie mieć nic wielkiego na myśli. Raz jest serdeczny, raz nie. Pojedziemy tam w maju i zobaczymy, o jaką stawkę toczy się gra. Może źle go zrozumiałem.

–Jest nieokrzesany, ale zdaje się, że ma dobre zamiary – uważała matka.

„Nieokrzesany” – jeszcze nigdy o nikim nie wyraziła się tak nieprzychylnie. Znaczyło to, że wyjątkowo nie przypadł jej do gustu.

Jednak nie była podejrzliwa, wręcz przeciwnie, zwykle widziała u innych dobrą wolę i często się z nią spotykała. Mieszkańcy naszego domu chętnie pracowali z nią i dla niej; najbardziej opryskliwi

gospodarze rozmawiali z nią serdecznie, a stare małomówne wieśniaczki zwierzały się Melle jak siostrze ze swoich smutków.

Nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę Gry i opowiem jej o tej wizycie. Do tej pory, posłuszny kapryswi Ogge'a, nie opuszczałem domu, ale zwykle mogłem chadzać, gdzie tylko zechciałem, jeśli zakończyłem pracę, więc następnego dnia po południu powiedziałem matce, że jadę do Roddmantu. Spojrzała na mnie, aż się zarumieniłem, ale nic nie powiedziała. Spytałem ojca, czy mogę wziąć kasztanka. Rozmawiałem z nim z niezwykłą pewnością siebie. Widział, że wykazałem się darem naszego rodu, słyszał, że mówiono o mnie jako o przyszłym oblubieńcu, więc nie zdziwiłem się, że mi pozwolił bez upominania, bym nie spłoszył bydła i nie zgonił konia, co miał w zwyczaju, kiedy byłem trzynastoletnim młokosem, a nie czternastoletnim mężczyzną.

Wyruszyłem pełen godności, zarozumiały. Mój źrebak Książę szedł cudownie, sprężyste. Na łagodnych zboczach Długich Dolin galopował płynnie, jakby leciał w powietrzu. Nie zwracał uwagi na gapiące się bydło, zachowywał się idealnie, jakby wiedział, że oto niesie w siodle prawdziwego mężczyznę. Byłem dumny z nas obu, gdy przybyliśmy w galopie do Kamiennego Domu Roddman-tu. Posłałem dziewczynę, by powiadomiła Gry o moim przybyciu, a sam powoli oprowadziłem Księcia po dziedzińcu, żeby ochłonął. Był wysoki i wspaniały, jego jeździec także uważał się za wspania-łego i godnego podziwu. Paradowałem po dziedzińcu jak paw, kie-dy Gry wybiegła mi na spotkanie. Źrebak oczywiście zareagował na jej dar; postawił uszy, zrobił krok w jej stronę, nieco skłonił łeb i przytulił swoje wielkie czoło do jej czoła. Przyjęła ten pokłon poważnie, pogładziła go po głowie, delikatnie dmuchnęła w noz-drza i zaczęła wydawać ciche dźwięki, które nazywała zwierzęcą mową. Do mnie się nie odezwała, ale uśmiechnęła promiennie.

–Kiedy ochłonie, chodźmy do wodospadu – zaproponowałem, więc gdy Książę znalazł się w stajni, z garścią siana i owsa, Gry i ja wyruszyliśmy w dolinę.

Jakąś milę za potokiem dwa jego dopływy wpadały w mrocz-ną, wąską szczelinę i spływały z głazu na głaz w głębokie oczko wodne. Chłodny, nieustanny wiatr od wody kołysał krzewami dzi-

kich azalii i czarnych wierzb. W ich gałęziach zawsze krył się ptaszek wyśpiewujący trzytonową melodię, a przy jeziorku uwił sobie gniazdko kos. Brodząc w wodzie, weszliśmy pod wodospad, a potem wspinaliśmy się na kamienie, zaczęliśmy pływać, bawić się i krzyczeć, aż wreszcie wpełzliśmy na wysoki, szeroki głaz zalany

słońcem. Tam położyliśmy się, żeby wyschnąć. Była wczesna wiosna, jeszcze nie zrobiło się ciepło, woda była lodowata, lecz my jak foki nie czuliśmy zimna.

Nie znaleźliśmy nazwy dla tego głazu, ale od lat na nim rozmawialiśmy.

Przez jakiś czas leżeliśmy, dysząc i ociekając wodą w promieniach słońca. Jednak nie mogłem utrzymać języka za zębami i wkrótce zacząłem mówić.

–Brantor Ogge Drum złożył nam wczoraj wizytę.

–Raz go widziałam – stwierdziła Gry. – Kiedy matka zabrała mnie tam na polowanie. Wygląda, jakby połknął beczkę.

–To wielki człowiek – oznajmiłem zarozumiale. Chciałem, żeby uznała wspaniałość Ogge'a, bo wtedy należycie doceniłaby moją rezygnację z wejścia do jego rodziny. Ale przecież jeszcze jej o tym nie powiedziałem. A teraz, kiedy nadeszła pora, nagle okazało się to trudne.

Leżeliśmy na brzuchach na ciepłej gładkiej skale, dwie chude jaszczurki. Głowy zbliżyliśmy do siebie, żeby rozmawiać cicho, tak jak lubiła Gry. Nie robiła z niczego tajemnic i potrafiła wrzeszczeć jak żbik, ale zwykle nie podnosiła głosu.

–Zaprosił nas w maju do Drummantu.

Nie odpowiedziała.

–Powiedział, że chce mnie poznać ze swoją wnuczką, która pochodzi z Casprów ze strony matki. – Usłyszałem w swoich słowach echo głosu ojca.

Gry mruknęła coś niewyraźnie i bardzo długo się nie odzywała. Oczy miała zamknięte. Mokre splecione włosy zasłaniały jej część twarzy, z drugiej strony spiętrzyły się na skale. Wydawało mi się, że zasnęła.

–I zrobisz to? – wymamrotała, nadal z zamkniętymi oczami.

–Czy się spotkam z jego wnuczką? Oczywiście.

–Zaręczysz się.

–Nie! – odparłem urażony, ale bez wahania.

–Na pewno?

Po chwili powiedziałem „tak” – z mniejszą urazą, lecz bez większej pewności.

–Matka chce mnie zaręczyć – powiedziała Gry. Odwróciła głowę i teraz z brodą opartą na kamieniu spoglądała wprost przed siebie.

–Z Annrenem Barre z Cordemantu – powiedziałem zadowolony, że to wiem.

Gry się nie ucieszyła. Nie znosiła świadomości, że ludzie o niej mówią. Chciała żyć niewidzialna, jak ten ptaszek z czarnej wierzby. Nie odpowiedziała i poczułem się głupio. Dodałem przepaszająco:

–Nasi ojcowie o tym rozmawiali. – Nadal nie odpowiadała.

Ona spytała, dlaczego ja nie miałbym spytać jej? Ale było mi trudno. W końcu się zmusiłem. – 1 zrobisz to?

–Nie wiem – wymamrotała przez zaciśnięte zęby, z brodą na kamieniu, wzrokiem wbitym przed siebie.

Piękna nagroda, pomyślałem, za to, że bez namysłu odpowiedziałem na jej pytanie. Dla niej chciałem odtrącić córkę Druma, a Gry nie zamierza zrezygnować dla mnie z Annrena Barre? To mnie dotkliwie zabolowało.

–Myślałem zawsze... – urwałem.

–Ja też – szepnęła. A po chwili dodała tak cicho, że wodospad niemal zagłuszył jej słowa: – Powiedziałam matce, że nie oddam ręki, dopóki nie skończę piętnastu lat. Nikomu. Ojciec się zgodził. Ona się rozgniewała.

Nagle odwróciła się na plecy i spojrzała w niebo. Ja zrobiłem tak samo. Nasze dłonie leżały blisko siebie, na kamieniu, ale się

nie dotykały.

–Kiedy będziesz miała piętnaście lat – powiedziałem.

–Kiedy będziemy mieli piętnaście lat.

Potem bardzo długo milczeliśmy. Leżałem w słońcu i czułem szczęście – tak jak czułem ciepło słońca i twardość skały.

–Przywołaj ptaka – szepnąłem.

Zagwizdała trzy nutki i z rozkołysanego gąszczu pod nami nadeszła słodka, natychmiastowa odpowiedź. Po chwili ptak znowu się odezwał, ale Gry nie odpowiedziała.

Mogła przywabić go na dłoń, na palec, ale tego nie zrobiła.

W zeszłym roku, gdy jej moc ujawniła się z pełną siłą, bawiliśmy się jej darem na najróżniejsze sposoby. Zostawiała mnie na polance w lesie, nie mówiąc, czego mam się spodziewać, a ja wytężałem wzrok z czujnością myśliwego, aż w końcu na skraju polanki stawała sarna z młodymi, zawsze mnie zaskakując. Albo czułem zapach lisa i szukałem go tak długo, aż ujrzałem siedzącego w trawie niespełna sześć kroków ode mnie, skromnie ni-

czym domowy kot, z ogonem wytwornie owiniętym wokół łapek. Kiedyś owionął mnie skisły odór, od którego włosy zjeżyły mi się na głowie i rękach; zaraz potem przez polankę przeszedł brunatny niedźwiedź o ciężkich łapach i lekkim kroku, po czym, nie spojrzawszy na mnie, zniknął w lesie. Wówczas na polance zjawiała się Gry. „Podobało ci się?” – pytał jej nieśmiały uśmiech. Przyznałem, że wystarczy mi ten jeden niedźwiedź. Powiedziała tylko:

–Mieszka na zachodnim zboczu góry Airn. Zszedł tu po ryby.

Potrafiła zwabić z nieba jastrzębia lub skłonić pstrąga, by wyskoczył nad wodę. Raz, będąc w psotnym nastroju, kazała chmarom komarów ścigać pewnego pasterza po całych bagnach pod Czerwonym Kopcem. Biedak oganiał się, machał rękami i sadził dzikimi skokami, a my w ukryciu prychaliśmy, parskaliśmy i płakaliśmy z radości.

Ale wtedy byliśmy dziećmi.

Teraz, gdy tak leżeliśmy obok siebie, wpatrzeni w krystaliczne niebo i niespokojne liście na jego tle, z ciepłą skałą pod plecami i ciepłymi promieniami na twarzach, poprzez to spokojne szczęście zakradła się do mnie myśl, że muszę powiedzieć Gry niejedno. Rozmawialiśmy o narzeczeństwie. Ale ani ja, ani ona nie wspomnieliśmy o moim ujawnionym darze.

Od tamtego dnia minęło ponad pół miesiąca. Przez cały ten czas nie widziałem Gry, bo razem z ojcem i Allokiem naprawialiśmy ogrodzenie na pastwisku, a poza tym czekaliśmy w domu na wizytę Ogge'a. Skoro Ogge usłyszał o żmii, to Gry także słyszała. A jednak nie powiedziała nic. I ja nic nie mówiłem.

Myślałem, że czeka, aż o tym napomknę. A potem pomyślałem, że może czeka, aż zademonstruję jej swoją moc. Że pokażę ją, tak po prostu i bez trudu, jak ona, kiedy zagwizdała na ptaka. Ale nie mogę, pomyślałem i spokój mnie opuścił. Nie mogę tego zrobić. Natychmiast się rozzłościłem. Dlaczego muszę coś uśmiercić, zniszczyć? Dlaczego mam taki dar? Nie chcę tego zrobić i nie zrobię! Ale przecież wystarczy, żebyś rozplatał węzeł, odezwał się we mnie jakiś chłodniejszy głos. Niech Gry mocno zasupła wstążkę, a ty ją rozplączesz spojrzeniem. To potrafi zrobić każdy obdarzony mocą. Na przykład Alloc. A gniewny głos powtórzył: Nie chcę, nie chcę tego zrobić i nie zrobię!

Usiadłem i podparłem głowę rękami.

Gry usiadła obok mnie. Podrapała świeżo zagojoną ranę na chudej opalanej nodze, na chwilę rozcapierzyła opalone palce u stóp. Byłem pogrążony we własnym nagłym strachu i gniewie, a jednak zdałem sobie sprawę, że Gry chce coś powiedzieć, że zmusza się, by coś mi powiedzieć.

–Ostatnim razem poszłam z matką do Cordemantu... – zaczęła.

–Wtedy go widziałaś.

–Kogo?

–Tego Annrena.

–O, widziałam go już przedtem – odparła całkiem obojętnie.

–Chodziło o wielkie polowanie. Na łosie. Chcieli, żebyśmy przywołały stado, które schodzi z Ranny od strony Airn. Było sześciu kuszników. Matka kazała mi przywołać łosia. Nie chciałam. Ale ona powiedziała, że muszę. Powiedziała, że ludzie nie uwierzą w moją moc, jeśli jej nie użyję. Odpowiedziałam, że wolę trenować konie. A ona, że każdy to potrafi, a nas potrzebują, żebyśmy przywołały łosie. Powiedziała: „Nie możesz skąpic daru potrzebującym”. Więc poszłam z nią na polowanie. I wezwałam łosie. – Jakby widziała łosie idące ku niej w powietrzu, na naszą wysoką skalną półkę. Westchnęła ciężko. – Przybyły... Łucznicy zastrzelili pięć. Trzy młode byki, starego i klępę. Przed rozstaniem dali

nam mnóstwo mięsa i prezentów. Baryłkę miodu, przędzę i tkani-
ny. Dostałam od nich piękny szal. Pokażę ci. Matka była bardzo
zadowolona. Dali nam też nóż. Piękny. Ma rękojeść z rogu łosia,
oprawną w srebro. Ojciec mówi, że to stary sztylet bojowy. Posłali
go mu żartem. Hanno Corde powiedział: „Wy spełniacie nasze
pragnienie, my spełniamy wasze niepragnienie!”. Ale ojcu się
spodobał. – Objęła kolana i znowu westchnęła, coś ją dręczyło.
Nie wiedziałem, dlaczego mi to opowiedziała. Nie musiała
mieć powodu; zwierzałiśmy się ze wszystkiego, co nas spotykało,
ze wszystkich przemyśleń. Nie chwaliła się nigdy. Nie wiedziałem,
co znaczyło dla niej to polowanie, czy była z niego zadowolona,
dumna. Może sama nie wiedziała i opowiedziała mi o tym, żeby się
przekonać. Może opowiadając, prosiła o moją historię, mój
triumf. Ale o tym nie mogłem opowiedzieć.

–Kiedy przywołujesz... – chciałem zapytać, lecz urwałem.

Czekała.

–Jakie to uczucie?

–Nie wiem.

Nie zrozumiała mojego pytania; sam ledwie je rozumiałem.

Spróbowałem ująć to inaczej.

–Kiedy twój dar zadziałał po raz pierwszy, skąd wiedziałaś, że się udało? Czy to się jakoś różniło od... od... od tych razów, kiedy się nie udawało?

–Tak.

I nic więcej.

Czekałem.

–Po prostu się udało. – Zmarszczyła brwi, poruszyła palcami u stóp, zastanowiła się i w końcu powiedziała: – Mój dar się różni od twojego. Ty musisz używać oka i...

Zawahała się, a ja dokończyłem:

–Oka, ręki, słowa, woli.

–Tak. A przy przywoływaniu trzeba tylko znaleźć zwierzę i pomyśleć o nim, i oczywiście z każdym jest inaczej, ale to zawsze tak jakby się wyciągnęło rękę albo głośno zawołało, tylko nie używasz ręki ani głosu.

–Ale wiesz, kiedy się udaje.

–Tak. Bo przychodzą. Wiesz, gdzie są. Czujesz to. A one odpowiadają. Albo się zjawiają... to jak sznurek między tobą i nimi.

Sznurek, linka, stąd – dotknęła mostka – pomiędzy tobą i nimi.

Naciągnięta. Jak struna skrzypiec, wiesz? Jeśli tylko jej dotkniesz, odezwie się. – Musiałem mieć głupią minę. Pokręciła głową. – Trudno o tym mówić!

–Ale wiesz, że to robisz, kiedy to robisz.

–O tak. Nawet zanim wezwę jakieś zwierzę, czasami czuję tę strunę. Ale nie jest dobrze napięta. Nie jest nastrojona.

Siedziałem zgarbiony. Usiłowałem powiedzieć coś o żmii. Słowa się nie zjawiały.

–Jak było z tobą, kiedy zabiłeś żmiję? – spytała Gry.

W ten prosty sposób wyzwoliła mnie z milczenia.

Nie mogłem się z tym pogodzić. Zacząłem mówić i rozplakałem się. Na jedną chwilę. Łzy mnie rozzłościły, zawstydziły.

–W ogóle nie było – powiedziałem. – To było... nic. Łatwizna.

Wszyscy robią wokół tego taki hałas. To głupie!

Wstałem, podszedłem na skraj skały, oparłem ręce na kolanach i wychyliłem się, spoglądając w jeziorko pod wodospadem.

Chciałem zrobić coś niebezpiecznego, odważnego, brawurowego.

–Chodź! – zawołałem. – Kto pierwszy będzie w wodzie?

Gry zerwała się i śmignęła ze skały szybko jak wiewiórka.

Wygrałem, ale przy okazji otarłem oba kolana.

•

Wróciłem na Księciu przez słoneczne pagórki, zrobiłem z nim parę okrążeń, żeby ostygł, wytarłem go i wyczesalem, napoiłem, nakarmiłem, zostawiłem trącającego chrapami Deresze i wróciłem z poczuciem spełnienia obowiązków, jak na mężczyznę przystało. Ojciec nie odezwał się i to także było jak należy; założył z góry, że wykonałem to, co miałem do zrobienia. Po kolacji matka opowiedziała nam historię z „Chamhan”, sagi o ludzie Bendramanu, którą znała od początku do końca. Opowiedziała, jak heros Hamneda najechał na miasto demonów, jak został pokonany przez króla tego miasta i musiał uciekać na pustkowie. Ojciec słuchał równie przejęty jak ja. Zapamiętałem ten wieczór jako ostatni... ostatni dobry dzień? Ostatni dzień mojego dzieciństwa? Nie wiem, co wtedy dobiegło końca, ale następnego ranka obudziłem się w odmiennym świecie.

–Wyjdź ze mną – powiedział ojciec późnym popołudniem. Sądziłem, że chce się ze mną wybrać na przejażdżkę, lecz on tylko poprowadził mnie w stronę jesionowego zagajnika, aż dom znikł nam z oczu i znaleźliśmy się na odległej, porośniętej trawą i pod-

mokłej dolinie Jesionowego Potoku. Idąc, nie odzywał się ani słowem. Zatrzymał się na pagórku nad strumieniem.

–Orrec, pokaż mi swój dar – powiedział.

Wspomniałem, że spełnianie jego poleceń zawsze było dla mnie przyjemnością, choć nie zawsze łatwą. I że był to bardzo głęboko zakorzeniony nawyk, utrwalany przez całe życie i nigdy nie-pogwałcony zwyczaj. Po prostu nie przychodziło mi na myśl, że mógłbym ojca nie posłuchać. To, czego ode mnie wymagał, nawet jeśli trudne, zawsze było wykonalne, a jeśli niezrozumiałe, zawsze okazywało się rozsądne, słuszne. Rozumiałem, o co mnie teraz prosi i dlaczego. Ale nie chciałem tego zrobić.

Krzemień i stalowe ostrze mogą latami leżeć obok siebie i nic się nie stanie, ale wystarczy uderzyć jednym o drugie, żeby zaiskrzyło. Bunt pojawia się natychmiast, w ułamku sekundy, iskra, pożar.

Patrzyłem mu w twarz, jak zwykle kiedy wymawiał moje imię w taki sposób, i milczałem.

Wskazał pobliską zmierzwioną kępę trawy i powoju.

–Odczyń to – powiedział tonem nie rozkazującym, lecz zachęcającym.

Stałem nieruchomo. Zerknąłem tylko raz na kępę i już na nią nie patrzyłem.

Ojciec czekał. W jego postawie zaszła nieznaczna zmiana, wzrost napięcia. W końcu spytał cicho:

–Zrobisz to?

–Nie – odparłem.

Znowu to milczenie między nami. Słuchałem szemrania potoku i ptaka śpiewającego daleko nad naszymi głowami w jesionowym zagajniku, i krowy ryczącej na przydomowym pastwisku.

–Możesz to zrobić?

–Nie chcę.

Znowu milczenie. Potem powiedział:

–Nie ma się czego bać.

Zagryzłem wargę i zacisnąłem pięści.

–Nie boję się.

–Aby panować nad darem, musisz go użyć – mówił tak łagodnie, że zachwiałem się w postanowieniu.

–Nie użyję go.

–Więc on może użyć ciebie.

Tego się nie spodziewałem. Co mi mówiła Gry o tym, że korzysta się z daru, a dar korzysta z ciebie? W tej chwili nie potrafiłem sobie przypomnieć. Byłem zbity z tropu, ale nie chciałem tego przyznać.

Pokręciłem głową.

Wtedy zmarszczył brwi. Wyprostował się, jakby stał przed przeciwnikiem. Znowu się odezwał, a w jego głosie nie było już czułości.

–Musisz pokazać swój dar – rzekł. – Jeśli nie mnie, to innym.

Decyzja nie do ciebie należy. Posiadać moc oznacza służyć mocy.

Będziesz brantorem Caspromantu. Ludzie będą na tobie polegać, tak jak teraz na mnie. Musisz im pokazać, że zasługujesz na zaufanie. I musisz się nauczyć, jak korzystać z daru.

Pokręciłem głową.

Po kolejnej chwili nieznośnego milczenia spytał niemal szep-tem:

–Chodzi o uśmiercanie?

Nie wiedziałem, czy to o to chodzi, czy buntuję się przeciwko świadomości, że mój dar jest niszczący. Myślałem o tym, niezbyt klarownie, choć często z mdlącym przerażeniem wracałem do wspomnień o szczurze, żmii... Teraz wiedziałem tylko, że nie zgadzam się na tę próbę, nie zgadzam się, by ta straszna moc była we mnie. Ale Canoe otworzył przede mną drzwi, a ja z nich skorzystałem. Kiwnąłem głową.

Wtedy westchnął głęboko – była to jedyna oznaka rozczarowania czy zniecierpliwienia. Pogrzebał w kieszeni płaszcza i wyjął sznurówkę. Zawsze nosił przy sobie kawałki sznurków, przydatnych w obejściu na tysiąc rozmaitych sposobów. Zrobił supeł na sznurówce i rzucił ją na ziemię między nas. Nie powiedział nic, ale spojrzał na nią i na mnie.

–Nie jestem psem, żebym miał robić przed tobą sztuczki!

–wybuchnąłem.

Między nami zaległo okropne, głuche milczenie.

–Słuchaj – powiedział ojciec. – Jeśli w Drummancie nie pokazesz daru, co pomyśli i powie Ogge? Jeśli nie będziesz się chciał nauczyć korzystać ze swojej mocy, nasi ludzie nie będą mieli się do kogo zwrócić o pomoc. – Zaczerpnął powietrza i przez chwilę jego głos zadrżał z gniewu. – Sądzisz, że lubię zabijać szczury? Czy jestem terierem? – Odwrócił wzrok. – Pomyśl o swoim obowiązku.

Naszym. Pomyśl o tym, a kiedy zrozumiesz, przyjdź do mnie.

Pochylił się, podniósł sznurek, rozplatał go, włożył do kieszeni i odszedł ku jesionowemu zagajnikowi.

Teraz, kiedy to wspominam, myślę o tym, jak oszczędził ten kawałek sznurka, ponieważ był przydatny, należało go szanować –i znowu chce mi się płakać, ale nie są to łzy wstydu i furii, które wylałam tamtego dnia, odchodząc doliną nad strumieniem.

Potem nic między ojcem i mną nie mogło już być takie jak kiedyś, bo teraz między nami leżała jego prośba i moja odmowa. Ale traktował mnie nadal tak samo. Przez kilka dni nie wracał do sprawy. A kiedy wrócił, nie był to rozkaz, lecz niedbałe pytanie. Wracaliśmy wtedy konno z naszej wschodniej granicy.

–Czy jesteś już gotów wypróbować swoją moc?

Determinacja urosła wokół mnie jak mur, kamienna baszta, która mnie chroniła przed jego żądaniami, jego pytaniami, moimi pytaniami. Odpowiedziałem natychmiast:

–Nie.

Moja beznamiętna pewność musiała nim wstrząsnąć. Nic nie odpowiedział. Nie odezwał się do mnie przez całą drogę powrotną. Nie odezwał się do końca tego dnia. Był gniewny. Matka to dostrzegła i prawdopodobnie odgadła przyczynę.

Następnego ranka zaprosiła mnie do swojej komnaty pod pozorem przymiarki płaszcza, który dla mnie szyła. Stałem z rękami wyciągniętymi na boki niczym słomiana lalka, a ona na klęczkach wyciągała fastrygę z materiału i zaznaczała dziurki na guziki.

–Ojciec się martwi – odezwała się, trzymając w ustach szpilki.

Naburmuszyłem się i nic nie powiedziałem.

Wyjęła szpilki z ust i przysiadła na piętach.

–Mówi, że nie wie, dlaczego brantor Ogge tak się zachował.

Sam wprosił się tutaj, nas zaprosił tam, wspomniał o swojej wnuczce i tak dalej. Ojciec twierdzi, że między Drumami i Casprami nigdy nie było przyjaźni. Powiedziałam: „Lepiej późno niż wcale”, ale on tylko kręci głową. Martwi się.

Nie tego się spodziewałem i to mnie wytrąciło z zapażenia w siebie. Starąłem się powiedzieć coś mądrego i krzepiącego.

–Może Ogge zrobił to dlatego, że teraz nasze posiadłości ze sobą graniczą.

Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

–I to go martwi – powiedziała Melle. Włożyła szpilkę między wargi, a drugą wbiła w skraj płaszcza. Był to męski płaszcz z czarnego filcu, mój pierwszy. – Więc tak... – odezwała się, znowu wyjąwszy szpilkę z ust, i odstąpiła, by mi się przyjrzeć. – Bardzo bym chciała, żeby było już po tej wizycie!

Poczucie winy przytłoczyło mnie, jakby ten czarny płaszcz był zrobiony z ołowiu.

–Mamo, on chce, żebym ćwiczył swój dar, odczynianie, a ja nie chcę i to go gniewa.

–Wiem. – Dalej dopasowywała płaszcz, a potem na mnie spojrzała, podnosząc głowę, bo klęczała, a ja stałem. – W tym nie mogę pomóc żadnemu z was. Ja tego nie pojmuję. Nie mogę się mieszać. Nie mogę też stawać między tobą a ojcem. Ciężko jest widzieć wasze zmartwienie. Powiem ci tylko, że on cię o to prosi ze względu na ciebie, na nas wszystkich. Z pewnością by tego nie robił, gdyby chodziło o coś złego.

Oczywiście musiała stanąć po jego stronie. Tak było słusznie i sprawiedliwie, ale także nie w porządku, nie w porządku wobec mnie, że on ma po swojej stronie całą moc, prawo, rację, nawet ją –

a przez to staję się samotnym, głupim uparciuchem, niezdolnym do korzystania z mocy, domagania się swoich praw, obrony własnych racji. Zamknąłem się we wściekłym wstydzie jak w kamiennej wieży.

–Czy nie chcesz korzystać ze swej mocy, by nie krzywdzić zwierząt? – spytała nieśmiało. Nawet wobec mnie była nieśmiała, pokorna wobec tego nadprzyrodzonego daru, o którym tak mało wiedziała.

Nie przytaknąłem, nie zaprzeczyłem. Spojrzała mi w twarz, a potem zajęła się pracą i dokończyła ją w milczeniu. Zsunęła mi z ramion płaszcz, przytuliła mnie, pocałowała w policzek.

Potem Canoe jeszcze dwa razy pytał, czy wypróbuję moc.

Dwa razy odmówiłem w milczeniu. Za trzecim razem nie pytał, lecz powiedział:

–Orrec, teraz musisz mnie posłuchać.

Milczałem. Byliśmy niedaleko od domu, ale nikogo wokół nie było. Nigdy nie sprawdzał moich umiejętności przy innych, nie chciał mnie zawstydząć.

–Powiedz, czego się boisz.

Wciąż milczałem.

Stanął przede mną blisko, z płonącymi oczami, a w głosie

miał tyle bólu i ognia, że podciął mnie nimi jak batem.

–Boisz się mocy, czy że nie masz mocy?

Zachłysnąłem się.

–Nie boję się! – krzyknąłem.

–Więc skorzystaj z daru! Natychmiast! Uderz w cokolwiek!

–Machnął prawą ręką. Lewą trzymał zaciśniętą, tuż przy boku.

–Nie! – Drżałem, dygotałem, obie zaciśnięte pięści przyciska-
łem do piersi, a głowę pochyliłem, bo nie mogłem znieść ognia
w jego oczach.

Usłyszałem, że odchodzi. Przeszedł ścieżką na przydomowy
dziedziniec. Nie podniosłem głowy. Patrzyłem na małą kępkę ja-
nowca, ledwie zaczynającą wypuszczać listki w kwietniowym słoń-
cu. Patrzyłem na nią i myślałem, że staje się czarna, sucha, poła-
mana, ale nie podniosłem dłoni, nie uderzyłem głosem ani wołą.

Patrzyłem na nią, zieloną, żywą, obojętną.

Potem ojciec już mnie nie prosił o użycie mocy. Wszystko toczy-
ło się codziennym trybem. Ojciec odzywał się do mnie tak jak zwykle.

Nie śmiał się i nie uśmiechał, a ja nie potrafiłem mu spojrzeć w twarz.

Kiedy tylko mogłem, jeździłem do Gry na Dereszy, bo nie
chciałem pytać, czy mogę brać żrebaka. Suka z Roddmantu wyda-

ła na świat gigantyczny miot, czternaście szczeniąt. Nie były już oseskami, psociły i często się z nimi bawiliśmy. Właśnie głaskałem jednego, kiedy Ternoc zatrzymał się obok nas.

–Weź sobie tego szczeniaka – powiedział. – Nam tyle nie potrzeba, a Canoe mówił, że przydałoby mu się parę ogarów. Będzie z niego ładny pies. – Szczeniak był najładniejszy z miotu, czarny, lekko podpalany. Byłem zachwycony.

–Weź Olbrzymka – odezwała się Gry. – Jest o wiele mądrzejszy.

–Ale ten mi się podoba. Taki przymilny. – Szczeniak lizał mnie po twarzy.

–Miluś – powiedziała Gry bez entuzjazmu.

–Nie, nie nazywa się Miluś! To... – Zacząłem szukać heroicznego imienia i znalazłem. – Nazywa się Hamneda.

Gry patrzyła z powątpiewaniem i niepokojem, ale się nie sprzeciwiła. I tak długonogi szczeniak pojechał ze mną do domu w koszyku przy siodle i przez jakiś czas był mi pociechą i kompanem. Ale oczywiście powinienem był posłuchać rady Gry, która

znała swoje psy jak nikt inny. Hamneda był głupi i nerwowy. Nie tylko zasikiwał podłogi jak każdy szczeniak, ale wszystko niszczył, tak że wkrótce otrzymał zakaz wstępu do domu. Plątał się koniom pod kopytami, zadusił naszą najlepszą łowną kotkę i jej kocięta, pogryzł ogrodnika i kucharza i wciąż przeraźliwie, bez powodu ujadął i skomlał. Nie można go było niczego nauczyć ani oduczyć, dosłownie niczego. Nie minęły dwa tygodnie, a miałem go serdecznie dosyć. Musiał być uwiązany przy domu, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Wstydzilem się przyznać – choćby przed sobą – do nielejalności wobec tego biednego, głupiego psa.

Pewnego ranka Alloc i ja wybieraliśmy się z ojcem na górskie pastwiska, by sprawdzić, ile cieląt przyszło na świat tej wiosny. Ojciec jak zwykle wziął Siwosza, ale tym razem kazał Allocowi dotrzeć Dereszy. Ja dostałem żrebaka. Tego ranka był to wątpliwy przywilej. Książę był w podłym nastroju. Rzucił łbem, wierzgał i usiłował gryźć, płoszył się, stawał dęba i na wszystkie sposoby starał się mnie skompromitować. Kiedy już wydawało się, że go opanowałem, nie wiadomo skąd wypadł Hamneda i rzucił się na żrebaka, ujadając i siekąc wokół zerwaną smyczą. Krzyknąłem na niego, a Książę natychmiast stanął dęba i wyrzucił mnie z siodła. Udało mi się nie spaść, podciągnąłem się na siodło i próbowałem zapanować nad żrebakiem, a wszystko w dzikim popłochu. Książę

w końcu się uspokoił. Wówczas zsiadłem i rozejrzałem się za psem.

Na bruku dziedzińca leżało coś bezkształtnego, czarno-brązowego.

–Co się stało? – spytałem.

Siedzący na koniu ojciec popatrzył na mnie.

–Nie wiesz?

Pomyślałem, że pies został stratowany przez Księcia – ale nie było krwi. Leżał jak pozbawiony kości, kształtu. Jedna długa czarno-brązowa noga wyglądała niczym wiotki sznurek. Zawróciłem konia, ale nie mogłem się zbliżyć do tego czegoś na bruku.

–Kto to zrobił? Ja czy ty? – spytał Canoe tonem, od którego zlodowaciałem.

–Orrec, ty to zrobiłeś – powiedział Alloc, podjeżdżając na Dereszy. – To pewne. Machnąłeś ręką. Broniłeś konia przed tym głupim psem.

–Nieprawda! – krzyknąłem. – Ja... ja go nie zabiłem!

–Wiesz to, czy nie jesteś pewien? – spytał Canoe niemal szyderczo.

–Było tak jak wtedy, gdy unicestwiłeś żmiję – powiedział Al-loc. – Silne oko!

Ale mówił z dziwnym napięciem lub troską. Z domu i obejścia zbiegli się ludzie. Konie płoszyły się, nie mogąc znieść bliskości martwego psa. Księżę, którego uzdę mocno ściągałem, pocił się i dygotał – tak jak ja. Nagle odwróciłem się i zwymiotowałem, ale nie puściłem cugli. Wytarłem usta, odzyskałem dech, zaprowadziłem Księcia do kamiennego schodka i znowu usiadłem w siodle. Ledwie mogłem mówić, ale spytałem:

–Jedziemy?

I wyruszyliśmy na górskie pastwiska. Całą drogę pokonaliśmy w milczeniu.

Tego wieczora spytałem, gdzie pochowali psa. Poszedłem tam, koło śmietnika. Nie potrafiłem szczerze opłakiwać biednego Hamnedy, ale był we mnie straszny żal. Gdy wracałem do domu, na ścieżce spotkałem ojca.

–Szkoda mi twojego psa – rzekł poważnie i cicho.

Tylko skinąłem głową.

–Chciałeś go unicestwić?

–Nie – powiedziałem, ale nie miałem całkowitej pewności, niczego nie byłem już pewien. Nie znosiłem tego psa, bo był głupi, bo wystraszył żrebaka, ale nie chciałem go przecież za to zabić!

–A jednak to zrobiłeś.

–Mimo woli?

–Nie wiedziałeś, że używasz daru?

–Nie!

Razem w milczeniu wracaliśmy do domu. Wiosenny zmrok był cichy i chłodny. Wieczorna gwiazda lśniła na zachodzie obok młodego miesiąca.

–Czy jestem jak Caddard? – spytałem szeptem.

Długo nie odpowiadał.

–Musisz się starać panować nad darem.

**–Ale nie potrafię. Kiedy chcę go użyć, nic się nie dzieje! Ty-
le razy próbowałem... tylko wtedy, kiedy się nie staram... kiedy jest tak jak ze żmiją... albo dzisiaj... i wtedy nie czuję, że coś robię... po prostu się dzieje...**

Moja kamienna baszta runęła w gruzy.

Canoe lekko położył mi rękę na ramieniu. Kiedy zbliżyliśmy się do bramy, powiedział:

–Istnieje coś, co nazywa się dzikim darem.

–Dzikim...?

–Darem, którego nie można opanować siłą woli.

–Czy jest niebezpieczny?

Skinął głową.

–Co się... co można zrobić? – spytałem.

–Cierpliwości – powiedział ojciec i znowu poczułem jego rękę na ramieniu. – Odwagi, Orrec. Dowiemy się, co musimy uczynić.

Sprawiło mi ulgę, że nie jest na mnie zły i że wreszcie uwolniłem się od wściekłego buntu; ale jego słowa przeraziły mnie tak, że tej nocy niewiele zaznałem spokoju. Rankiem wezwał mnie do siebie i poszedłem natychmiast. Jeśli mogę coś zrobić, zrobię to.

Tego ranka był milczący i chmurny. Myślałem, że ma to związek ze mną, ale gdy szliśmy ku dolinie Jesionowego Potoku, powiedział:

–Dziś rano przybył Dorec. Mówił, że zginęły dwie białe jałówki.

Piękne jałówki ze stada starego Rodda... Canoe miał nadzieję założyć w Caspromancie hodowlę tej rasy. Za trzy sztuki oddał wielki kawał dobrego lasu na naszej granicy z Roddmantem. Pasły się na bujnych pastwiskach na południowym skraju posiadłości, w pobliżu owczych pastwisk. Wieśniaczka z synem, których chata stała w pobliżu, strzegła jałówek, a także pięciu czy sześciu własnych krów.

–Znaleźli dziurę w ogrodzeniu? – spytałem.

Pokręcił głową.

Nie mieliśmy nic cenniejszego od tych jałówek – z wyjątkiem

**Siwosza, Dereszy, Księcia i samej ziemi. Utrata dwóch sztuk była-
by ciężkim ciosem dla ojca.**

–Poszukamy ich?

Skinął głową.

–Dzisiaj.

–Mogły wejść na Urwisko...

–Nie z własnej woli.

**–Myślisz... – nie dokończyłem. Jeśli ktoś je ukradł, podejrzanych było aż nadto wielu. Najbardziej prawdopodobny był Drum albo jego ludzie. Jednak rzucanie podejrzeń o kradzież bydła było sprawą ryzykowną. Wiele zabójstw spowodowało jedno nie-
ważne słowo, nawet nie oskarżenie. Choć oprócz ojca i mnie w pobliżu nie było nikogo, nawyk powściągliwości w tych sprawach był silny. Nie powiedzieliśmy nic więcej.**

Zbliżyliśmy się do tego samego miejsca, gdzie po raz pierwszy mu się sprzeciwiłem.

–Czy zechcesz... – zaczął i urwał, kończąc pytanie spojrzeniem niemal błagalnym. Skinąłem głową.

Rozejrzałem się. Stok wznosił się łagodnie, trawiasty i kamienisty, za nim kryły się wyższe góry. Mały jesion zdołał się ucześcić korzeniami ziemi koło ścieżki i walczył o życie, brzydki i karłowaty, choć dzielnie wypuścił pączki. Odwróciłem od niego wzrok. Przy ścieżce było mrowisko. Wielkie czerwone mrówki kłębiły się przy otworze na jego szczycie, wchodząc, wychodząc, formując szeregi, krzątając się wokół swoich spraw. Było to wielkie mrowisko, kopiec z ubitej gliny. Widywałem ruiny takich owadzych miast i wyobrażałem sobie podziemne tunele, zawile galerie i korytarze, mroczną architekturę. W tej samej chwili, nie dając sobie czasu do namysłu, wyciągnąłem lewą rękę, wbiłem spojrzenie w mrowisko, a z moich ust wyrwał się ostry dźwięk, gdy uderzyłem ze wszystkich sił, pragnąc odczynić, zniszczyć, unicestwić.

W promieniach słońca widziałem zieloną trawę, karłowaty jesion, nagie brązowe mrowisko, czerwone mrówki przeciskające się w wąskim wejściu, ciągnące do wewnątrz i na zewnątrz w kolumnach przez trawę i na ścieżce.

Ojciec stał za moimi plecami. Nie odwróciłem się. Słyszałem

jego milczenie. Nie mogłem go znieść.

W porywie rozpaczyny zamknąłem oczy, życząc sobie nigdy więcej nie widzieć tego miejsca, mrówek, trawy, ścieżki, słońca...

Otworzyłem oczy i ujrzałem czerniejące i zwijające się

źdźbła, mrówki, unieruchomione i rozpadające się w nicość, ich

mrowisko osypujące się w pyliste jamy. Sama ziemia wydawała

się wić i gotować z trzaskającym, suchym skwierczeniem. Coś

przede mną zadrżało, skręciło się i poczerniało. Lewą rękę nadal

miałem sztywno wycelowaną do przodu. Zacisnąłem pięść, obie-

ma dłońmi zasłoniłem twarz.

–Zatrzymaj to! Zatrzymaj! – krzyknąłem.

Ojciec mnie objął, przytulił do siebie.

–Już po wszystkim. Już po wszystkim.

Czułem, że i on dygocze tak jak ja i ma przyspieszony oddech.

Kiedy odjąłem dłonie od oczu, natychmiast odwróciłem głowę

przeżony. Połowa mrowiska wyglądała tak, jakby pożarł je

ognisty wir – zrujnowane, zniszczone, maleńkie gruzy na martwej ziemi. Z jesionu został poczerniały, rozplątany pniak.

Ukryłem twarz na piersi ojca.

–Myślałem, że to byłeś ty! Myślałem, że tam stałeś!

–Co się dzieje, synu? – mówił cicho, bardzo łagodnie, traktował mnie jak spłoszone źrebię.

–Mogłem cię zabić! Ale nie chciałem, nie chciałem! Nie ja to zrobiłem! To znaczy zrobiłem, ale nie chciałem!

–Spokojnie, spokojnie... nie bój się. Nigdy więcej cię nie poproszę...

–Wszystko jedno! Ja nad tym nie panuję! Nie mogę tego zrobić, kiedy chcę, a robię, kiedy nie chcę! Nie ośmielę się na ciebie spojrzeć! Nie ośmielę się spojrzeć na nikogo! A gdybym... gdybym... Nie potrafiłem tego powiedzieć. Osunąłem się na ziemię, sparaliżowany przerażeniem i rozpaczą.

Canoe usiadł na ścieżce obok mnie i czekał, aż sam się uspokoję.

W końcu usiadłem.

–Jestem jak Caddard – powiedziałem.

Było to stwierdzenie i pytanie.

–Może... – odparł ojciec. – Może Caddard był taki w dzieciństwie. Nie wtedy, gdy zabił żonę. Wówczas był szalony. Ale w dzieciństwie miał dar dziki, nieokiełznany.

–Przewiązali mu oczy, dopóki nie nauczył się nad nim panować. Ty też możesz mi przewiązać oczy.

**Kiedy tylko to powiedziałem, zapragnąłem odwołać swoje słowa. Ale podniosłem głowę, spojrzałem na wzgórze, szeroką połąć zeschniętej trawy i zniszczonych krzewów, na pył i roztrzaskane kamienie, na bezkształtną ruinę mrowiska. Wszystkie żywe stworzenia w okolicy były unicestwione. Wszystkie delikatne, spójne, złożone organizmy w okolicy były zniszczone. Jesion zmienił się w ohydny kaleki pniak. To było moje dzieło, choć nie wiedziałem, co czynię. Nie miałem tego zamiaru, a jednak to zrobiłem. Rozgniewałem się...
Znowu zamknąłem oczy.**

–Tak będzie najlepiej – powiedziałem.

Chyba liczyłem jeszcze, że ojciec znajdzie inny, lepszy plan.

Ale on po długiej chwili, jakby zawstydzony, że tylko tyle ma do powiedzenia, rzekł:

–Może na jakiś czas.

Żaden z nas nie był gotów do zrobienia tego, o czym mówiliśmy – ani nawet do myślenia o tym. Pozostała sprawa jałówek, zabłąkanych lub skradzionych. Oczywiście chciałem pojechać z ojcem na poszukiwania, a ojciec chciał mnie mieć przy sobie. Więc wróciliśmy do Kamiennego Domu, osiodłaliśmy konie i wraz z parą ludźmi wyruszyliśmy, ani słowem nie wspominając o tym, co się wydarzyło nad Jesionowym Potokiem.

Przez cały ten długi dzień od czasu do czasu spoglądałem na

zielone doliny, na wierzby nad strugami, na kwitnące wrzosi
i wczesne żółte kwiatuszki janowca, na niebieskości i brązy wiel-
kich gór – szukałem jałówek, ale jednocześnie bałem się patrzeć,
bałem się zbyt mocno wpatrywać, żeby trawa nie zaczęła czer-
nieć, a drzewa skręcać się w niewidzialnych płomieniach. Potem
wbijałem wzrok w ziemię, lewą pięść przyciskałem do boku, za-
mykałem na chwilę oczy, starając się nie myśleć o niczym, nie wi-
dzieć niczego.

Był to dzień ciężki i bezowocny. Staruszka wyznaczona do pil-
nowania jałówek tak się bała gniewu Canoca, że nie potrafiła wy-
krztusić nic sensownego. Jej syn, który powinien pilnować stada
na pastwisku w pobliżu granicy z Drummantem, wybrał się w gó-
ry na zające. Nie znaleźliśmy dziury w ogrodzeniu, przez którą
mogłoby się przedostać bydło, ale był to stary kamienny mur z pa-
lami na górze, które złodzieje mogli bez trudu wyrwać i włożyć
na miejsce. Ale mogło być i tak, że jałówki, wciąż młode i rozbry-
kane, po prostu zabłąkały się gdzieś w dolinie i spokojnie się pa-
są gdzieś na przestronnych, falistych zboczach Wschodniego
Urwiska. Jednak w tym wypadku dziwne było, że jedna sztuka

została na miejscu. Bydlęta podążają za sobą. Ta jedna opuszczona młoda i ładna krówka, teraz zamknięta – ponieważ – w oborze, ryczała od czasu do czasu żałośnie, wzywając towarzyski.

Alloc wraz z kuzynem Dorekiem oraz synem staruszki mieli

przeszukać góry, a ja i ojciec wróciliśmy do domu okrężną drogą,

która doprowadziła nas na granicę z Drummantem. Przez cały

czas wypatrywaliśmy naszego białego bydła. Teraz, gdy tylko zna-

leźliśmy się na wyżynie, rozglądałem się uważnie wokół i myśla-

łem, jak by to było, gdybym nie mógł patrzeć, gdybym widział tyl-

ko czerń, choćbym wytężał wzrok ze wszystkich sił. Na co bym się

wtedy przydał? Zamiast pomagać ojcu, stałbym mu się ciężarem.

To była bolesna myśl. Zacząłem myśleć o tym, czego nie będę

mógł robić, a potem o tym, czego nie będę mógł zobaczyć, wymie-

niałem po kolei: Ta góra. To drzewo. Okrągły szary szczyt. Chmu-

ra nad nim. Mrok zbierający się wokół Kamiennego Domu, do któ-

rego się zbliżaliśmy. Żółte mżenie światła w oknie. Uszy Dereszy

strzygące, ruchliwe. Ciemne, błyszczące oko Księcia pod kaszta-

nową grzywą. Twarz mojej matki. Mały opal na srebrnym łańcusz-

ku... Nie będę tego widział. Nie będę nic widział. Muszę oślepnąć.

Obaj byliśmy bardzo zmęczeni. Sądziłem, że znowu nie bę-

dziemy się do siebie odzywać przez cały wieczór, że ojciec odłoży

to aż do rana (a co znaczy ranek, kiedy nie widzi się światła nad

górami?). Ale po kolacji zjedzonej w ciężkim milczeniu powiedział matce, że musimy porozmawiać, i poszliśmy do komnaty na wieży, gdzie rozpalono ogień. Wieczór był chłodny, wietrzny.

Ogień bardzo przyjemnie rozgrzewał mi nogi i twarz. Poczuję go, gdy już nie będę widzieć, pomyślałem.

Ojciec i matka mówili o zaginionych jałówkach. Ogień iskrzył i buchał płomieniami. Na chwilę ogarnął mnie spokój, ale moje serce stopniowo zaczęło wzbierać ogromnym gniewem na niesprawiedliwość losu. Nie mogłem tego znieść. Nie mogłem tego wytrzymać. Nie odbiorę sobie wzroku dlatego, że ojciec się mnie boi!

Płomień pożerał suchą gałąź, trzaskając i iskrząc, a ja ze wstrzymanym oddechem odwróciłem się ku rodzicom... ku ojcu.

Siedział na drewnianym krześle. Matka obok niego na ulubionym stołku, z ręką na jego dłoni, na jego kolanie. Ich twarze w świetle ognia były mroczne, czułe, tajemnicze. Moja lewa ręka uniosła się, wskazała go, zadygotała. Widziałem to i widziałem, jak jesion na wzgórzu nad potokiem wije się i czernieje... obiema

dłońmi zasłoniłem oczy, mocno, mocno nacisnąłem, żeby nie widzieć. I nie widziałem nic prócz smug różnych kolorów w czerni.

–Co się stało? – usłyszałem głos matki.

–Powiedz jej, ojcze!

I ojciec zaczął jej opowiadać – z wahaniem, mozolnie. Nie po kolei ani zrozumiale, więc jego niezdarność zaczęła mnie niecierpliwić.

–Powiedz, co się stało z Hamnedą, co się stało nad Jesionowym Potokiem! – krzyknąłem, wciąż przyciskając dłonie do oczu, mocniej, bo znowu ogarnął mnie ten straszny gniew. Dlaczego ojciec nie mógł tego zwyczajnie powiedzieć? Wszystko plątał, znowu zaczął i jakby nie potrafił przejść do rzeczy, wyjaśnić, do czego to wszystko zmierza. Matka prawie się nie odzywała, usiłując coś zrozumieć.

–Ale ten dziki dar...? – spytała w końcu, a kiedy Canoe znowu się zawahał, ja jej odpowiedziałem:

–To znaczy, że mam moc odczyniania, ale nie mogę nad nią panować. Nie mogę jej używać, kiedy chcę, a używam jej, gdy nie chcę. Mógłbym w tej chwili zabić was oboje, gdybym na was spojrział.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem odezwała się matka:

–Na pewno...

–Nie – uciął mój ojciec. – Orrec mówi prawdę.

–Ale przecież uczyłeś go, ćwiczyłeś od lat, od małego!

Jej protesty tylko zaostrzyły mój ból i wściekłość.

–Wszystko na nic – powiedziałem. – Jestem jak Hamneda.

Nie potrafił się uczyć. Był bezużyteczny. I niebezpieczny. Można go było tylko zabić.

–Orrec!

–Zadziałała moc – odezwał się Canoe. – Nie Orrec, lecz jego moc. Dar. On go nie może używać, a dar może użyć jego. To niebezpieczne, tak jak powiedział. Dla niego, dla nas, dla wszystkich. Z czasem nauczy się nad nim panować. To wielki dar, a Orrec jest młody i z czasem... Ale na razie trzeba mu go odebrać.

–Jak? – Głos matki był słaby jak nitka.

–Odebrać wzrok.

–Odebrać wzrok!

–Zapieczętowane oko nie ma mocy.

–Ale odebrać wzrok... to znaczy, gdy będzie wychodził z domu... między ludzi...

–Nie – rzekł ojciec.

–Nie – powtórzyłem za nim. – Przez cały czas. Dopóki nie będę wiedział, że nikogo nie skrzywdzę ani nie zabiję, nie wiedząc, co robię, dopóki nie będzie za późno, bo mogę zabić niechcący, przypadkiem zamienić żywą istotę w worek mięsa. Więcej tego nie zrobię. Nigdy. Przenigdy! – Siedziałem przy palenisku, zasłaniając oczy, skulony w tej czerni. – Zapieczętuj mi oczy – powiedziałem. – Teraz.

Może Melle protestowała, a Canoe tłumaczył, ale tego nie pamiętam. Pamiętam tylko własne cierpienie. I w końcu ulgę, kiedy ojciec podszedł do mnie, skulonego przy palenisku, delikatnie odjął mi ręce od twarzy, zasłonił mi oczy opaską i związał ją na potylicy. Była czarna, zobaczyłem to, nim zasłonił mi oczy, ostatnia rzecz, jaką widziałem: ogień i pasek czarnego materiału w rękach ojca.

Potem przyszła ciemność.

I poczułem ciepło niewidocznego ognia, tak jak sobie wyobrażałem.

Matka płakała cicho, żebym nie usłyszał, ale niewidomi mają dobry słuch. Ja nie pragnąłem płakać. Zbyt wiele łez już wylałem. Byłem bardzo zmęczony. Ich głosy szemrały. Ogień cicho trzaskał.

–Zasypia – usłyszałem głos matki w ciepłych ciemnościach

i zasnąłem.

Ojciec musiał mnie zanieść do łóżka jak dziecko.

Kiedy się obudziłem, było ciemno. Usiadłem, żeby sprawdzić, czy nad górami za oknem już świta, ale nie widziałem okna i przyszło mi na myśl, że pewnie napłynęły gęste chmury i zasłoniły gwiazdy. Wtedy usłyszałem ptaki obwieszczające śpiewem wschód słońca i palcami dotknąłem opaski.



Dziwna to sprawa odebrać sobie wzrok. Pytałem Canoca, czym jest wola, co znaczy dokonać czegoś siłą woli. Teraz już wiedziałem.

Oszukać, spojrzeć, zerknąć, tylko zerknąć – pokus było wiele.

Każdy krok, każda czynność, teraz tak strasznie trudne, skomplikowane, niezdarne, mogły się stać łatwe i naturalne. Wystarczyło podnieść opaskę, na jedną chwilę, z jednego oka, na jedno zerknięcie...

74

Nie podniosłem, ale parę razy mi się osunęła i światło mnie oślepiało, zanim zdążyłem zamknąć oczy. Nauczyliśmy się kłaść na powieki miękkie kompresy przed zawiązaniem przepaski, wówczas nie trzeba było tak boleśnie zaciskać węzła. I byłem bezpieczny.

Tak się czułem: bezpieczny. Nauka życia w ciemności była trudna, ale się do niej przykładałem. Im bardziej niecierpliwiła mnie własna bezradność i opieszałość, im bardziej wściekałem się na opaskę, tym bardziej bałem się ją zdjąć. Ratowała mnie przed koszmarem zniszczenia tego, czego zniszczyć nie chciałem. Nosząc ją, nie mogłem zabić ukochanych. Pamiętałem, co uczynił mój strach i gniew. Pamiętałem chwilę, gdy wydało mi się, że zabiłem ojca. Nie mogłem się nauczyć używania mojej mocy, ale mogłem się nauczyć jej nie używać.

I to właśnie zamierzałem osiągnąć siłą woli, ponieważ tylko

tak mogłem zrobić. Więzy na oczach dawały mi wolność.

Pierwszego dnia ślepoty po omacku znalazłem drogę do wyjścia z Kamiennego Domu i tak długo sunąłem wzdłuż ściany, aż dłońmi odszukałem laskę Ślepego Caddarda. Nie interesowałem się nią od lat. Od czasu dzieciennych zabaw, kiedy dotykałem jej, ponieważ nie wolno mi było jej dotykać, minęła połowa mego życia. Ale pamiętałem, gdzie stoi, i wiedziałem, że teraz mam do niej prawo.

Była dla mnie za wysoka i zbyt ciężka, ale spodobało mi się to wyślizgane, jedwabiste w dotyku miejsce, w którym ją ująłem, nieco wyżej, niż sięgnąłbym normalnie. Skierowałem laskę przed siebie, przesunąłem po podłodze, trąciłem nią ścianę. Laska wyprowadziła mnie na korytarz. Od tego czasu często zabierałem ją ze sobą, wychodząc na dwór. W domu wołałem znajdować drogę dłońmi. Na zewnątrz laska dodawała mi pewności. Była bronią. Gdybym znalazł się w niebezpieczeństwie, mogłem nią zadać cios. Nie byłby to cios ohydnej mocy mojego daru, lecz zwykłe uderzenie, naturalna reakcja i obrona. Pozbawiony wzroku czułem się zawsze bezbronny, bo każdy mógł mnie wyśmiać czy skrzywdzić. Ta ciężka laska trochę mi to wynagradzała. Trochę.

Początkowo matka nie pocieszała mnie tak jak zwykle. Po niezawodne poparcie i aprobatę zwracałem się do ojca. Matka nie mogła mi ich dać, nie mogła uwierzyć, że moja decyzja jest słuszna i konieczna. Jej wydawała się potwornością wynikającą z nie-

naturalnych mocy czy wierzeń.

–W mojej obecności możesz zdejmować opaskę – powiedziała.

–Nie mogę, matko.

–Nie bój się, głuptasie. To niemądre. Nigdy mnie nie skrzywdzisz, wiem to. Noś ją na zewnątrz, skoro musisz, ale nie w domu, ze mną. Chcę zobaczyć twoje oczy, synu!

–Nie mogę, matko.

Musiałem to powtarzać raz za razem, bo nakłaniała mnie i przekonywała. Nie widziała śmierci Hamnedy; nigdy nie poszła nad Jesionowy Potok, by zobaczyć to upiorne, unicestwione wzgórze. Chciałem ją poprosić, żeby tam poszła, ale nie mogłem. Nie mogłem odpowiadać na jej argumenty.

W końcu stwierdziła z goryczą:

–To ciemnota i przesady. Wstyd mi za ciebie. Myślałam, że dałam ci lepsze wykształcenie. Czy szmata na oczach powstrzymałaby cię przed czynieniem zła, gdybyś miał je w sercu? A jeśli w twoim sercu jest dobro, to jak je będziesz teraz czynić? Czy powstrzymasz wiatr ścianą z trawy albo przyływ samym zakazem?

–Cytowała liturgię Bendramanu, którą poznała w dzieciństwie w domu ojca.

A kiedy nie ustąpiłem, dodała:

–Więc mam spalić książkę, którą dla ciebie zrobiłam? Teraz już ci się nie przyda. Nie chcesz jej. Zamknąłeś oczy, zamknąłeś umysł.

Wówczas musiałem krzyknąć:

–Tak nie będzie zawsze!

Nie lubiłem mówić ani myśleć o końcu mojej ślepoty, o dniu, kiedy znowu zobaczę świat; nie miałem odwagi tego sobie wyobrazić, ponieważ nie potrafiłem sobie wyobrazić, co mnie do tego skłoni, i bałem się fałszywej nadziei. Ale jej gniew i cierpienie wyrwały ze mnie te słowa.

–W takim razie jak długo?

–Nie wiem. Aż się nauczę... – Ale jak miałem się nauczyć używać daru, którego nie mogłem użyć?

–Nauczyłeś się wszystkiego, czego mógł cię nauczyć ojciec

–powiedziała matka. – Aż za dobrze.

Wstała i odeszła. Usłyszałem cichy szelest szala zarzucanego na ramiona i oddalające się kroki.

Nie miała w sobie zaciętości, która każe długo pamiętać o gniewie. Tego wieczora, gdy życzyliśmy sobie dobrej nocy, usłyszałem w jej głosie słodki przepraszający uśmiech, gdy szepnęła:

–Nie spalę twojej książki, synku. Ani opaski.

Od tego dnia przestała mnie prosić i już więcej nie protestowała, lecz pogodziła się z moją ślepotą i pomagała mi w miarę możliwości.

Przekonałem się, że najlepiej sobie radzić, usiłując zachowywać się jak człowiek widzący: nie macałem przed sobą dłońmi, lecz szedłem, zderzając się ze ścianą, jeśli na nią trafiłem, i upa-

dając, jeśli miałem upaść. I tak nauczyłem się swobodnie poru-
szać po domu i obejściu, wychodziłem na dwór, ilekroć chciałem.
Siodłałem poczciwą Deresze, która znosiła moją niezdarność rów-
nie cierpliwie jak wtedy, gdy miałem pięć lat, wsiadałem na nią
i pozwalałem, by mnie zabierała tam, gdzie uznała za stosowne.
Gdy znalazłem się w siodle i ucichło już echo stajennego dziedziń-
ca, nie miałem żadnych wskazówek; mogłem się równie dobrze
znaleźć w górach albo na księżycu. Ale Deresza wiedziała, gdzie
jesteśmy, i wiedziała też, że nie jestem już tym durnym, nieustra-
szonym jeźdźcem co kiedyś. Pod jej opieką bezpiecznie wracałem
do domu.

–Chcę pojechać do Roddmantu – powiedziałem, gdy od wło-
żenia opaski minęły dwa tygodnie lub dłużej. – Poproszę Gry
o psa.

Musiałem zebrać całą odwagę, żeby to powiedzieć, bo biedny
Hamneda i wstrętny worek mięsa, który z niego uczyniłem, tkwi-
ły w mojej pamięci jak piętno. Ale w nocy przyszło mi na myśl, że
pies byłby przewodnikiem w mojej ślepcie. I tęskniłem za rozmo-
wą z Gry.

–Psa – powtórzył ojciec z zaskoczeniem, lecz matka zrozu-
miała natychmiast i powiedziała:

–To dobry pomysł. Pojadę... – Wiedziałem, że chce pojechać
do Roddmantu w mojej sprawie (choć kiepsko się trzymała w siod-
le i bała się nawet Dereszy), ale usłyszałem: – Pojadę z tobą, jeśli

chcesz.

–Możemy wyruszyć jutro?

–Odłożmy to na jakiś czas – odezwał się ojciec. – Pora nam do Drummantu.

Przez to, co mnie spotkało, całkiem zapomniałem o brantorze Ogge i jego zaproszeniu.,

–Nie mogę teraz jechać!

–Możesz – powiedział ojciec.

–Dlaczego ma jechać? I my? – spytała matka.

–Powiedziałem, o co idzie gra. – Głos ojca brzmiał twardo.

–O szansę na rozejm, jeśli nie przyjaźń. I być może propozycję zaręczyn.

–Ale teraz Drum nie będzie chciał oddać wnuczki Orrecowi!

–Czyżby? Dowiedziawszy się, że Orrec potrafi zabić spojrzeniem? Że ma tak silny dar, aż musiał zakryć oczy, by oszczędzić wrogów? O, z radością złoży nam propozycję i z radością przyjmie to, co zgodzimy się mu dać!

Jeszcze nigdy nie słyszałem w głosie ojca tak przenikliwego, dzikiego triumfu. To mną wstrząsnęło.

Nagle sobie uświadomiłem, że moja opaska czyni mnie nie tylko bezbronnym, ale i groźnym. Miałem moc tak wielką, że nie można jej było wypuścić na wolność, należało ją więzić. Gdybym odsłonił oczy... Sam byłem – jak laska Caddarda – bronią.

W tej chwili zrozumiałem także, dlaczego od czasu zawiązania oczu wielu domowników i mieszkańców naszych posiadłości odnosi się do mnie inaczej, z lęklwym szacunkiem w miejsce starej bezceremonialnej sympatii. Gdy ich mijałem, milkli i odchodzili na palcach, jakby w nadziei że ich nie usłyszę. Myślałem, że mną gardzą, bo jestem ślepy. Nie przyszło mi do głowy, że się mnie boją, bo wiedzą, dlaczego nie widzę.

Dowiedziałem się nawet, że przekazywana z ust do ust historia rozrosła się i przypisano mi najróżniejsze koszarne czyny. Unicestwiłem całą zgraję zdiczałych psów, które popękały jak pęcherze. Wygnałem jadowite żmije z caluteńskiego Caspromantu, przesunąwszy jedynie wzrokiem po górach. Zerknąłem na chatę starego Ubbro i tej samej nocy staruszkowi odjęło władzę w nogach i mowę, a nie była to kara, lecz jedynie dziki dar, który uderzył bez powodu. Kiedy wybrałem się na poszukiwanie zaginionych jałówek, gdy tylko je ujrzałem, padły trupem zupełnie wbrew mojej woli. I tak ze strachu przed tą nieopanowaną i straszliwą mocą oślepiłem się albo Canoe mnie oślepił – choć inni twierdzili, że jedynie noszę opaskę. Jeśli ktoś powątpiewał w te opowieści, wysyłali go, żeby obejrzał zniszczone wzgórze nad Jesionowym Potokiem, zeschnięte drzewo, odłamki kosteczek myszy, kretów i nornic, spopieloną ziemię, rozbite w pył kamienie i roztrzaskane skały.

Zrozumiałem, że mam nową moc, która wyraża się nie w działaniu, lecz w słowach – w reputacji.

–Pojedziemy do Drummantu – powiedział ojciec. – Już czas.

Pojutrze. Jeśli wyruszymy wcześniej, do zmierzchu będziemy na miejscu. Weź tę czerwoną suknię, Melle. Chcę, by Drum zobaczył, jaki prezent od niego dostałem.

–Och, jejku – westchnęła matka. – Jak długo musimy zostać?

–Jakieś pięć lub sześć dni.

–Och, jejku, jejku. Co mam zabrać dla żony brantora? Muszę mieć dla niej jakiś podarek.

–To nie jest konieczne.

–Jest konieczne.

–Więc może koszyk jakiegoś jedzenia?

–Też coś! O tej porze roku nie ma nic dobrego.

–Koszyk piskląt – zaproponowałem. Tego ranka matka zabrała mnie do kurnika i wkładała mi w dłonie świeżo wyklute kurczątko – piszczące, ciepłe, lekkie jak piórko, puchate, drapiące.

–To jest to! – powiedziała.

I dwa dni później, gdy wyruszyliśmy z samego rana, przy łąku siodła miała koszyk pełen pisku. Ja byłem ubrany w nowy kilt i płaszcz, męski płaszcz.

Ponieważ musiałem jechać na Dereszy, matka dostała Siwo-sza, całkowicie godnego zaufania, choć przerażał ją swym ogromem. Ojciec wziął żrebaka. Jego szkolenie powierzył w dużym

stopniu mnie i Allocowi, ale kiedy dosiadał Księcia, widać było, że są dla siebie stworzeni – obaj piękni, dumni i gwałtowni. Tego ranka żałowałem, że go nie widzę. Pragnąłem na niego spojrzeć. Ale dosiadłem poczciwej Dereszy i pozwoliłem się powieźć przez ciemność.

Męcząca była ta całodzienna podróż, gdy nie widziałem mijającego krajobrazu i byłem świadomy jedynie tupotu kopyt na miękkim lub kamienistym podłożu, skrzypienia siodła, zapachu końskiego potu i kwiatów janowca, dotyku wiatru, rzeźby drogi odgadywanej na podstawie stąpania Dereszy. Nie mogąc przygotować się na nierówność terenu, szarpnięcie, kołysanie, siedziałem w siodle sztywno, a często musiałem zapomnieć o wstydzie i chwytać się lęku, by nie spaść. Na ogół musieliśmy jechać gęsiego, więc nie rozmawialiśmy. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się, żeby matka napoiła kurczęta, a w południe zrobiliśmy popas, by konie mogły odpocząć i napić się wody, a my – zjeść obiad. Kurczęta piszczały jedno przez drugie nad ziarnem, które matka sypnęła im do koszyka. Spytałem, gdzie jesteście.

–Pod Czarną Skałą – odparł ojciec – w posiadłości Cordów.

Nie mogłem sobie wyobrazić tego miejsca, nigdy tak nie oddaliłem się od Caspromantu. Wkrótce ruszyliśmy dalej; dla mnie to popołudnie było nudnym, długim czarnym snem.

–Na Kamień! – krzyknął ojciec. Zwykle nie przeklinał, nawet w tak łagodny, staroświecki sposób, i to wyrwało mnie z transu. Matka jechała na przedzie, gdyż nie można było pomylić drogi, a ojciec z tyłu, bacząc na nas. Nie usłyszała go, ale ja spytałem:

–Co się stało?

–Nasze jałówki. Tam. – A potem przypomniał sobie, że nie widzę. – Na łące pasie się stado. Dwie sztuki są białe, reszta czerwona. – Przez chwilę milczał, pewnie wytężał wzrok. – Te dwie mają garbek na karku i małe rogi. Czyli to one.

Zatrzymaliśmy się.

–Nadal jesteśmy w Cordemancie? – spytała matka.

–W Drummanacie – odparł ojciec. – Od godziny. Ale to rasa Roddów. I chyba moje krowy. Gdybym zobaczył z bliska, byłbym pewny.

–Nie teraz – powiedziała matka. – Niezadługo się ściemni.

Powinniśmy jechać. – W jej głosie brzmiał strach. Ojciec usłuchał.

–Masz rację – rzekł i usłyszałem stukot kopyt Siwosza. Dere-sza podążyła za nim, nie czekając na mój znak, a lekkie kroki żrebaka rozbrzmiały mi za plecami.

Dotarliśmy do Kamiennego Domu Drummantu i to była dla mnie trudna chwila – przybyłem do obcego miejsca, pomiędzy obcych. Matka wzięła mnie pod rękę, gdy tylko zsiadłem z konia. Zapewne starała się dodać otuchy i mnie, i sobie. Pośród gwaru usłyszałem głos Ogge Druma, głośny i dobrotliwy.

–Patrzcie, patrzcie, więc w końcu przyjechali! Witajcie! Witajcie w Drummanacie! Żyjemy tu skromnie, lecz tym, co mamy, chętnie się podzielimy! A to co? Dlaczego chłopak jest taki obandażowany? Napytałeś sobie biedy, chłopcze? Słabe oczy, co?

–Ach, chcielibyśmy, żeby o to chodziło – rzucił lekko Canoe.

Był mistrzem szermierki, tylko że Ogge walczył nie szpadą, lecz

maczugą. Prostack nie odpowiada; może słyszeć twoje słowa, lecz nie zwraca na nie uwagi; daje mu to przewagę na początku, choć nie zawsze starcza jej do końca.

–Żal chłopaka, trzeba go prowadzić jak małe dziecko. Cóż, niewątpliwie z tego wyrośnie. Tędy, tędy. Wy tam, zajmijcie się końmi! Barro, niech dziewczki sprowadzą panią!

Wciąż słyszałem wywrzaskiwane rozkazy i polecenia, wielkie poruszenie, wiele zgiełku, wiele głosów. Wszędzie wokół mnie kręcili się ludzie, mnóstwo niewidocznych, nieznanych ludzi. Matka wyjaśniała komuś, że ten koszt kurcząt jest dla żony brantora. Nadal trzymała mnie pod rękę, gdy wleczono mnie przez progi i po schodach. Kiedy się zatrzymaliśmy, w głowie mi wirowało. Przyniesiono nam wodę w miednicach, ludzie roili się wokół nas, gdy w pośpiechu myliśmy się po podróży, czyściliśmy ubrania, a matka się przebierała.

Potem znowu schody i komnata, sądząc po echu – wielka i wysoko sklepiona. Było w niej palenisko, słyszałem trzask ognia,

a na nogach i twarzy poczułem ciepło. Matka położyła mi rękę na ramieniu.

–Orrec – odezwała się – oto żona brantora, pani Denno.

Skłoniłem się w stronę ochryplego, zmęczonego głosu, który witał mnie w Drummancie. Przedstawiono innych – starszego syna brantora Harbę i jego żonę, młodszego syna Sebba z żoną, córkę z mężem, ich dorosłe dzieci i innych domowników – nazwiska bez twarzy, głosy w ciemności. Nieśmiały, wdzięczny głos mojej matki utonął w ich wrzaskach. Była bardzo od nich odmienna, obca poprzez swoją nizinną kurtuazję, nawet wymowę niektórych słów.

Ojciec także stał blisko mnie, tuż za moimi plecami. Nie gadał bez końca jak Drumowie, lecz odpowiadał zwięźle i przyjaźnie, śmiał się z żartów, a do paru odezwał się tonem, w którym brzmiała radość z odnowienia przyjaźni. Jeden z tych mężczyzn, chyba Barro, powiedział:

–Mały dostał dzikiego oka, tak?

Na co Canoe odpowiedział:

–Owszem.

–No, nie lękaj się, dorośnie do swojej mocy – zauważył ktoś inny i zaczął opowiadać o chłopcu z Olmmantu, którego dar pozostał dziki aż do dwudziestki. Uważnie nasłuchiwałem tej historii,

ale utonęła w zgiełku.

Po jakimś czasie zasiedliśmy przy stole. Byłem zakłopotany, bo trzeba wiele czasu, by się nauczyć przyzwyczajenie jeść, jeśli się nie widzi, a ja jeszcze nie zdołałem opanować tej sztuki. Bałem się czegokolwiek dotknąć ze strachu, że rozleję lub się pobrudzę. Chcieli mnie posadzić z dala od matki, a brantor Ogge wołał na nią, by dołączyła do mężczyzn u szczytu stołu, lecz łagodnie uparła się siedzieć obok mnie. Pomogła mi pokroić jedzenie, po które mogłem sięgać palcami, nie obrażając niczyjej wrażliwości. Zresztą w Drummancie nie zważano na maniery, sądząc po ogólnym mlaskaniu, siorbaniu i bekaniu.

Ojciec siedział daleko, gdzieś w pobliżu Ogge'a, a kiedy hałas trochę przycichł, usłyszałem jego cichy głos, rozpoznawalny, choć brzmiał w nim nowy ton, którego nigdy przedtem nie słyszałem:

–Chcę ci podziękować, brantorze, żeś się zatroszczył o moje jałówki. Przeklinałem siebie przez cały miesiąc, że nie naprawiłem muru. Oczywiście przeskoczyły go. Bardzo skoczne to bydło

Roddów. Prawie już straciłem nadzieję, że zobaczę te dwie sztuki.

Myślałem, że już trafiły do Dunetu! I pewnie by tak było, gdyby twoi ludzie się nimi nie zaopiekowali. – Po tamtej stronie stołu nikt już nie odzywał się ani słowem, tylko przy naszym krańcu niektóre kobiety jeszcze trajkotały. – Z tymi jałówkami wiązę wielkie nadzieje – ciągnął Canoe tym samym swobodnym, ufnym, niemal poufnym tonem. – Chcę założyć stado takie, jakie miał Ślepy Caddard. Więc dziękuję z głębi serca i pierwsze ich cielę, byczek czy jałówka, jak wolisz, należy do ciebie. Wystarczy, że po nie pošlesz.

Przez chwilę trwała cisza, a potem ktoś obok Canoca powiedział:

–Dobrze powiedziane, dobrze powiedziane!

Inni także to podchwycili, ale nie słyszałem głosu Ogge'a.

Kolacja wreszcie dobiegła końca i matka poprosiła, by ją zaprowadzono do komnaty. Chciała zabrać mnie ze sobą. Dopiero wtedy usłyszałem Ogge'a:

–No, chyba jeszcze nie chcesz położyć małego Orreca spać?

Czyżby był z niego taki dzieciuch? Usiądź z mężczyznami, chłopcze, skosztuj mojego wiosennego napitku!

Jednak Melle powiedziała, że jestem zmęczony po całodziennym jeździe, a Denno, żona brantora, dodała ochrypłym, zmęczonym

nym głosem:

–Dziś daj chłopcu spokój, Ogge.

Udało nam się uciec. Ojciec musiał zostać i pić z mężczyznami. Było już chyba późno, kiedy przyszedł do komnaty; spałem, ale się ocknąłem, bo ojciec potknął się o stół i narobił hałasu.

–Jesteś pijany! – szepnęła Melle.

–Piwem jak końskie siki! – odpowiedział zbyt głośno.

Roześmiała się i on także parsknął.

–Gdzie to przekłete łóżko! – syknął.

Usiedli. Ja leżałem na pryczy pod oknem i nasłuchiwałem ich szeptów.

–Canoe, czy to nie było ryzykowne?

–Sam przyjazd jest ryzykowny.

–Ale to o jałówkach...

–Co mogłem zyskać milczeniem?

–Rzuciłeś mu wyzwanie...

–Mógł albo skłamać w obecności swoich ludzi, którzy dobrze

wiedzą, jak jałówki się tu znalazły, albo skorzystać z wykrętu, który mu podsunąłem.

–Ciii... -'szepnęła, bo znowu zaczął mówić głośniej. – Cieszę się, że wybrał wykręt.

–Jeśli wybrał. To się jeszcze zobaczy. Gdzie ta dziewczyna?

Widziałaś ją?

–Jaka dziewczyna?

–Narzeczona. Szczęśliwa narzeczona.

–Canoe, cicho! – Trochę się gniewała, trochę śmiała.

–Więc zamknij mi usta, ukochana, zamknij mi usta – szepnął.

Roześmiała się i usłyszałem skrzypienie desek łóżka. Już więcej nie mówili, a ja zapadłem w sen.

*

Następnego dnia brantor Ogge posłał po matkę i po mnie, byśmy towarzyszyli ojcu, gdy oprowadzał go po obejściu, budynkach, stodołach i stajniach. Nie było z nami innych kobiet, tylko jego synowie i niektórzy mężczyźni z Drummantu. Ogge zwracał się do mojej matki w dziwny, sztuczny sposób, z wyższością, a jednak przymilnie. Mówił o niej innym, jakby była ładnym zwierzęciem, opisywał jej pęciny, włosy, ruchy. Często z na poły żartobliwą pogardą wypominał jej pochodzenie. Wydawało się, że chce

jej lub sobie przypomnieć swoją wyższość. A jednak trzymał się jej jak wielka pijawka. Usiłowałem stanąć między nimi, ale on zawsze znajdował się po drugiej stronie matki. Parę razy kazał jej odesłać mnie do „innych dzieci” albo do ojca. Nigdy nie odmawiała, lecz odpowiadała lekko, z uśmiechem w głosie i jakoś nie spełniała polecenia.

Gdy wróciliśmy do Kamiennego Domu, Ogge powiedział, że zamierza wybrać się na dzika. Czeka jeszcze tylko na Parn, matkę Gry. Namawiał nas, byśmy wyruszyli razem z nim. Matka odmówiła, a on powiedział:

–Ha, kobiety jednak nie nadają się do świńskich polowań.

Niebezpieczna sprawa. Ale przyślij chłopca, to będzie dla niego odmiana od błąkania się po omacku, hę? A jeśli dzik się na nas rzuci, wystarczy mu zerknąć i załatwione, hę? Co, mały? Dobrze mieć na polowaniu dobre oko.

–Więc będzie to musiało być moje oko – odezwał się ojciec

tym nieodmiennie przyjaznym tonem, jakim mówił w Drumman-
cie. – Z Orrekiem to na razie za duże ryzyko.

–Ryzyko? Ryzyko? Boi się świniaka?

–O, nie on by ryzykował – odparł Canoe. Czubek szpady tym
razem musnął cel.

Ogge przestał udawać, że nie wie, dlaczego mam zawiązane
oczy, ponieważ stało się jasne, że wie to cały Drummant, a nawet
daje wiarę bardziej niestworzonej wersji moich wyczynów. Byłem
chłopcem o niszczycielskim wzroku, o darze tak potężnym, że nie
potrafiłem go opanować, nowym Ślepym Caddardem. Ogge zadał
cios maczugą, lecz nie trafił; moja reputacja sprawiła, że nie mógł
nas dosięgnąć. Ale miał inną broń.

Wiele osób przedstawiono nam w tych pierwszych dniach,
ale nie było między nimi wnuczki brantora, córki jego młodszego
syna Sebba Druma i Daredan Caspro. Poznaliśmy jej rodzi-
ców: Sebb miał jowialny, grzmiący głos jak ojciec, Daredan roz-
mawiała z matką i ze mną dość życzliwie, słabym głosem, który
mógłby należeć do zgrzybiałej kobiety, choć jak powiedział
Canoe, nie była stara. Jednak nie przyprowadziła córki – dziew-
czynki, która mogła zostać moją narzeczoną. „Wstydliva na-
ręczona”, szepnął Canoe poprzedniej nocy. Sam się wtedy za-
wstydziłem.

I jakby posiadając morgowski dar czytania w myślach, Ogge

odezwał się głośno:

**–Będziesz musiał poczekać jeszcze parę dni, by poznać moją
wnuczkę Vardan, młody Caspro. Jest w starym domu Rimmów
wraz z kuzynami. Tylko jaki będzie pożytek z poznania dziewczyny,
której się nie widzi? Ale przecież istnieją inne sposoby, by ją
poznać, o czym się wkrótce dowiesz, hę? Bardziej przyjemne spo-
soby, hę? – Mężczyźni wokół nas wybuchnęli śmiechem. – Będzie
tu, gdy wrócimy z polowania.**

**Tego popołudnia przybyła Parn Barre i odtąd wszystkie roz-
mowy toczyły się wokół łowów. Miałem na nie pojechać. Matka
chciała mi tego zakazać, ale wiedziałem, że nie mogę się wykręcić,
i powiedziałem:**

**–Nie martw się, matko, pojedę na Dereszy i wszystko będzie
dobrze.**

**–Będę przy nim – dodał Canoe. Wiedziałem, że' mój spokój
sprawił mu prawdziwą przyjemność.**

**Następnego dnia wyruszyliśmy przed świtem. Ojciec cały czas
był blisko mnie. Jego obecność stanowiła dla mnie jedyną ostoję
w kompletnym chaosie, czarnej niezrozumiałej dziczy jazdy, po-
stojów, krzyków, ruchu. Ciągnęło się to bez końca. Wyprawa mia-
ła trwać pięć dni. Nie wiedziałem, gdzie jestem, co znajduje się
tuż przed moim nosem czy stopami. Pokusa uniesienia opaski ni-
gdy nie była silniejsza, a jednak bardzo bałem się to uczynić, bo**

czułem nieustanną, spanikowaną wściekłość – bezradny, upokorzony, urażony. Bałem się i nie potrafiłem uciec przed wrzaskliwym, nękającym głosem brantora Ogge. Czasami udawał, że jestem naprawdę ślepy i głośno się nade mną użalał, lecz na ogół drwił ze mnie i nakłaniał, choć nigdy wprost, bym uniósł opaskę i zademonstrował swój niszczycielski dar. Bał się mnie, nienawidził tego lęku i dlatego się na mnie mścił; był też ciekawy, bo nikt nie znał mojej mocy. Wiedział, do czego jest zdolny Canoe, więc przy nim nigdy nie przekroczył granicy. Ale czego mogę dokonać ja? Może moja opaska to podstęp, fortel? Ogge był jak dziecko, które drażni uwiązanego psa, by sprawdzić, czy naprawdę gryzie. Zakuł mnie w swoje więzy, zależałem od jego łaski. Tak bardzo go znienawidziłem, że gdybym go zobaczył, nic by mnie nie powstrzymało, zniszczyłbym go, musiałbym zniszczyć – jak szczura, jak żmiję, jak psa...

Parn Barre wezwała stado dzików z lasów u stóp góry Airn, oddzieliła odyńca od loch. Kiedy psy i myśliwi otoczyli zwierza, porzuciła polowanie i wróciła do obozu, gdzie zostawiono mnie wraz z jucznymi końmi i służącymi.

Odjazd myśliwych był dla mnie przykry.

–Chyba zabierasz chłopaka, co, Caspro? – spytał brantor Ogge, a ojciec odpowiedział, jak zawsze uprzejmie, że ani ja, ani stara Deresza nie pojedziemy, bo możemy spowolnić tempo. – Więc ty również z nim zostajesz? – zagrzmiął urągliwy głos.

–Nie, ruszam na łów – odpowiedział Canoe cicho.

Zanim wsiadł na konia – przyprowadził Siwosza, nie żrebaka

–dotknął mego ramienia i szepnął: „Wytrzymaj, synu”. Więc siedziałem wśród pańszczyźnianych i służących, którzy wkrótce o mnie zapomnieli, rozmawiając i żartując. W całym otoczeniu znajome mi było tylko leżące obok zrolowane posłanie, na którym spędziłem tę noc. Reszta wszechświata była nieznana, czarna przepaść, w której bym zaginął, gdybym wstał i zrobił parę kroków. W piasku pod dłonią namacałem parę kamyków i bawiłem się nimi, przeliczałem, obracałem w palcach, układałem jeden na drugim albo w rzędach, by zabić nudę. Nie wiemy, ile przyjemności i nowości odbieramy oczami, dopóki nie przyjdzie się nam bez nich obejść; a część tej przyjemności pochodzi stąd, że oczy mogą wybrać, na co patrzeć. Uszy nie mogą wybierać dźwięków. Chciałem słyszeć śpiew ptaków, bo las był pełen ich wiosennych głosów, lecz dochodziły do mnie tylko wrzaski i rechoty. Nie mogłem się opędzić od myśli, jak hałaśliwą rasą jesteśmy my, ludzie.

Usłyszałem stukot kopyt konia zbliżającego się do obozu

i głosy mężczyzn trochę przycichły. Nagle jakaś kobieta odezwała się tuż obok mnie:

–Jestem Parn. – Wyczułem, że jest mi życzliwa, ponieważ się przedstawiła, choć znałem jej głos, tak podobny do głosu Gry.

–Mam owoce. Otwórz rękę.

Włożyła mi w dłoń suszone śliwki. Podziękowałem i zacząłem

jeść. Usiadła obok mnie. Słyszałem, że także je.

–Tak – mruknęła. – Do tej chwili dzik pewnie już zabił parę psów, a może i paru ludzi, choć pewnie nie, i już jest zabity. Teraz go patroszą i wycinają drągi, na którym go przyniosą, psy rzucają się na jego flaki, a konie chcą odbiec, ale nie mogą. – Splunęła.

Być może pestką.

–Nigdy nie zostajesz, gdy polują? – spytałem nieśmiało. Choć znałem Parn przez całe życie, zawsze mnie onieśmiałała.

–Nie przy dziku ani niedźwiedziu. Chcieliby, żebym się wmieszała, przytrzymała zwierza. To by im dało niesprawiedliwą przewagę.

–Ale przy jeleniu lub zającach?

–To ofiary. Dla nich najlepsza jest szybka śmierć. Niedźwiedź i dzik to nie ofiara. Zasługują na uczciwą walkę.

Jej stanowisko było jasne, wyrażało prawa naturalne; przyjąłem je do wiadomości.

–Gry ma dla ciebie psa – dodała.

–Właśnie chciałem ją prosić...

–Ledwie się dowiedziała, że masz zapieczętowane oczy, oznajmiła, że będziesz chciał psa przewodnika. Tresuje szczeniaka naszego owczarka. Przyjedźcie do Roddmantu w drodze powrotnej. Gry może być już gotowa.

To była dobra chwila, jedyna dobra chwila tych niekończących się, paskudnych dni.

Myśliwi "wrócili do obozu późno, rozproszeni. Oczywiście niepokoiłem się o ojca, ale nie ośmieliłem się pytać. Tylko słuchałem tego, co mówili inni, i czekałem. W końcu się zjawił, prowadził Siwosza, który zranił się w nogę podczas jakiejś kolizji czy zamieszania. Ojciec powitał mnie łagodnie, ale czułem, że ledwo hamuje wściekłość. Polowanie było źle zorganizowane. Ogge i jego starszy syn spierali się o taktykę i wszystkich zdezorientowali, więc dzik, choć doprowadzony w zasadzkę, zabił dwa psy i uciekł, jeden koń złamał nogę podczas pościgu, a gdy dzik wpadł w młodniak, myśliwi musieli zsiąść z koni i biec za nim. Odyniec rozpruł brzuch kolejnemu psu i w końcu „wszyscy kłuli i dźgali biednego zwierza, ale nikt nie ośmielił się zbliżyć; zabijali go pół godziny” –jak opowiadał cicho ojciec mnie i Parn.

Siedzieliśmy w milczeniu, słuchając kłótni Ogge'a z synem.

Służący w końcu przynieśli dzika; poczułem jego prząsny dziki odór i metaliczny zapach krwi. Uroczyście podzielono wątrobę, którą uczestnicy polowania piekli nad ogniem. Canoe nie zgłosił się po swoją część. Zajął się naszymi końmi. Słyszałem, jak Harba, syn Ogge'a, krzyczy do niego, by przyszedł po jadło, ale głosu Ogge'a nie słyszałem. Ogge nie przyszedł też mnie dręczyć, co stało

się jego zwyczajem. Podczas całej drogi powrotnej do Kamienne-
go Domu Drummantu nie odezwał się do Canoca ani do mnie.

Brak jego jowialnych kpin przyjąłem z ulgą, ale i z niepokojem.

Następnej nocy, gdy rozbiliśmy obóz, spytałem ojca, czy brantor
jest na niego zły.

–Twierdzi, że nie chciałem ratować jego psów – powiedział

Canoe. Leżeliśmy przy ciepłych popiołach ogniska, z głowami ku
sobie, szepcząc; wiedziałem, że jest ciemno, i mogłem sobie wy-
obrazić, że dlatego nie widzę.

–Co się wydarzyło?

–Dzik masakrował psy. Ogge krzyknął do mnie: „Uderz wzro-
kiem, Caspro!“. Jakby mój dar służył do polowania! Ruszyłem na
dzika z włócznią, wraz z Harbą i paroma innymi. Ogge z nami nie
poszedł. Wtedy dzik nam się wymknął, przebiegł tuż koło Og-
ge[^] i uciekł. Ach, to była rzeźnia. A on obwinia o to mnie.

–Czy po powrocie musimy tam jeszcze zostać?

–Parę dni.

–On nas nienawidzi.

–Twojej matki nie nienawidzi.

–Jej najbardziej.

Albo nie zrozumiał, albo mi nie uwierzył. Ale ja wiedziałem, że mam rację. Ogge mógł ze mnie kpić do woli, mógł udowadniać, że góruje nad Canokiem bogactwem czy siłą, ale Melle Aulitta była poza jego zasięgiem. Pamiętałem, jak na nią patrzył, gdy złożył wizytę w naszym domu. Wiedziałem, że nadal patrzy na nią z tym samym zdumieniem, nienawiścią i pożądlivością. Starał się być blisko niej, słyszałem jego daremne próby zrobienia na niej wrażenia, jego przechwałki i pogardliwe uwagi, i jej łagodne, miłe odpowiedzi, na które nie znajdował riposty. Żadne jego słowo ani czyn nie mogły jej dotknąć. Ona się go nawet nie bała.

11

Gdy wróciliśmy po długich dniach i nocach spędzonych w dzi-
czy i znów mogłem się spotkać z matką, wziąć kąpiel i włożyć czy-
stą koszulę, nawet nieprzyjazne komnaty Drummantu, których
nigdy nie widziałem, wydały mi się znajome.

Zeszliśmy na kolację do wielkiej sali i tam usłyszałem, że
brantor Ogge po raz pierwszy od dwóch dni odezwał się do mego
ojca.

–Gdzie twoja żona, Caspro? – spytał. – Gdzie ładna calluca?

I twój ślepy syn? Oto moja wnuczka przybyła z Rimmantu na spotkanie, przemierzyła całą posiadłość. Chodź, chłopcze, poznaj Vardan, zobaczymy, co w sobie zobaczycie!

W jego głosie brzmiał metaliczny, skrzeczący rechot.

Daredan Caspro, matka dziewczynki, szeptem kazała jej podejść. Moja matka, trzymając rękę na moim ramieniu, odezwała się:

–Cieszymy się, że możemy cię poznać, Vardan. To mój syn

Orrec.

Nie słyszałem głosu dziewczynki, tylko jakiś chichot czy skomlenie. Myślałem, że może trzyma w objęciach szczeniaka.

–Witaj – powiedziałem, skłaniając głowę.

–Taj, taj, taj – odparł grubym, słabym głosem ktoś stojący przede mną w miejscu, gdzie powinna się znajdować dziewczynka.

–Vardan, powiedz „witaj” – dobiegł mnie drżący szept Daredan.

–Taj, taj.

Zabrakło mi słów.

–Bardzo dobrze, dziękuję, kochanie – odezwała się moja matka. – Z Rimmantu daleka droga, prawda? Na pewno jesteś bardzo zmęczona.

Znowu się rozległo szczenięce skomlenie.

–Tak, jest zmęczona... – zaczęła Daredan, ale Ogge jej przerwał:

–No, no, niech młodzi ze sobą pogawędzą, nie wyręczajcie ich, kobiety! I bez swatania mi tu! Piękna z nich para, co? No powiedz, chłopcze, ładna jest ta moja wnuczka? Jest z tej samej krwi co ty – nie krwi calluców, lecz Casprów. Dobra krew zawsze daje o sobie znać, powiadają! Jest ładna, hę?

–Nie widzę jej, panie. Wyobrażam sobie, że tak.

Matka ścisnęła moje ramię. Nie wiem, czy z przerażenia moją śmiałością, czy chwając moją próbę uprzejmości.

–Nie widzę jej, panie! Nie widzę jej, panie! – przedrzeźniał mnie Ogge. – W takim razie niech ona cię poprowadzi. Ona widzi. Ma świetne oczy. Silne, dobre, przenikliwe oczy Casprów. Tak, dziewczyno? Tak?

–Taj, taj, taj. Mamo, chcę po schodach!

–Już idziemy, kochanie. Idziemy. To była długa podróż, jest zmęczona, proszę o wybaczenie, teściu, nie wypoczęliśmy przed kolacją.

Dziewczynka z matką uciekły. My nie mogliśmy uciec. Musieliśmy godzinami siedzieć przy długim stole. Dzik piekł się na różnie przez cały dzień. Wniesiono jego łeb przy okrzykach

triumfu. Wznoszono toasty za myśliwych. Salę wypełnił mocny odór dziczyzny. Jej wielkie plastry przywały mój talerz. Nalano wina, nie piwa ani podpiwku, lecz czerwonego wina z winnic na południowym zachodzie posiadłości; na całych Wyżynach tylko Drummantowie wytwarzali wino. Było ciężkie, słodko-gorzkie.

Wkrótce Ogge zaczął mówić jeszcze donośniej niż zwykle, ganiąc swego starszego syna i wychwalając pod niebiosa młodszego, ojca Vardan.

–Sebb, co powiesz na zaręczyny? – ryknął i roześmiał się, nie czekając na odpowiedź, a potem, po półgodzinie znowu zaczął: – No, Sebb, co z zaręczynami? Są tu wszyscy przyjaciele. Wszyscy pod naszym dachem. Casprowie, Barrowie, Cordowie i Drumowie. Najlepsza krew w całych Wyżynach. Hej, brantorze Canocu Caspro, co powiesz? Wznoszę toast! Za przyjaźń, lojalność, miłość i małżeństwo!

Po kolacji nie pozwolono matce i mnie odejść na górę. Musieliśmy zostać w wielkiej sali, gdzie Ogge Drum i jego ludzie upijali

się do nieprzytomności. Ogge trzymał się blisko nas i bardzo często zwracał się do mojej matki. Jego ton i słowa stawały się coraz bardziej obraźliwe, ale ani Melle, ani Canoe, który nie odchodził od niej na chwilę, nie dali się sprowokować. Po jakimś czasie wmieszała się żona brantora, która stała się dla mojej matki jakby tarczą, biorąc na siebie rozmowę z Ogge'em. To go rozgniewało, więc poszedł kłócić się znowu ze starszym synem, a my wreszcie zdołaliśmy się wymknąć z sali i pójść na górę.

–Canoe, wyjedźmy! Natychmiast! – prosiła matka szeptem w długim kamiennym korytarzu prowadzącym do naszego pokoju.

–Zaczekaj – odpowiedział. Weszliśmy do pokoju i zamknęliśmy drzwi. – Muszę porozmawiać z Parn Barre. Wyjedziemy wcześnie rano. Dziś w nocy nic nam nie zrobi.

Roześmiała się z desperacją.

–Będę przy tobie – obiecał.

Puściła moje ramię, by wziąć go w objęcia i samej się w nich znaleźć.

Wszystko było tak, jak być powinno i bardzo się ucieszyłem na wieść, że uciekniemy, ale miałem jedno pytanie, które domagało się odpowiedzi.

–A ta dziewczynka, Vardan...?

Poczułem, że oboje na mnie patrzą, w następnej chwili ich

spojrzenia z pewnością się spotkały.

–Jest niebrzydka – powiedziała matka. – Ma słodki uśmiech.

Ale jest...

–Kretynką – rzucił ojciec.

–Nie, Canoe, nie jest tak źle... ale... nie jest normalna. Jest jak dziecko, tak sędzę, ma umysł dziecka. Małego dziecka. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek to się zmieniło.

–Kretynką – powtórzył ojciec. – Taką żonę umyślił sobie dać ci za żonę Drum.

–Canoe! – szepnęła matka, przerażona tak samo jak ja zażartą nienawiścią w jego głosie.

Ktoś zapukał do drzwi. Ojciec je otworzył. Naradzał się z kimś szeptem. Po chwili podszedł, bez matki, do pryczy, na której brzegu siedziałem.

–Dziecko dostało drgawek i Daredan poprosiła twoją matkę o pomoc. Melle zaprzyjaźniła się prawie ze wszystkimi kobietami, podczas gdy my polowaliśmy na świniaka i robiliśmy sobie

wrogów. – Roześmiał się ponuro. Usłyszałem, że z impetem usiadł na krzesło przed wygasłym paleniskiem, runął jak zmęczony pies.

–Chciałbym stąd wyjechać!

–Ja też – odparłem.

–Kładź się spać. Ja zaczekam na twoją matkę.

Też chciałem zaczekać i starałem się dotrzymać mu towarzys-
twa, ale podszedł, delikatnie położył mnie na pryczy i okrył ciep-
łym kocem z miękkiej wełny. W następnej chwili już spałem.

Obudziłem się gwałtownie, od razu przytomny. Na podwórzu
piał kogut. Mogło świtać albo też być na długo przed świtaniem.

W pokoju rozległ się szelest.

–Ojcie... – odezwałem się.

–Orrec? Nie śpisz? Jest ciemno, nic nie widzę. – Matka po
omacku znalazła drogę do mojej pryczy i usiadła obok. – Och, jak
mi zimno. – Dygotała. Spróbowałem otulić jej ramiona kocem. Za-
rzuciła go na nas oboje.

–Gdzie ojciec?

–Powiedział, że musi porozmawiać z Parn Barre. Wyjedzie-
my, jak tylko zrobi się widno. Uprzedziłam Denno i Daredan, że
wyjeżdżamy. Zrozumiały. Powiedziałam tylko, że zbyt długo pozo-
stajemy poza domem i Canoe martwi się o wiosenną orkę.

–Co było tej dziewczynce?

–Łatwo się męczy i dostaje drgawek, a wówczas jej matka odchodzi od zmysłów, biedactwo. Kazałam jej się położyć i odpocząć, niewiele sypia, a sama usiadłam przy dziewczynce. A potem jakbym przysnęła i nie wiem... Wydawało mi się... Tak mi zimno, nie mogę się rozgrzać. – Objąłem ją, a ona przytuliła się do mnie. – W końcu przyszły inne kobiety i zostały z dzieckiem, ja wróciłam tutaj, a twój ojciec poszedł do Parn. Pewnie powinnam spakować nasze rzeczy, ale nadal jest tak ciemno... ciągle czekam na świt.

–Zostań, rozgrzej się – powiedziałem i oboje tak siedzieliśmy długo, usiłując się ogrzać.

Wrócił ojciec. Miał krzesiwo, zapalił świeczkę, a wówczas matka szybko spakowała w juki nasze nieliczne rzeczy. Wykradliśmy się z domu przez sale, korytarze i schody. Czułem w powietrzu zapach świtu, a koguty piał już z całym przekonaniem. Poszliśmy do stajni, gdzie zaspany, opryskliwy parobek pomógł nam osiodłać konie. Matka wyprowadziła Deresze i trzymała ją, kiedy jej dosiadałem. Wspiąłem się na siodło i zacząłem czekać.

Usłyszałem jej zaskoczony, żalony okrzyk. O bruk zastukały kopyta kolejnego konia.

–Canoc,.patrz! – odezwała się matka.

Ojciec prychnął z obrzydzeniem.

–Co tam jest? – spytałem.

–Zdechłe kurczęta – powiedział ojciec cicho. – Ludzie zostawili koszyk tam, gdzie matka im go dała. Zostawili kurczęta na pewną śmierć.

Pomógł Melle dosiąść Siwosza, a potem wyjechał ze stajni na Księciu; stajenny otworzył bramy dziedzińca i ruszyliśmy.

–Szkoda, że nie możemy galopować – powiedziałem.

Matka w swoim przerażeniu wzięła to poważnie i odparła:

–Nie możemy, kochanie...

Canoe, jadący tuż za mną, parsknął śmiechem.

–Nie – rzekł. – Odjedziemy spacerkiem.

Ptaki przekazywały sobie pieśń z drzewa na drzewo, a ja myślałem, tak jak matka, że wkrótce ujrzę światło poranka.

Po paru milach odezwała się:

–To był głupi dar dla takiego domu.

–Domu tak wielkiego i wspaniałego – dodał ojciec.

–W ich oczach – odparła Melle Aulitta.

–Ojcze – spytałem – czy oni powiedzą, żeśmy uciekli?

–Tak.

–Więc nie powinniśmy... prawda?

–Gdybyśmy zostali, zabiłbym go. Owszem, chętnie bym go zabił w jego własnym domu, lecz nie stać mnie na taką przyjemność. On o tym wie. Ale trochę mu się odwdzięczę.

Nie zrozumiałem – ani ja, ani matka – aż późnym rankiem za naszymi plecami rozległ się tętent. Przestraszyliśmy się, ale Canoe rzekł spokojnie:

–To Parn.

Powitała nas ochrypłym głosem, tak podobnym do głosu Gry.

–I gdzie to twoje bydło? – spytała.

–Pod tamtą górą, przed nami.

Ruszyliśmy. Potem się zatrzymaliśmy, a matka i ja zsiadliśmy z koni. Zostawiła mnie w porośniętym trawą miejscu przy strumyku, gdzie mogłem usiąść. Zaprowadziła Siwosza i Deresze do wody, by mogły się napić i ochłodzić nogi. Canoe z Parn odjechali i wkrótce przestałem ich słyszeć.

–Dokąd się wybrali? – spytałem.

–W tamtą dolinę. Pewnie poprosił Parn, żeby przywołała jałówki.

I po bardzo długim, jak mi się wydawało, czasie, kiedy nerwowo nasłuchiwałem odgłosów pościgu, lecz nie słyszałem nic prócz ptasich treli i dalekiego ryku bydła, odezwała się matka:

–Jadą.

Wkrótce dobiegł mnie szelest trawy ocierającej się o nogi zwierząt, powitalne parsknięcie Księcia do naszych koni i głos ojca, mówiącego coś do Parn ze śmiechem.

–Canoe! – zawołała matka.

–Wszystko jest dobrze, Melle – odpowiedział. – To nasze jałówki. Drum się nimi zaopiekował, a teraz zabieramy je do domu.

Wszystko w porządku.

–Doskonale – stwierdziła, ale nie całkiem była uspokojona.

Zaraz potem wszyscy wyruszyliśmy, ona najpierw, potem ja, następnie Parn z dwoma jałówkami idącymi tuż za nią, a na końcu Canoe. Bydło nie spowolniło naszego marszu, było młode, pełne życia i pochodziło z wytrzymałej rasy; dotrzymywało kroku naszym koniom i przez cały dzień utrzymało dobre tempo. Późnym popołudniem znaleźliśmy się w naszych posiadłościach, przemierzaliśmy ich północną część, kierując się do Roddmantu. Parn za-

proponowała, żebyśmy zabrali tam jałówki i przez jakiś czas zostawili na pastwiskach Roddów, wraz z dawnym stadem.

–Będą mniej kusić – mówiła – a Drumowi będzie je o wiele trudniej znowu ukraść.

–Chyba że zażąda od ciebie zwrotu – powiedział Canoe.

–Niech żąda. Nie chcę mieć więcej nic wspólnego z Ogge'em, a jeśli chce zwady, będzie ją miał.

–Jeśli poszuka jej z tobą, to i z nami – rzekł Canoe z żartobliwą zapalczywością.

–Ennu, usłysz i przybądź – szepnęła matka. Była to jej modlitwa na chwilę strapienia i przestraszenia. Opowiedziała mi dawno temu o Ennu, która prostuje drogi, błogosławi pracę i godzi zwąśnionych. Jej zwierzęciem był kot, a opal, który Melle zawsze nosiła, był jej kamieniem.

Mniej więcej wtedy, gdy przestałem czuć na plecach zachodzące słońce, przybyliśmy do Kamiennego Domu-Roddmantu.

Szczekanie rozchodziło się z niego na milę. Nasze konie otoczyło

mnóstwo psów, a wszystkie witały nas radośnie. Ternoc wyszedł, także nas witając, po chwili ktoś podbiegł i objął moją nogę. To była Gry, to ona przytuliła twarz do mojej nogi.

–Uspokój się, Gry, daj mu zsiąść – odezwała się Parn oschle.

–Pomóż mu.

–Nie trzeba – rzuciłem. Zsiadłem dość sprawnie, a Gry chwyciła mnie za rękę i wtuliła w nią twarz z płaczem.

–Och, Orrec! – powtarzała. – Och, Orrec!

–Wszystko w porządku, Gry, naprawdę. Ja nie... nie jestem...

–Wiem. – Puściła moją rękę i parę razy pociągnęła nosem.

–Witaj, matko. Witaj, brantorze Canocu. Witaj... – Usłyszałem, że rzuca się Melle w ramiona i całuje ją. Potem wróciła do mnie.

–Parn mówi, że masz psa – zagailem dość niezręcznie, bo przygniatało mnie poczucie winy za śmierć biednego Hamnedy, a nawet za to, że go wybrałem, choć Gry mi odradzała.

–Chcesz ją zobaczyć?

–Tak.

–To chodź.

Zaprowadziła mnie dokądś – nawet ten dom i obejście, które znałem niemal jak własne, przez moją ślepotę stały się labiryntem i tajemnicą.

–Zaczekaj – nakazała, a po paru chwilach usłyszałem: – Wronia, siad. To Wronia. Wroniu, to jest Orrec.

Przykucnąłem. Poczułem na ręce ciepły oddech, potem delikatne muśnięcie wąsów i mokry język, uprzejmie oblizujący moją dłoń. Ostrożnie sięgnąłem dalej, bojąc się, że mogę uszkodzić suce oko albo ją wystraszyć, ale siedziała nieruchomo i poczułem jedwabistą, kędzierzawą sierść na jej głowie, szyi i na miękkich uszach.

–To czarny owczarek? – spytałem szeptem.

–Tak. Suka Kinny'ego urodziła zeszłej wiosny trzy szczeniaki. Ta jest najlepsza. Dzieci się z nią bawiły, a Kinny zaczął ją uczyć na psa pasterskiego. Poprosiłam o nią, kiedy się dowiedziałam o twoich oczach. Masz tu smycz. – Włożyła mi w dłoń krótki, sztywny rzemień. – Przespacerujcie się trochę.

Wstałem i poczułem, że suka także wstaje. Zrobiłem jeden krok i poczułem ją tuż przed sobą, nieporuszoną. Roześmiałem się, choć byłem zakłopotany.

–W ten sposób daleko nie zajdziemy!

–Gdybyś szedł dalej, przewróciłbyś się na drewnie, które zostawił tam Fanno. Pozwól jej się prowadzić.

–Co mam robić?

–Powiedz: „idź” i jej imię.

–Idź, Wroniu – powiedziałem do ciemności na końcu rzemienia w mojej dłoni.

Smycz pociągnęła mnie łagodnie w prawo i do przodu. Szedłem jak najodważniej, aż smycz łagodnie kazała mi się zatrzymać.

–Wróc do Gry, Wroniu – rozkazałem, odwracając się.

Smycz kazała mi się odwrócić bardziej, pociągnęła mnie i zatrzymała.

–Jestem tutaj – odezwała się Gry tuż przede mną. Głos miała ochrypły.

Ukląknęłam i otoczyłam sukę ramionami. Jedwabiste ucho dotknęło mojej twarzy, wąsy połaskotały mnie w nos.

–Wronia, Wronia – powtórzyłam.

–Nie posłużyłam się przywołaniem, tylko parę razy na samym początku – powiedziała Gry. Sądząc po jej głosie, kucnęła tuż obok. – Uczyła się szybko. Jest mądra. I zrównowazona. Ale oboje musicie współpracować.

–Mam ją tu zostawić i wrócić później?

–Raczej nie. Mogę ci powiedzieć, czego nie powinieneś robić. I spróbuj przez jakiś czas nie prosić jej o zbyt wiele rzeczy naraz. Ale mogę przyjechać i poćwiczyć z wami. Chętnie bym to zrobiła.

–To by było świetnie.

Po groźbach, atakach i okrucieństwie Drummantu czysta miłość i dobroć Gry, i spokojne, ufne, godne zaufania zachowanie psa – to było dla mnie za wiele. Ukryłam twarz w kędzierzawym, jedwabistym futrze.

-Dobra sunia – powiedziałem.

Gry i ja w końcu weszliśmy do domu, gdzie dowiedziałem się, że matka przy zsiadaniu z konia zemdląła w ramionach ojca. Zanieśli ją na górę i położyli. Gry i ja kręciliśmy się koło nich, czując się niedorosli i nieprzydatni, jak zawsze młodzi, kiedy dorosły zachoruje. W końcu Canoe zszedł na dół. Podszedł prosto do mnie.

–Nic jej nie będzie – powiedział.

–Jest tylko zmęczona?

Zawahał się, a Gry spytała:

–Nie straciła dziecka?

Dar Gry pozwalał jej rozpoznać, kiedy w jednym ciele żyją dwie istoty. Nasz taki nie był. Z pewnością Canoe nie wiedział, że Melle jest brzemienna; ona sama mogła tego nie wiedzieć.

Dla mnie ta wiadomość nie miała wielkiego znaczenia. Trzynastoletni chłopiec żyje daleko od tego aspektu życia; ciąża i poród to sprawy abstrakcyjne, które z nim nie mają żadnego związku.

–Nie – powiedział Canoe. Znowu się zawahał i dodał: – Musi odpocząć.

Jego zmęczony, bezbarwny głos mnie zaniepokoił. Chciałem ojca rozweselić. Miałem już dość strachu i smutku. Wyzwoliliśmy się od nich, znowu byliśmy wśród przyjaciół w bezpiecznym Roddmancie.

–Jeśli wszystko z nią dobrze, może chciałbyś obejrzeć Wronie – zaproponowałem.

–Później.

Dotknął mojego ramienia i wyszedł. Gry zaprowadziła mnie do kuchni, bo w tym zamieszaniu nie przygotowano kolacji, a umierałem z głodu. Kucharka nakarmiła nas plackiem z królikiem. Gry powiedziała, że strasznie się usmarowałem sosem, a ja

na to, żeby spróbowała jeść z zamkniętymi oczami, a ona, że spróbowała – przewiązała sobie oczy na cały dzień, by się dowiedzieć, co czuję. Po kolacji wyszliśmy i Wronia zabrała mnie na spacer w ciemnościach. Świecił półksiężyc, przy którym Gry widziała drogę, ale powiedziała, że Wronia i ja radzimy sobie lepiej, i potknęła się o korzeń, żeby mnie przekonać.

Kiedy byliśmy dziećmi, w Roddmancie często zasypialiśmy tam, gdzie padliśmy, jak małe zwierzątka; ale teraz zaczęły się rozmowy o narzeczeństwie i podobnych sprawach. Życzyliśmy sobie dobrej nocy jak dorośli. Ternoc zaprowadził mnie do pokoju rodziców. W Roddmancie nie mieli takiego wyboru łóżek i sypialni jak w Drumman-
cie. Ternoc szepnął, że matka śpi w łóżku, a ojciec na krześle; dał mi koc, zwinąłem się w kłębek na podłodze i zapadłem w sen.

Następnego ranka matka twierdziła, że czuje się dobrze. Trochę się przeziębila i tyle. Była gotowa wracać.

–Ale nie konno – oznajmił Canoe, a Parn go poparła.

Ternoc pożyczył nam wóz i córkę tej samej szkapiny, która zaniósła go do Dunetu. Tak więc matka, Wronia i ja wróciliśmy do Caspromantu wśród luksusów, na kobiercach rozpostartych na sianie, Canoe jechał na Księciu, a Siwosz i Deresza podążały gorliwie za nim. Wszyscy cieszyliśmy się z powrotu do domu.

Wronie czekało mnóstwo węszenia i znakowania rozmaitych

krzaków i kamieni dokoła. Grzecznie przywitała się z naszymi starymi psami, ale się z nimi nie bratała. Pochodziła z rasy owczarków, niezbyt towarzyskich, pełnych godności. Była jak mój ojciec: poważnie traktowała zobowiązania. A jej zobowiązaniem byłem ja. Gry przyjeżdżała co parę dni, by dalej nas szkolić. Dosiadała żrebaka Barrów z Cordemantu, Płomienia. Barrowie prosili Parn, żeby go złamała, a Parn postanowiła złamać jednocześnie żrebaka i córkę. Przywoływacze tak to nazywają, choć słowo to niewiele ma wspólnego ze sposobem, w jaki szkolą młodego konia. Podczas tej edukacji nic nie zostaje złamane; raczej jednoczy się, tworzy całość. To długi proces. Gry mi to wyjaśniła: przywoływacze proszą konia, żeby robił coś, czego konie z natury raczej nie robią; a koń nie podporządkowuje się im tak jak pies, gdyż woli porozumienie od hierarchii. Pies słucha; koń wyraża zgodę. Wszystko to sobie dokładnie omówiliśmy, kiedy Wronia i ja uczyliśmy się obowiązków względem siebie. Rozmawialiśmy o tym, gdy wybieraliśmy się gdzieś konno. Gry i Płomień uczyli się swoich obowiąz-

ków względem siebie, a ja jechałem na Dereszy, która już dawno nauczyła się wszystkiego, co musiała wiedzieć. Wronia biegła za nami, spuszczone ze smyczy, na wakacjach, mogąc pędzić, węszyć, tropić i straszyć króliki, bez lęku o mnie. Ale gdybym ją zawołał, natychmiast znalazłaby się u mego boku.

Dzięki Wroni i Gry to pierwsze lato – pierwsze w ciemnościach – zapamiętałem jako słoneczne. Przedtem miałem wiele kłopotów i trosk, niepokoiłem się i bałem swojego daru. Teraz, mając zapieczętowane oczy, nie mogłem go źle użyć i nie musiałem się dręczyć. Koszmar Drummantu się skończył, byłem wśród swoich. A respekt, który budziłem w prostytutkach, wynagradzał mi bezradność – choćbym się do tego za nic nie przyznał. Kiedy człowiek błąka się na oślep po pokoju, serce mu rośnie na szept: „Gdyby podniósł tę opaskę...! Umarłbym ze strachu!”.

Matka chorowała przez jakiś czas po powrocie i nie wstawała.

Potem znowu zaczęła się krzątać po domu, tak jak przedtem, ale pewnej nocy przy kolacji wstała i powiedziała coś z przestrawieniem.

Zrobiło się zamieszanie i razem z ojcem wyszli. Siedziałem przy stole osamotniony, dezorientowany. Musiałem spytać służących, co się stało. Najpierw nie chciały mówić, potem jedna rzekła:

–Zaczęła krwawić, miała zakrwawioną spódnicę.

Przeraziłem się. Poszedłem do sali i usiadłem przy palenisku.

Tam znalazł mnie ojciec. Mógł tylko wykrztusić, że poroniła, ale czuje się dość dobrze. Mówił spokojnie i odzyskałem otuchę.

Uczepiłem się nadziei.

Następnego dnia Gry przyjechała na Płomieniu. Poszliśmy odwiedzić matkę w jej małym pokoiku na wieży. Stała tam prycza i było cieplej niż w sypialni. Na palenisku płonął ogień, choć była pełnia lata. Melle otuliła się najcieplejszym ze swoich szali, co poznałem, wzięwszy ją w ramiona. Głos miała trochę słaby i ochryply, ale brzmiał jak dawniej.

–Gdzie Wronia? – spytała.

Wronia oczywiście była w pokoju, bo teraz byliśmy nierozłączni. Zaproszono ją na łóżko, gdzie spoczęła napięta i czujna, najwyraźniej uważając, że matce potrzebny jest strażnik. Matka spytała o naukę prowadzenia i bycia prowadzonym, a także o to, jak Gry sobie radzi z łamaniem konia, i rozmawialiśmy jak zwykle. Ale Gry wstała, zanim byłem gotów odejść. Powiedziała, że musimy już iść, a całując moją matkę, dodała szeptem:

t

–Współczuję z powodu dziecka.

–Mam was – odszepnęła Melle.

Ojciec od świtu do nocy nadzorował prace w naszej posiadłości. Już się zacząłem nadawać do pracy, ale teraz byłem bezużyteczny. Moje miejsce u jego boku zajął Alloc. Był człowiekiem czystego serca, bez ambicji ani pretensji; uważał się za głupka i niektórzy się z nim zgadzali, ale choć powolny w myśleniu, miał sporo zdrowego rozsądku. Pracował wraz z Canokiem i był mu wszystkim, czym ja być nie mogłem. Zazdrościłem mu i byłem o niego zazdrosny. Starczyło mi godności, by tego nie okazywać, bo to by zraniło Alloca, rozgniewało ojca, a mnie nie wyszło na dobre.

Gdy moja nieprzydatność i bezradność udręczyły mnie już ponad miarę, kiedy moja determinacja słabła i pragnąłem już tylko zdjąć opaskę i odzyskać całe utracone dziedzictwo światła, myślałem o ojcu. Gdybym go widział, byłbym śmiertelnym zagrożeniem dla niego i jego ludzi. Z zamkniętymi oczami byłem jego tarczą i wsparciem. Moja ślepotą była atutem.

Rozmawialiśmy o wizycie w Drummancie; ojciec powiedział, że według niego Ogge Drum boi się nas obu, lecz mnie bardziej, i że jego okrutne żarty i docinki były blefem, demonstracją, dzie-

ki której zachował twarz wobec swoich ludzi.

–Najbardziej na świecie chciał się nas pozbyć. Korciło go, by cię wypróbować, to prawda, lecz za każdym razem, kiedy już miał cię zmusić do działania, wycofywał się. Nie starczyło mu odwagi. A mnie nie rzucił wyzwania ze strachu przed tobą.

–Ale ta dziewczyna... chciał nas upokorzyć!

–Obmyślił to, zanim się dowiedzieliśmy o twoim dzikim darze. Wpadł we własne sidła. Musiał dalej prowadzić tę grę, by pokazać, że się nas nie boi. Ale się boi. I to jak!

Dwie nasze białe jałówki były już w Caspromancie, na górskich pastwiskach wraz z resztą stada, daleko od granicy z Drummantem. Drum nie wspomniał o nich ani słowem i nie starał się mścić na nas ani Roddmancie.

–Dałem mu wyjście i skorzystał z niego – powiedział Canoe z mściwą satysfakcją, jego jedyną radością. Chodził wciąż napięty, chmurny. Dla mnie i matki był delikatny i czuły, lecz nigdy długo z nami nie zostawał – wychodził do pracy, przychodził w milczeniu, zmęczony i śpiący.

Melle wolno odzyskiwała siły. Kiedy chorowała, w jej głosie pojawiała się pokorna, cierpliwa nuta, której nie znośm. Chciałem znowu usłyszeć jej czysty śmiech, szybkie kroki w pokojach. Już się zajęła domem, ale łatwo się męczyła, a gdy dzień był deszczowy lub letnimi wieczorami dął zimny wicher od Carrantagów, rozpalala ogień w pokoju na wieży i otulała się grubym szalem z szorstkiej brązowej wełny, który matka ojca dla niej utkała.

Raz, kiedy z nią siedziałem, odezwałem się bez zastanowienia:

–Od wizyty w Drummanacie ciągle ci zimno.

–To prawda – powiedziała. – Od tamtej ostatniej nocy, gdy czuwałam nad tą nieszczęsną dziewczynką. Dziwne. Chyba ci o tym nie opowiadałam... Denno zeszła na dół, żeby rozdzielić kłócących się synów. Daredan była tak zmęczona, że kazałam jej pójść do łóżka. Ja zostałam przy Vardan. Biedactwo! Spała, ale co chwila budziły ją drgawki i spazmy. Zgasiłam światło i zdrzemnąłam się koło niej. Po chwili usłyszałam szept lub śpiew, jakby zawodzenie. Myślałam, że jestem w moim domu w Gorzkowodzie i ojciec odprawia na dole nabożeństwo. Śpiewne mamrotanie ciągnęło się, a potem umilkło. I zdałam sobie sprawę, że nie jestem w domu, lecz w Drummanacie, ogień pali się tuż obok, a mnie jest bardzo zimno, aż skostniałam. To biedactwo leżało nieruchomo jak umarłe. Przestraszyłam się, ale oddychała. Wtedy przyszła

Denno i dała mi świeczkę, z którą wróciłam do naszego pokoju.

Canoe chciał porozmawiać z Parn, więc wyszedł, a powiew od zamkniętych drzwi zgasił świeczkę. Palenisko było wygaszone. Obudziliśmy się, więc usiadłam z tobą w ciemnościach i ciągle nie mogłam się rozgrzać. Pamiętasz. I przez całą drogę powrotną stopy i ręce miałam jak kawałki lodu. Ach! Nie trzeba było tam jeździć!

–Nienawidzę ich.

–Kobiety były dla mnie dobre.

–Ojciec twierdzi, że Ogge się nas boi.

–Z wzajemnością – powiedziała Melle i wzdrygnęła się lekko.

Kiedy opowiedziałem tę historię Gry – gdyż mówiłem jej wszystko, chyba że coś tałem sam przed sobą – mogłem zadać jej pytanie, którego oszczędziłem matce: czy Ogge Drum mógł wejść do tego pokoju?

–Ojciec mówi, że moc Drumów wyzwala się poprzez słowa, zaklęcia, a także oko i rękę. Może to, co słyszała...

Gry przyjęła tę myśl ze wstrętem i odrzuciła ją.

–Dlaczego miałby uderzyć w nią, a nie w ciebie czy Canoca?

Melle nic mu nie zrobiła!

Pomyślałem o Canocu, który powiedział: „Włóż tę czerwoną suknię, żeby zobaczył, jaki dar od niego dostałem”. To właśnie mu zrobiła. Ale nie potrafiłem tego wyrazić. Mogłem tylko powiedzieć:

–On nienawidzi nas wszystkich.

–Opowiedziała ojcu o tamtej nocy?

–Nie wiem. Nie wiem, czy przywiązuje do tego jakąś wagę.

Wiesz, ona... ona nie ma dobrego zdania o darach, mocach. Nawet nie wiem, co teraz myśli o mnie. O tym dzikim darze. Wie, dlaczego mam zapieczętowane oczy. Ale chyba nie wierzy... – urwałem, czując, że znalazłem się na niebezpiecznym terenie. Odruchowo wyciągnąłem dłoń ku ciepłemu grzbietowi Wroni leżącej przy mojej nodze. Ale nawet Wronia nie potrafiła wyprowadzić mnie z tych ciemności.

–Może powinieneś powiedzieć Canocowi – odezwała się Gry.

–Lepiej by było, gdyby zrobiła to matka.

–Mnie powiedziałaś.

–Ale ty nie jesteś Canokiem – stwierdziłem oczywistość, która kryła wiele niewypowiedzianych znaczeń. Gry to zrozumiała.

–Spytam Parn, czy można coś zrobić z... z tą mocą.

–Nie, nie pytaj. – Mogłem powiedzieć jej, ale gdyby ta histo-

ria rozniosła się dalej, zdradziłbym zaufanie matki.

–Nie powiem, dlaczego pytam.

–Parn i tak się dowie.

–Może już wie... Od waszego przyjazdu. Kiedy Melle zemdlała, matka powiedziała do ojca: „Mógł jej dotknąć”. Wtedy nie wiedziałam, co ma na myśli. Myślałam, że może Ogge chciał zgwałcić Melle i zrobił jej krzywdę.

Milczeliśmy zadumani. Myśl, że Ogge mógł rzucić klątwę wyćnięcia na matkę, była ohydna, ale daleka, trudna do rozważenia. Mój umysł odrzucał ją, zajmował się innymi sprawami.

–Od wizyty w Drummancie nic nie mówiła o Annrenie Barre

–zauważyła Gry, mając na myśli własną matkę, nie moją.

–Nadal spierają się o Cordemant. Raddo twierdzi, że między braćmi wybuchł jawny konflikt. Mieszkają na dwóch przeciwnych krańcach posiadłości, poza zasięgiem wzroku drugiego ze strachu przed ślepotą i głuchotą.

–Ojciec twierdzi, że żaden z braci nie ma pełnego daru,

w przeciwieństwie do ich siostry Nanno. Nanno powiedziała, że jeśli dalej będą się tak wadzić, obu zmieni w niemowy, żeby nie mogli przeklinać.

Roześmiała się, ja także. Takie groteskowe okrucieństwa nas śmieszyły. I nagle zrobiło mi się lekko na sercu, bo Parn przestała wspominać o zaręczynach Gry z chłopcem z Cordemantu.

–Matka mówi, że dzikie dary są czasami bardzo silne. – Głos Gry zachryptł, jak zawsze, kiedy mówiła o czymś ważnym. – 1 trzeba wielu lat, żeby nauczyć się z nich korzystać.

Nie odpowiedziałem. Nie musiałem. Jeśli Parn chciała przez to powiedzieć, że wierzy w moc mojego daru i że da się go w końcu okiełznać, to znaczyło, że mógłbym z czasem stanowić dobrą partię dla Gry. A to nam wystarczyło.

–Wybierzmy się nad Jesionowy Potok – zaproponowałem, zrywając się z miejsca. Miło jest siedzieć i rozmawiać, lecz dużo przyjemniej jechać konno. Odzyskałem nadzieję i siły, bo Parn Barre, która była mądra, powiedziała, że mogę odzyskać wzrok. Wtedy ożenię się z Gry i zabiję Ogge'a Druma jednym spojrzeniem, jeśli ośmieli się zbliżyć do Caspromantu...

Pojechaliśmy nad Jesionowy Potok. Poprosiłem Gry, żeby mnie uprzedziła, kiedy się zbliżymy do zniszczonego wzgórza. Tam przywiązaliśmy konie. Wronia pobiegła przed nami. Wróciła na wołanie

Gry, ale skomląc, co było bardzo wymowne, bo rzadko się odzywała.

–Nie spodobało się jej – zauważyła Gry.

Poprosiłem, by opisała mi to miejsce.

–Trawa już odrasta – powiedziała – ale nadal wygląda dziwnie. Wszystko roztrzaskane. Same bryły i pył. Nic nie ma kształtu.

–Chaos.

–Co to jest chaos?

–To słowo z opowieści matki o początku świata. Na początku wszędzie było pełno wszystkiego, ale nic nie miało kształtu ani formy. Były tylko strzępy, okruchy i gruzły, nawet nie skały ani ziemia, po prostu materia. Bez formy i koloru, bez ziemi i nieba, góry i dołu, południa czy północy. Nic nie miało sensu. Ani kierunku. Ani związku, ani więzi. Nie było mroku, nie było światła. Bałagan. Chaos.

–I co się stało?

–Nic by się nie stało, gdyby te kawałki materii nie przywarły do siebie tam i ówdzie. Wtedy zaczęły tworzyć kształty. Najpierw tylko pecyny ziemi. Potem kamienie. A kamienie tarły

r

0 siebie i krzesaly iskry, a inne wtapiały się w siebie, aż zmieniły się w wodę. Ogień i woda się spotkały i powstała para, mgła, chmury, powietrze – powietrze, którym mógł oddychać Duch.

Wówczas Duch scalił się, zaczerpnął powietrza i przemówił. Powiedział, że ma się stać wszystko. Zaśpiewał ziemi, ogniovi, wodzie i powietrzu, zaśpiewał wszystkim stworzeniom, by się stały.

1 tak nadał kształt góróm i rzekom, drzewóm, zwierzętom i ludzióm. Tylko on sam nie przyjął kształtu ani imienia, by móc pozostać wszędzie, we wszystkim i pomiędzy wszystkim, we wszystkich więziach i w każdym kierunku. Gdy na koniec wszystko się odczyni i powróci Chaos, Duch będzie w nim tak jak na początku.

–Ale nie będzie mógł oddychać? – spytała Gry po chwili.

–Nie, dopóki wszystko nie zacznie się od nowa.

Rozwijając opowiadanie, dodając mu szczegółów i odpowiadając na pytania Gry, wyszedłem poza ramy opowieści matki. Często tak robiłem. Nie miałem poczucia, że historia jest święta, nieetykalna; raczej wszystko to było dla mnie święte, te cudowne słowa, które – dopóki je słyzałem lub wypowiadałem – tworzyły świat, gdzie mogłem widzieć i działać, świat znany mi i zrozumiały, rządzący się własnymi prawami, a jednak pod moją kontrolą, w przeciwieństwie do świata poza opowiadanyimi historiami.

W nudzie i beczynności ślepoty zacząłem coraz częściej żyć

w tych opowieściach – przypominałem je sobie, prosiłem matkę, by je opowiadała, i sam opowiadałem, nadając im kształt, powołując je do życia, tak jak Duch w czasach Chaosu.

–Masz bardzo silny dar – powiedziała Gry ochrypłym głosem.

Dopiero wtedy przypomniałem sobie, gdzie jesteśmy. I zawstydzilem się, że przyprowadziłem tu Gry, jakbym chciał jej pokazać, co uczyniła moja moc. Dlaczego mi na tym zależało?

–To drzewo... – powiedziałem. – Tu było drzewo... – I wybuchnąłem: – Myślałem, że to mój ojciec! Myślałem, że... nawet nie wiedziałem, na co patrzę...

Nie mogłem dalej mówić. Dałem znak Dereszy, by ruszyła, i zostawiliśmy zniszczenia za sobą. Gry odezwała się dopiero po chwili.

–Już się tam wszystko odradza, Orrec. Chwasty i trawa. Duch nadal tam jest.

Lato minęło spokojnie. Dochodziły nas słuchy, że waśń brantora Ogge'a i jego starszego syna Harby, zaczęta podczas polowania na dzika, przerodziła się we wrogość. Harba zabrał żonę i swoich ludzi do Rimmantu i tam zamieszkał, a młodszy syn Sebb ukrył się w murach Kamiennego Domu Drummantu, gdzie traktowano go jak spadkobiercę i przyszłego brantora. Córka Sebba i Daredan, Vardan, chorowała przez całe lato i było z nią coraz gorzej; drgawki doprowadziły do konwulsji, a konwulsje do paraliżu. Opowiedziała nam o tym żona wędrownego kowala. Tacy ludzie są wielkimi i pożytecznymi plotkarzami – przenoszą wieści z jednej posiadłości do drugiej na całych Wyżynach. Słuchaliśmy chciwie, choć raziła mnie szczegółowa relacja kobiety z choroby dziewczynki. Nie chciałem o tym wiedzieć. Czułem, że w pewien sposób odpowiadam za nieszczęście Vardan.

Kiedy zadałem sobie pytanie, jak to w ogóle możliwe, ujrzałem oczami duszy twarz Ogge'a Druma, nabrzmiałą i pomarszczoną, z opadającymi powiekami i spojrzeniem gada.

Gry nie mogła mnie często odwiedzać, bo żniwa były w pełni i liczyła się każda para rąk. Nie musiała już także uczyć Wroni ani mnie; staliśmy się, jak powiedziała matka, sześcionożnym chłopcem o niezwykle czułym węchu.

W październiku Gry przyjechała do nas na Płomieniu na cały

**dzień, a kiedy już Wronia i ja pochwaliliśmy się jej wszystkimi
nowymi osiągnięciami, usiedliśmy, by jak zwykle porozmawiać.
Przedyskutowaliśmy właśnie w Cordemancie i Drummancie, roz-
tropnie zauważając, że dopóki tamci zajmują się zwadą między
sobą, będą mieli mniej pokus, by kłusować i kraść na naszych gra-**

nicach. Wspomnieliśmy o Vardan. Gry słyszała, że ta mała jest umierająca.

–Jak myślisz, czy to przez Ogge'a? – spytałem. – Tej nocy, kiedy moja matka tam była i słyszała... Może skierował swoją moc przeciwko tej dziewczynce.

–A nie Melle?

–Może nie. – Już jakiś czas temu wpadłem na ten budzący otuchę pomysł, który wydał mi się całkiem prawdopodobny, choć nie aż tak, gdy wspomniałem o nim głośno.

–Dlaczego miałby rzucić wycieńczenie na własną wnuczkę?

–Bo przynosiła mu wstyd. Pragnął jej śmierci. Była... – Usłyszałem ten ochryply, słaby głos: „Taj, taj, taj”. – Była kretynką

–rzuciłem ostro. I pomyślałem o moim Hamnedzie.

Gry się nie odezwała. Miałem wrażenie, że chciała, ale nie potrafiła.

–Matka ma się znacznie lepiej – powiedziałem. – Poszła z Wronią i ze mną aż do Małej Doliny.

–To dobrze. – Gry nie przypomniała mi, a ja o tym nie myślałem, że pół roku temu taki spacer nie byłby dla Melle niczym wyjątkowym; poszłaby ze mną do źródła w wysokich górach i zesłaby do domu śpiewająco. Nie myślałem o tym, ale ta myśl się we mnie kryła.

–Powiedz mi, jak ona wygląda – zażądałem.

Temu poleceniu Gry zawsze była posłuszna. Kiedy prosiłem, żeby była moimi oczami, starała się zobaczyć wszystko.

–Jest chuda – powiedziała.

Poznałem to po rękach matki.

–Wygląda na trochę zasmuconą – mówiła Gry dalej. – Ale ciągle jest piękna.

–Nie wygląda na chorą?

–Nie. Tylko jest chuda. I zmęczona. Albo smutna. Straciła dziecko...

Pokiwałem głową. Po chwili dodałem:

–Opowiedziała mi długą historię. To część opowieści o Hamnedzie. O jego przyjacielu Omnanie, który oszalał i usiłował go zabić. Mogę ci trochę opowiedzieć.

–Tak! – zawołała Gry radośnie i usłyszałem, że wygodnie się sadowi. Dotknąłem grzbietu Wroni i zostawiłem na nim rękę. Ten dotyk był moją kotwicą w niewidzialnym prawdziwym świecie,

a ja wyprawilem się w podróż do jasnego, kolorowego świata opowieści.

Informacje o mojej matce nie budziły strachu ani nawet niepokoju, a jednak wiedzieliśmy bez słów, że nie jest z nią dobrze, że czuje się coraz gorzej. Oboje to wiedzieliśmy.

Matka też to wiedziała. Była zdziwiona i cierpliwa. Chciała wyzdrowieć. Nie potrafiła uwierzyć, że męczą ją najprostsze czynności.

–To takie przykre – mawiała, co było jedyną jej skargą.

Ojciec też to wiedział. W miarę jak ubywało dnia i pracy, a on coraz dłużej i częściej bywał w domu, musiał dostrzec, że Melle jest słaba, że się szybko męczy, mało je, chudnie, czasami sił wystarczy jej tylko na siedzenie w brązowym szalu przy ogniu i dygotanie, i drzemkę.

–Wyzdrowieję, kiedy znowu zrobi się ciepło – mówiła.

On rozpałał dla niej ogień i rozmyślał, co jeszcze mógłby dla niej zrobić.

–Czego byś chciała, Melle?

Nie widziałem jego twarzy, ale słyszałem głos i ta jego czułość przejmowała mnie bólem.

Moja ślepotą i choroba matki dały nam coś dobrego: oboje mieliśmy czas, by popożgować naszej miłości do opowiadania hi-

stории, a historie wyrwały nas z ciemności, zimna i nudy. Melle miała fantastyczną pamięć i zawsze znajdowała w niej jakąś zasłyszaną lub przeczytaną historię. Jeśli część zapominała, ona także, tak jak ja, uzupełniała ją i swobodnie dopowiadała nową część, nawet jeśli była to święta przypowieść, bo kto by się tu gorszył i zarzucał jej herezję? Powiedziałem jej, że jest jak studnia – wystarczy spuścić wiadro i wyciągnąć pełne opowieści. To ją rozśmieszyło.

–Chciałabym zapisać trochę tych opowieści z wiadra – stwierdziła.

Nie mogłem dla niej sam przygotować płótna i atramentu, ale mogłem wyjaśnić Rab i Sosso, naszym młodym gospodyniom, jak się do tego zabrać. A one z radością zrobiłyby dla Melle wszystko. Te dwie kobiety pochodziły ze strony ojców z rodu Casprów, ale nie miały daru. Odziedziczyły miejsce w gospodarstwie po matkach, które wspólnie z moją matką solidnie je przygotowały. W czasie choroby Melle prowadziły dom zgodnie w jej wymaga-

niami, nieustannie starając się jej ułatwić życie. Były serdeczne i energiczne. Rab miała wyjść za Alloca, choć obojgu nie spieszyło się do ślubu. Sosso oznajmiła, że według niej wystarczająco wielu mężczyzn znajduje się już pod pantoflem.

Nauczyły się napinać płótno i mieszać atrament, a mój ojciec skonstruował pulpit dla osoby leżącej i tak Melle zaczęła spisywać wszystkie zapamiętane święte opowieści i pieśni, których nauczyła się w dzieciństwie. Bywały dni, kiedy pisała przez dwie lub trzy godziny. Nigdy nie powiedziała, dlaczego pisze. Nigdy nie powiedziała, że to dla mnie. Nigdy nie powiedziała, że to pisanie ma potwierdzić, iż pewnego dnia będę mógł odczytać jej słowa. Nigdy nie powiedziała, że pisze, ponieważ wie, że może jej zabraknąć. Kiedy Canoe trwoźnie skarcił ją za męczenie się pisaniem, powiedziała tylko:

–Dzięki temu czuję, że wszystko, czego się nauczyłam w dzieciństwie, nie pójdzie na marne. Kiedy piszę, zastanawiam się nad tym.

Więc rankami pisała, a popołudniami odpoczywała. Wieczorami przychodziłem z Wronią do jej pokoju, często także z Canokiem, a ona podejmowała opowiadanie historii o herosie, którą właśnie zaczęliśmy, albo opowieść z czasów, gdy Cumbelo był królem. Słuchaliśmy jej przy kominku, w pokoju na wieży, w samym

środku zimy.

Czasami mawiała:

–Orrec, teraz ty mów dalej.

Tłumaczyła, że chce sprawdzić, czy dobrze zapamiętałem, czy potrafię dobrze opowiadać.

Coraz częściej się zdarzało, że ona zaczynała historię, a ja ją kończyłem. Pewnego dnia powiedziała:

–Rozleniwiłam się. Sam mi coś opowiedz.

–Ale co?

–Wymyśl coś.

Skąd wiedziała, że wymyślam opowiadania podczas długich, nudnych godzin?

–Wiem, co Hamneda mógł zrobić podczas pobytu w Algalandzie.

–Opowiedz.

–Kiedy Omnan zostawił go na pustyni, musiał znaleźć drogę... chyba był bardzo spragniony. Wszędzie piasek, pustynia jak

okiem sięgnąć, góry i doliny czerwonego pyłu. Żadnych roślin, ani śladu źródła. Gdyby nie znalazł wody, musiałby umrzeć. Więc zaczął iść na północ, kierując się położeniem słońca – bo na północy leżał jego rodzinny Bendraman. Szedł i szedł, a słońce paliło go w głowę i plecy, wiatr sypał piaskiem w oczy i nozdrza, tak że nie mógł oddychać. Wicher się nasilał, piasek zaczął wirować, aż przed Hamnedą pojawił się powietrzny wir i ruszył w jego stronę, podrywając czerwony pył i miotając nim wysoko. Hamneda nie uciekał, lecz stanął i wyciągnął ramiona, a wir porwał go z ziemi, kaszłającego i dławiącego się piaskiem. Poniósł go przez pustynię, przez cały czas miotając nim i wciskając piasek do ust i nosa. W końcu słońce zaczęło zachodzić. Wtedy wiatr ustał, powietrze przestało wirować i Hamneda opadł na ziemię u bram miasta. W głowie tak mu się kręciło, że nie mógł wstać, a cały był obsypany czerwonym pyłem. Przykucnął, usiłując złapać oddech. Zza bramy obserwowali go strażnicy, a było już po zmroku.

„Ktoś tu zostawił gliniany dzban” – odezwał się jeden strażnik.

„To nie dzban, tylko posąg, rzeźba – odparł drugi. – Rzeźba psa. To pewnie dar dla króla”.

I postanowili go wnieść do miasta...

–Mów dalej – szepnęła Melle. Więc mówiłem.

Ale teraz dochodzę do tego miejsca opowieści, przez które nie chcę przechodzić. To pustynia. I żaden wir mnie przez nią nie przeniesie.

Każdy dzień był kolejnym krokiem w głąb tej pustyni.

Nadszedł ranek, kiedy matka nie tknęła płótna i pióra. Była zbyt zmęczona, by pisać. Nadszedł dzień, kiedy poprosiła mnie o opowieść, ale przez cały czas się trzęsła i zapadała w drzemkę, nie słyszała już słów, tylko mój głos.

–Nie przerywaj – prosiła, kiedy milkłem, sądząc, że ją męczę, gdyż nie pozwalałam jej zasnąć. – Nie przerywaj.

Na skraju pustyni sądzisz, że może być wielka. Że na przejście jej trzeba będzie może nawet i miesiąca. A potem mijają dwa miesiące, trzy, cztery, a każdy dzień jest kolejnym krokiem przez pył-

Rab i Sosso były dobre i silne, ale kiedy Melle osłabła tak, że potrzebowała opieki jak małe dziecko, Canoe powiedział im, że sam o nią zadba. I robił to delikatnie, cierpliwie. Mył ją, starał

się rozgrzać, uspokajał. Przez dwa miesiące prawie nie opuszczał pokoju na wieży. Wronia i ja spędzaliśmy tam całe dni, choćby tylko po to, by w milczeniu dotrzymać mu towarzystwa. W nocy pełnił straż samotnie.

Czasami zasypiał w dzień, obok niej w wąskim łóżku. Była słaba, ale szeptała:

–Połóż się, kochany. Jesteś zmęczony. Rozgrzej mnie. Przykryj się moim szalem.

I kładł się, przygarniał ją do siebie, a ja słuchałem ich oddechów.

Nadszedł maj. Pewnego ranka siedziałem na ławeczce pod oknem; czułem na dłoniach słoneczne promienie, dochodziły mnie wiosenne wonie i słuchałem szelestu wietrzyka w młodych listkach. Canoe wziął Melle na ręce, żeby Sosso mogła zmienić prześcieradło. Matka była teraz lekka jak niemowlę. Krzyknęła ostro.

Wtedy nie wiedziałem, co się stało. Jej kości stały się tak słabe, że kiedy ją podniosłem, pękły – obojczyk i kość udowa trzasnęły jak suche gałązki.

Położył ją na łóżku. Zemdlała. Sosso pobiegła sprowadzić pomoc. Tylko wtedy podczas tych wszystkich miesięcy Canoe się zламiał. Przykucnął przy łóżku i zapłakał, głośno, straszliwie, kryjąc twarz w pościeli. Słyszając to, skuliłem się na mojej ławeczce.

Chciano wziąć jej kończyny w łupki, żeby je ochronić, ale ojciec nie pozwolił Melle dotknąć.

Nazajutrz stałem przy bramie dziedzińca, żeby Wronia mogła się wybiegać, kiedy zawołała mnie Rab. Wronia popędziła tak samo szybko jak ja. Wbiegliśmy do pokoju na wieży. Matka leżała wśród poduszek, ze starym brązowym szalem na ramionach. Poczulem go pod dłonią, kiedy ją całowałem. Rękę i policzek miała lodowate, ale odwzajemniła mój pocałunek.

–Orrec – szepnęła. – Chcę zobaczyć twoje oczy.

A kiedy poczuła mój opór, dodała:

–Teraz nie możesz mnie już skrzywdzić, kochany.

Nadal się wahałem.

–Śmiało – odezwał się Canoe z drugiej strony łóżka, cichym głosem, jakim zawsze mówił w tym pokoju.

Więc ściągnąłem opaskę, zdjąłem z powiek dwie szmatki i usiłowałem otworzyć oczy. W pierwszej chwili wydawało mi się, że nie zdołam. Musiałem rozewrzeć powieki palcami, a wtedy zo-

baczyłem tylko migotliwą, przeszywającą, bolesną jaskrawość, słoneczny zgiełk i chaos.

Potem oczy przypomniały sobie dawną umiejętność i ujrzałem matkę.

–Właśnie tak – powiedziała. Jej oczy wpatrywały się we mnie z drobnej, zapadniętej twarzy, spomiędzy plątaniny czarnych włosów. – Właśnie tak – powtórzyła dość silnym głosem.

–Przechowaj to.

Otworzyła dłoń. Leżał na niej opał na srebrnym łańcuszku.

Nie mogła podnieść ręki, żeby mi go przekazać. Zawiesiłem łańcuszek na szyi.

–Ennu, usłysz i przybądź – szepnęła. Potem zamknęła oczy.

Spojrzałem na ojca. Twarz miał zaciętą i twardą. Bardzo lekko skinął głową.

Znowu pocałowałem matkę w policzek, położyłem szmatki na powiekach i zawiązałem opaskę.

Wronia lekko pociągnęła za smycz. Pozwoliłem się jej wyprowadzić.

Tego dnia tuż po zachodzie słońca moja matka umarła.

Żałoba, podobnie jak ślepotą, to dziwna sprawa; trzeba się jej nauczyć. Rozpaczając, szukasz towarzystwa, ale po pierwszych wybuchach płaczu, gdy już wypowiedziano kondolencje, wspo-

mniano dobre czasy, odprawiono lamenty i zamknięto grób, zostajesz sam ze swoją żałobą. To ciężar, który trzeba nieść samemu. Jak sobie poradzisz, to już zależy od ciebie. Przynajmniej ja to tak widzę. Może mówiąc tak, jestem niesprawiedliwy wobec Gry i mieszkańców naszego domu i posiadłości, moich towarzyszy, bez których nie mógłbym nieść tego brzemienia przez cały czarny rok.

Tak go nazywam w duchu: czarny rok.

Opowiadać o nim, to tak jakby opowiadać o bezsennej nocy.

Nic się nie dzieje. Człowiek rozmyśla, zapada w krótki sen i znowu się budzi; lęki krążą i przemijają, pomysły się nie krystalizują, umysł dręczą słowa bez znaczenia, przychodzą i odchodzą koszmary, a czas jakby się zatrzymał; jest czarno i nic się nie dzieje.

Canoe i ja nie towarzyszyliśmy sobie w bólu. Nie mogliśmy.

Choć moja strata była przedwczesna i okrutna, straciłem tylko to,

co czas musiał mi *zabrać* i mógł mi wynagrodzić. Dla niego nie było żadnej nadziei; słodycz jego życia przeminęła.

Ponieważ został sam i ponieważ obwiniął o to siebie, jego smutek stał się twardy i gniewny, i nie znajdował od niego ucieczki.

Po śmierci Melle niektórzy mieszkańcy naszej posiadłości zaczęli się lękać Canoca tak samo jak mnie. Ja miałem dziki dar, a czego może się dopuścić on ogarnięty gorzkim bólem? Byliśmy potomkami Caddarda. I mieliśmy prawo się gniewać. Każdy mieszkaniec Caspromantu wierzył głęboko, że Melle Aulittę zabił Oggi Drum. Zmarła rok i dzień po naszym wyjeździe z Drummantu. Nie trzeba było historii, którą ona opowiedziała mnie, a ja Gry – o tej ostatniej nocy, o szeptach i zimnie. Nikomu jej nie wyjawiliśmy, nigdy się nie dowiedziałem, czy matka powiedziała o tym Canocowi. A jemu i wszystkim innym wystarczyło wiedzieć, że pojechała do Drummantu piękna i promienna, a ledwie wróciła – zachorowała, straciła dziecko, zmarniała i umarła.

Canoe był silny, ale ostatnie miesiące go wycieńczyły. Przez pół miesiąca głównie spał – w jej pokoju, w łóżku, w którym umarła w jego ramionach. Spędzał tam w samotności wiele godzin. Rab i Sosso, a także inni bali się o niego i bali się jego. Ja odgrywałem rolę pośrednika.

–Pobiegnij i sprawdź, czy brantorowi czegoś nie potrzeba

–mówiły kobiety.

Alloc albo inny mężczyzna kazał:

–Wejdź na górę i spytaj brantora, co dać koniowi, owsa czy żyta?

Bo stary Siwosz stracił apetyt i wszyscy się o niego martwili.

Wronia i ja wchodziliśmy po kręconych kamiennych schodach wieży, zbierałem całą odwagę i pukałem. Czasem odpowiadał, czasem nie. Kiedy otwierał drzwi, głos miał zimny i martwy.

–Powiedz, że nie – mówił, albo: – Niech Alloc ruszy głową.

–1 znowu zamykał drzwi.

Bąłem się tam chodzić bez potrzeby, lecz nie czułem z jego strony fizycznego zagrożenia. Wiedziałem, że nigdy by nie użył swego daru przeciwko mnie, tak jak Melle wiedziała, że ja nie użyłbym swojego przeciwko niej.

Kiedy to sobie uświadomiłem, przeżyłem wstrząs. To nie była tylko wiara, to była wiedza. Wiedziałem, że ojciec mnie nie

skrzywdzi. Wiedziałem, że nie skrzywdziłbym matki. Więc w jej towarzystwie mogłem zdejmować opaskę. Mogłem na nią patrzeć przez cały ten ostatni rok. Mogłem się nią zajmować, pomagać, czytać jej, a nie tylko opowiadać moje głupie historie. Mogłem widzieć jej kochaną twarz nie tylko przez tę chwilę, ale przez cały rok, cały długi rok!

Ta myśl wywołała nie łzy, lecz poryw gniewu, pewnie podobny do tego, co czuł ojciec – martwa furia bezsilnej rozpacz.

A ukarać za to można było tylko mnie – albo jego.

W nocy, kiedy matka umarła, przywarłem do niego, a on przyhołubił mnie z głową na swojej piersi. Od tamtego czasu rzadko mnie dotykał i nieczęsto się do mnie odzywał; zamknął się w jej pokoju i stracił zainteresowanie światem. Chce zagarnąć żal tylko dla siebie, pomyślałem z goryczą w sercu.

14

Przez całą wiosnę Ternoc i Parn przyjeżdżali z Roddmantu przy każdej sposobności. Ternoc miał charakter ustępliwy, wolał wykonywać polecenia, niż rozkazywać, i nie był zbyt szczęśliwy z despotyczną żoną, lecz nigdy się na nią nie skarżył. Przez całe życie podziwiał mojego ojca, gorąco kochał moją matkę i opłakiwał jej śmierć. Zjawił się pod koniec czerwca, wszedł na wieżę i długo z Canokiem rozmawiał. Tego wieczora ojciec zszedł z wieży, by zjeść z nim kola-

cję i od tego czasu przestał się zamykać, wrócił do pracy i obowiązków, choć spał zawsze na wieży. Odzywał się do mnie oschle i z wysiłkiem, jakby z obowiązku. Odpowiadałem w taki sam sposób.

Miałem nadzieję, że Parn wie, jak pomóc matce w chorobie, ale była łowczynią, nie uzdrowicielką. Przy chorych stawała się niespokojna, niecierpliwa, nie było z niej wielkiego pożytku. Na pogrzebie matki to ona przewodziła lamentowi, płacziwemu wyciu, które kobiety z Wyżyn podnoszą nad grobem. Jest to ohydny przenikliwy jazgot bez końca, nieznośny jak wycie cierpiących zwierząt. Wronia także podniosła głowę i zawyła wraz z kobietami, dygocąc na całym ciele, i ja również dygotałem i walczyłem ze łzami. Kiedy wreszcie się skończyło, byłem wyczerpany, pusty, uwolniony od brzemienia. Canoe stał przez cały lament bez ruchu, znosząc go jak kamień znosi deszcz.

Wkrótce po śmierci Melle Parn wyruszyła w Carrantagi. Ludzie z Borremantu słyszeli o jej darze przywoływania podczas polowań i posłali po nią. Chciała zabrać ze sobą Gry, żeby zacząć ćwiczyć jej dar. Rzadko zdarza się trafić wśród bogatych mieszkańców gór i tam zdobyć rozgłos. Gry odmówiła. Parn wpadła w gniew. Łagodny Ternoc jeszcze raz wstawił się za córką.

–Ty jedziesz, gdzie i kiedy ci się podoba – oznajmił – więc i swojej córce na to pozwól.

Parn uznała jego rację, choć nie było to jej w smak. Następnego dnia wyjechała sama, nie żegnając się z nikim.

Żrebak Płomień, już ujeżdżony, powrócił do Cordemantu.

Gry przyjeżdżała do nas na chabecie od pług, jeśli akurat była wolna; jeśli nie, przychodziła pieszo, a to długa i trudna droga, kiedy ma się wrócić tego samego dnia. Dla mnie było za daleko, bym miał się wyprawiać samotnie na Dereszy lub iść z Wronią.

Deresza była stara, a Siwosz, choć już nie grymasił, także się postarzał. Księżę, wspaniały czterolatek, został bardzo poszukiwanym ogierem rozplodowym, co ogromnie mu odpowiadało, choć przeszkadzało w innych obowiązkach. Nasza stajnia przedstawiała się żałośnie. Pewnego wieczora zebrawszy się na odwagę, jak ostatnio zawsze, kiedy zwracałem się do ojca, powiedziałem:

–Powinniśmy zdobyć nowego żrebaka.

–Chciałem spytać Danno Barra, ile by wziął za tę szarą klacz.

–Jest stara. Gdybyśmy kupili żrebaka, Gry mogłaby go wytrenować.

Kiedy nie widzi się rozmówcy, jego milczenie jest zagadką.

Czekałem, nie wiedząc, czy Canoe rozważa moją propozycję, czy

już ją odrzucił.

–Zastanowię się – mruknął.

–Alloc mówi, że w Callemmancie mają śliczną klaczkę. Słyszał o niej od kowala.

Tym razem milczenie ciągnęło się dłużej. Na odpowiedź musiałem czekać miesiąc. Nadeszła w osobie Alloca, który mnie zwołał, żebym przyszedł zobaczyć nową klacz. Zobaczyć nie mogłem, ale mogłem poklepać ją po zadzie, po łbie i przejechać się na niej wokół dziedzińca. Alloc wychwalał ją pod niebiosa. Ma za ledwie rok, powiedział, jest jasnogniada i ma gwiazdkę na czole, stąd jej imię.

–Czy Gry może już przyjść ją trenować? – spytałem, a Alloc odparł:

–Nie, Gwiazdka zostanie przez rok czy dwa w Roddmancie.

Tam nauczy się wszystkiego. Za młoda jest dla mnie i twojego ojca, wiesz?

Kiedy Canoe przyszedł wieczorem, chciałem mu podziękować. Chciałem podejść i go objąć. Ale bałem się potknąć w ciemnościach, bałem się swojej niezdarności, bałem się, że ojciec nie zechce, bym go dotykał.

–Jeździłem na klaczce, ojcie – powiedziałem.

–To dobrze – odparł, życzył mi dobrej nocy i po chwili usłyszałem jego zmęczone kroki na schodach wieży.

•

I tak w tym czarnym czasie Gry odwiedzała mnie na Gwiazdce raz lub dwa razy w tygodniu, czasami nawet częściej.

Kiedy przybywała, razem wybieraliśmy się konno, a ona opowiadała mi, co robi z Gwiazdką. Klaczka była słodka jak świeży chleb i nie potrzebowała wiele nauki, więc Gry uczyła ją fantastycznych kroków i sztuczek, dzięki którym trener popisuje się na równi z koniem, jak powiedziała. Rzadko wybieraliśmy się w dalsze okolice, bo Dereszy zaczął dokuczać reumatyzm. Potem wracaliśmy do Kamiennego Domu i jeśli było ciepło, siadaliśmy w wazywniku, a przy zimnej lub deszczowej pogodzie w kącie wielkiego paleniska, by porozmawiać.

Gry odzywała się niewiele. Przekazywała nowiny, potem milczała. Łatwo było z nią milczeć, tak łatwo jak z Wronią. I za to byłem jej wdzięczny.

Niewiele pamiętam z tego roku. Zapadłem w czarną nicość.

Nie miałem nic do roboty. Byłem bezużyteczny. Nie mogłem się nauczyć, jak używać mego daru; mogłem go jedynie nie używać.

Miałem siedzieć w komnacie Kamiennego Domu, a ludzie mieli się mnie bać, i to była cała moja rola w życiu. Straszycie w opasce na oczach. Równie dobrze mogłem być kretyńcem, jak to biedne dziecko z Drummantu.

Czasami przez wiele dni nie odzywałem się do nikogo. Sosso, Rab i inni domownicy zagadywali mnie, rozweselali, przynosili smakołyki z kuchni. Rab miała nawet tyle odwagi, że zlecała mi prace domowe, przy których oczy nie były potrzebne. Chętnie je wykonywałem w pierwszych dniach mojej ślepoty, ale teraz już nie. Pod koniec dnia Alloc przychodził do mnie z ojcem i trochę rozmawiali, a ja siedziałem przy nich w milczeniu. Alloc próbował mnie wciągnąć do rozmowy. Ja się nie dawałem. Canoe odzy-

wał się do mnie sztywno: „Jesteś zdrowy?” albo „Jeździłeś dzisiaj konno?”. A ja odpowiadałem krótko: „Tak”.

Teraz sądzę, że nasza, obcość bolała go tak samo jak mnie.

Wtedy wiedziałem tylko, że nie płaci ceny, którą ja zapłaciłem za nasz dar.

Przez całą zimę planowałem, jak pojedę do Drummantu i unicestwię Ogge'a. Oczywiście musiałbym zdjąć opaskę. Wciąż od nowa sobie to wyobrażałem: wstaję przed świtem, biorę Księcia, bo starsze konie nie są silne ani dość szybkie. Jadę przez cały dzień do Drummantu, ukrywam się gdzieś aż do zmroku i czekam na Ogge'a. Nie, lepiej, mógłbym się przebrać! Ludzie z Drummantu widzieli mnie tylko z opaską na oczach, a od tego czasu urosłem i głos mi się zmienił. Włożę chłopskie odzienie, nie kilt i opończę. Nie poznają mnie. Księcia zostawię w lesie, bo jego poznałby każdy, i wyruszę pieszo, jak wędrowny parobek z Dolin. Zaczekam na Ogge'a, a wtedy jednym spojrzeniem, jednym słowem... a gdy oni znieruchomieją ze zgrozy i zdumienia, ja umknę do lasu, do Księcia, galopem wrócę do domu i powiem Canocowi: „Bałeś się go zabić, więc ja to zrobiłem”.

Ale tego nie zrobiłem. Wierzyłem w to, póki sobie opowiadałem, lecz potem już nie.

Opowiadałem sobie tę historię tak często, że zużyłem ją do

cna i już nie miałem czego opowiadać.

Tej zimy i wiosny zawędrowałem daleko w mrok.

A w tym mroku w pewnej chwili zawróciłem, nie wiedząc, że to robię. To był Chaos, bez początku i końca, bez kierunku, a jednak zawróciłem, a droga, którą wówczas obrałem, zawiodła mnie z powrotem do światła. W ciemnościach i ciszy towarzyszyła mi Wronia. Gry stała się moją przewodniczką podczas drogi powrotnej.

Raz przyjechała, kiedy siedziałem przy palenisku. Nie płonął w nim ogień, bo był to maj lub czerwiec, i paliło się tylko pod kuchnią, ale tam przesiadywałem przez większość dnia – przez większość dni. Usłyszałem jej przyjazd, najpierw lekki tętent kopyt Gwiazdki na dziedzińcu, głos Gry i Sosso, która przywitała ją i dodała: „Jest tam, gdzie zawsze” – a potem jej ręka na moim ramieniu. Ale tym razem było coś więcej; Gry pocałowała mnie w policzek.

Od śmierci matki nie całowano mnie, nie zaznałem niczyjej bliskości. Dotyk jej ust przeszył mnie jak błyskawica chmurę.

Z zaskoczenia i słodczy wstrzymałem oddech.

–Książę z Popielnika – powiedziała Gry. Pachniała końskim potem i trawą, a jej głos był wiatrem w listowiu. Usiadła obok mnie. – Pamiętasz?

Pokręciłem głową.

–No coś ty! Przecież pamiętasz wszystkie historie. Ale ta jest bardzo stara. Z naszego dzieciństwa.

Nadal się nie odzywałem. Nawyk milczenia obraca język w ołów. Gry ciągnęła:

–Książę z Popielnika to chłopiec, który sypiał w popielniku, bo rodzice nie dali mu łóżka...

–Przybrani rodzice.

–Właśnie. Prawdziwi rodzice go zgubili. Jak można zgubić chłopca? Trzeba być bardzo roztargnionym.

–To był król i królowa. Ukradła go zła wiedźma.

–Właśnie! Bawił się na podwórzu, a wtedy z lasu wyszła wiedźma, podała mu słodką, dojrzałą gruszkę, a kiedy ją ugryzł, powiedziała: „Aha, brudna brodo, jesteś mój!”. – Gry roześmiała się z radością, przypominając sobie bajkę. – Więc nazwali go Brudnobrodym! Ale co potem?

–Wiedźma oddała go biedakom, którzy już mieli sześcioro dzieci, a siódmego nie chcieli. Lecz zapłaciła im złotego dukata, by go przyjęli i wychowali. – Ten język, rytm słów przywołały hi-

storię, o której nie myślałem od dziesięciu lat, a wraz z nią melodyjny głos mojej matki, która ją opowiadała. – Więc stał się ich sługą i parobkiem, popychadłem. Ciągłe słyszał: „Brudnobrody, zrób to!” i „Brudnobrody, zrób tamto!”. Nigdy nie miał dla siebie wolnej chwili, dopiero późną nocą, kiedy praca była już wykonana, a on mógł się powlec do popielnika i zasnąć w ciepłym popiele...

Urwałem.

–Opowiadaj – szepnęła Gry bardzo cicho.

Więc opowiadałem dalej i opowiedziałem całą historię Księcia z Popielnika, i jak w końcu odzyskał swoje królestwo.

A kiedy skończyłem, zapadło milczenie. Gry wydmuchała nos.

–Płacę przez tę bajkę – powiedziała. – Przypomniała mi o Melle... Wronia, utyłałaś się w popiele. Daj łapę.

Rozpoczął się zabieg czyszczenia, po którym Wronia wstała i otrząsnęła się z wielkim wigorem.

–Wyjdźmy – powiedziała Gry i także wstała, ale ja nie drgnąłem. – Chodź, zobaczysz, czego nauczyła się Gwiazdka – nalegała.

Powiedziała „zobaczysz”, i ja też tak zwykle mówiłem, bo trudno za każdym razem szukać innych, bardziej odpowiednich słów, ale teraz – ponieważ coś się we mnie zmieniło, ponieważ się zbuntowałem, nie wiedząc o tym – wybuchnąłem.

–Nie zobaczę, co umie Gwiazdka, nic nie zobaczę! To bez sensu, Gry. Wracaj do domu. Głupio, że tu przyjeżdżasz. Nic z tego nie będzie.

Nastąpiła chwila ciszy.

–O tym sama zdecyduję – powiedziała Gry.

–Więc zdecyduj. Rusz głową!

–Sam rusz. Twojej głowie nic nie dolega oprócz tego, że jej już nie używasz. Tak jak oczu!

Wtedy eksplodowała we mnie wściekłość, znana, dławiąca, dusząca wściekłość bezsilności, która ogarniała mnie, gdy usiłowałem wykorzystać swój dar. Chwyciłem laskę, laskę Ślepego Caddarda, i wstałem.

–Wyjdź – powiedziałem. – Wyjdź, zanim zrobię ci krzywdę.

–Więc zdejmij opaskę!

Doprowadzony do furii, wymierzyłem jej cios laską – na oślepa. Padł w pustkę i ciemność.

Wronia warknęła ostro, ostrzegawczo i mocno napała na moje kolana, nie pozwalając mi zrobić ani kroku naprzód.

Pogłaskałem ją po łbie.

–Już dobrze – mruknąłem. Dygotałem ze zdenerwowania i wstydu.

–Będę w stajni – odezwała się Gry z pewnej odległości. – Deresza od dawna nie wychodziła. Jeśli chcesz, możemy się wybrać na przejażdżkę.

I wyszła.

Potarłem twarz. Dłoń i policzki miałem szorstkie w dotyku.

Pewnie rozsmarowałem popiół na twarzy i we włosach. Poszedłem do umywalni, włożyłem głowę pod wodę, umyłem ręce, a potem kazałem Wroni zaprowadzić mnie do stajni. Nogi nadal mi się trzęsły. Czułem się jak staruszek, a Wronia o tym wiedziała i w trosce o mnie szła wolniej niż zwykle.

Ojciec i Alloc wyjechali na ogierach. Deresza miała całą stajnię dla siebie, a znajdowała się w obszernym boksie, mogącym pomieścić leżącego konia. Wronia mnie do niej zaprowadziła.

–Dotknij tutaj – odezwała się Gry. – To reumatyzm.

Wzięła moją rękę i pokierowała ją na przednią nogę klaczy, na pęcinę i delikatny, lecz silny goleń. Poczułem rozpalone stawy.

–Och, Dereszko – szepnęła Gry, delikatnie klepiąc starą klacz, która jęknęła i przytuliła się do niej tak jak zawsze, gdy się ją głaskało lub czesało.

–Nie wiem, czy powinienem na niej jeździć – powiedziałem.

–Ja też nie wiem. Ale przydałoby jej się trochę ruchu.

–Może ją tylko wyprowadzę, nie będę wsiadał.

–Może. Jesteś o wiele cięższy.

Miała rację. Od dawna byłem beczny, a choć od czasu nałożenia opaski jedzenie nie miało dla mnie smaku ani zapachu, zawsze byłem głodny, w dodatku Rab, Sosso i dziewczki kuchenne karmiły mnie, nie mogąc mi inaczej pomóc. Nabrałem ciała i tak szybko rosłem, że w nocy bolały mnie kości. Ciągle uderzałem głową o futryny, do których w zeszłym roku nie sięgałem.

Założyłem Dereszy wędzidło – w takich czynnościach osiągnąłem już znaczną wprawę – i wyprowadziłem ją na dwór, a Gry zaprowadziła Gwiazdkę do podestu, z którego wspięła się na jej grzbiet. I tak opuściliśmy dziedziniec i skierowaliśmy się w stronę ścieżki w dolinie. Wronia prowadziła mnie, a ja prowadziłem Deresze. Słyszałem, jak utyka.

–Jakby mówiła „aj, aj, aj” – odezwałem się.

–Bo mówi – rzuciła Gry, jadąca z przodu.

–Słyszysz ją?

–Jeśli zadzierzgnę więź.

–A mnie słyszysz?

–Nie.

–Dlaczego?

–Nie mogę zadzierzgnąć więzi.

–Dlaczego?

–Słowa przeszkadzają. Słowa i... wszystko. Możemy zadzierzgnąć więź z bardzo malutkimi dziećmi. Stąd wiemy, kiedy kobieta jest w ciąży. Bo możemy nawiązać więź. Ale kiedy dziecko robi się podobne do człowieka, jest poza naszym zasięgiem. Nie można go przywołać, nie można usłyszeć.

Zamilkliśmy. Deresza się rozruszała, szła swobodniej, więc skręciliśmy na ścieżkę prowadzącą nad Jesionowy Potok.

–Kiedy dojdziemy na miejsce, opowiedz mi, jak teraz wygląda – poprosiłem.

–Niewiele się zmieniło – odezwała się Gry, kiedy mijaliśmy zniszczone wzgórze. – Trochę więcej trawy. Ale to dalej, jak nazwałś...

–Chaos. Czy drzewo nadal tam jest?

–Sam pieńek.

Zawróciliśmy.

–Wiesz, dziwi mnie, że nawet nie pamiętam, jak to robiłem.

Otworzyłem oczy i już tak było.

–Czy nie tak działa twój dar?

–Nie. Nie przy zamkniętych oczach! No bo po co noszę te przeklęte bandaże? Żeby nie mógł tego znowu zrobić!

–Ale skoro to dziki dar... ty tego nie zamierzałeś... i stało się tak szybko...

–Pewnie tak. – Właśnie że zamierzałem, dodałem w myślach.

Deresza i ja człapaliśmy, Gry na Gwiazdce lekko truchtała przed nami.

–Orrec... przepraszam, że kazałam ci zdjąć opaskę.

–Przepraszam, że nie trafiłem cię tą laską.

Nie roześmiała się, ale zrobiło mi się lepiej.



Nie tego dnia, lecz niedługo potem Gry spytała mnie o książki, które Melle spisała na jesieni i w zimie, gdy była chora. Spyta-

ła, gdzie są.

–W skrzyni w jej pokoju. – Nadal zazdrośnie nazywałem tę komnatę jej pokojem, choć Canoe przesiadywał w niej i spał już półtora roku.

–Czy mogłabym je przeczytać?

–Ty jedna na całych Wyżynach możesz – powiedziałem to z goryczą, która brzmiała teraz zawsze w moim głosie.

–Nie wiem. Czytanie zawsze szło mi z trudem. Teraz zapomniałam już nawet niektórych liter... ale ty mógłbyś.

–O tak. Kiedy zdejmę tę przepaskę. Czyli nigdy.

–Ale Orrec, posłuchaj...

–Owszem, słuchać mogę.

–Na pewno mógłbyś czytać. Spróbuj przez chwilę, tylko z książką. Nie patrz na nic innego. – Głos Gry zachrypnął. – Nie niszczyć wszystkiego, na co patrzysz! Jeśli będziesz patrzył tylko na to, co napisała twoja matka... Ona to napisała dla ciebie.

Gry nie wiedziała, że spojrzałem na Melle, zanim umarła. Nie wiedział o tym nikt z wyjątkiem ojca. Nikt nie wiedział tego, co wiedziałem – że nie mógłbym skrzywdzić Melle. Czy teraz zniszczyłbym coś, co mi po niej zostało?

Nie potrafiłem odpowiedzieć.

Nigdy nie obiecywałem ojcu, że nie zdejmę opaski. Nie wiązała mnie słowna obietnica, a jednak więzy istniały i krępowały mnie. Lecz krępowały mnie bez potrzeby – przez nie matki nie widziałem przez cały ostatni rok jej życia, nie mogłem się nią opiekować – bez żadnego powodu. A raczej z tego powodu, że moja ślepotą była potrzebna ojcu, była jego bronią, jego groźbą wobec wrogów. Ale czy miałem być lojalny tylko wobec niego?

Nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Gry więcej o czytaniu nie wspominała i sądziłem, że o tym zapomnę.

Ale gdzieś na jesieni, kiedy razem z ojcem byliśmy w stajni – ja wcierałem maść w kolana Dereszy, on poprawiał podkowę, która uwierała Siwosza – odezwałem się nagle:

–Ojczy, chciałbym sobie wziąć te książki, które napisała matka.

–Książki? – powtórzył ze zdziwieniem.

–Książkę, którą napisała już dawno, i te, które spisywała

podczas choroby. Są w skrzyni. W pokoju na wieży.

Po długiej chwili ciszy usłyszałem pytanie:

–Co ci po nich?

–Chcę je mieć. Zrobiła je dla mnie.

–Weź je, skoro chcesz.

–Chcę – powiedziałem, a Deresza cofnęła się, bo walcząc

z gniewem, zbyt mocno ścisnąłem jej obolałe kolano. Nienawidzi-

łem ojca. Nie dbał o mnie ani o pracę, którą matka wykonała

ostatkiem sił, nie dbał o nic z wyjątkiem tego, że brantorowi Ca-

spromantu wszyscy muszą być posłuszni.

Skończyłem z klaczą, umyłem ręce i poszedłem od razu na

wieżę, dopóki miałem pewność, że nie zastanę tam ojca. Wronia

prowadziła mnie ochoczo po schodach, jakby spodziewała się zo-

baczyć Melle. W pokoju wiało zimnem i pustką. Zacząłem po

omacku szukać skrzyni. Wyciągnąłem rękę, by znaleźć wezglowie

łóżka. Leżał na nim złożony szal, ten brązowy szal, który utkała

babka, a matka nosiła, gdy marzła, gdy umierała. Znałem tę

szorstką miękkość samodziałowej wełny. Przytuliłem do szala twarz. Ale nie poczułem zapachu matki, słabej, zapamiętanej woni. Pachniał potem i solą.

–Do okna, Wroniu – powiedziałem i razem zdołaliśmy zlokalizować skrzynię. Uniosłem wieko i namacałem upchnięte w środku płócienne arkusze. Było ich zbyt wiele, bym mógł je unieść na jednej ręce. Zacząłem grzebać wśród sztywnych płatów, aż natrafiłem na oprawioną w okładki książkę, tę pierwszą, którą matka dla mnie zrobiła, „Historię o panu Raniu”. Wyjąłem ją i zamknąłem wieko. Wronia prowadziła mnie do wyjścia, a ja po drodze jeszcze dotknąłem szala, z dziwnym ukłuciem w sercu, którego nie starałem się zrozumieć.

Myślałem tylko o tym, żeby zabrać książkę, odzyskać to, co matka mi dała, co dla mnie zrobiła, co mi zostawiła. To mi wystarczyło. Tak mi się zdawało. Położyłem ją na stole w pokoju, gdzie wszystko miało swoje miejsce i nigdy go nie zmieniało, i nikomu nie było wolno niczego dotykać. Poszedłem na kolację i zjadłem ją w milczeniu z milczącym ojcem.

–Znalazłeś książkę? – spytał pod koniec posiłku. Wypowiedział to słowo z wahaniem.

Skinąłem głową z nagłą niedobłą radością, szydząc z niego w myślach: Nie wiesz, co to takiego, nie wiesz, co z nią zrobić, nie

potrafisz czytać!

A kiedy znalazłem się sam w pokoju, przez jakiś czas siedziałem przy stole, po czym bez wahania zdjąłem opaskę i płótno z oczu.

I zobaczyłem czerń.

Omam nie krzyknąłem. Serce mi załomotało, w głowie się zakręciło i nie wiem, ile czasu minęło, zanim sobie uświadomiłem, że przede mną wisi coś pełnego zamglonych srebrnych drobin. Widziałem to. Gwiazdy za oknem.

W moim pokoju nie było światła. Mógłbym zejść do kuchni po krzesiwo i lampę lub świeczkę. Ale co by powiedzieli, gdybym o to poprosił?

Kiedy oczy przywykły mi do patrzenia, dostrzegłem przy świetle gwiazd podłużny białawy kształt książki na stole. Przesuwałem po nim dłonią i zobaczyłem ten cień ruchu. Poruszyć ręką i zobaczyć to... radość była tak upajająca, że robiłem to raz za razem. Podniosłem głowę i spojrzałem w jesienne gwiazdy. Wpatry-

wałem się w nie tak długo, że zacząłem dostrzegać ich powolny ruch ku zachodowi. To mi wystarczyło.

Położyłem płótno na oczach i starannie zawiązałem opaskę.

Rozebrałem się i położyłem.

Nie myślałem ani przez chwilę, patrząc na książkę i swoją rękę, że mógłbym je unicestwić; myśl o moim niszczycielskim darze w ogóle nie przemknęła mi przez głowę. Myślałem tylko o darze widzenia. Czy dlatego, że zobaczyłem gwiazdy, mogłem je zniszczyć?

-

Przez wiele dni wystarczało mi, że mam te karty, które Melle dla mnie zapisała. Trzymałem je w rzeźbionej szkatule. Każdego ranka czytałem przy świetle przedświt, budząc się o pierwszym pianiu kogutów. Przy stole siadałem z opaską na czole, gotów nasunąć ją na oczy, gdyby ktoś wszedł do pokoju. Bardzo starałem się nie patrzeć na nic prócz zapisanych stronic i – raz na początku, raz na końcu – w okno, na niebo. Uznałem, że nie mogę niczego zniszczyć, czytając pismo matki i spoglądając w światło.

Szczególnych starań dokładałem – choć było to bardzo trudne –by nie patrzeć na Wronie. Bardzo chciałem ją zobaczyć. Gdyby była w pokoju, na pewno nie zdołałbym omijać jej wzrokiem i sama ta myśl przejmowała mnie chłodem. Próbowałem czytać, osłaniając

oczy z obu stron rękami, by widzieć tylko stronicę, ale to nie było

bezpieczne. Zamknąłem oczy i drzwi przed biedną Wronią.

–Zostań – powiedziałem jej na korytarzu i usłyszałem ciche,

posłuszne klepanie ogona. Zamykając drzwi, czułem się jak zdrajca.

Często zaskakiwało mnie, że znam już to, co czytam, bo płó-

cienne strony spoczęły w skrzyni nieuporządkowane, a podczas

przenosin jeszcze bardziej je pomieszałem. Matka spisywała

wszystko, co jej przychodziło do głowy, czasami tylko urywki

i strzępy bez początku i końca, bez wyjaśnień. Zaczynając pisać,

dodawała przypisy: „To z modlitwy do Ennu, której nauczyła

mnie babka, odmawiają ją kobiety" lub „Nie znam reszty opowieś-

ci o błogosławionym Momu". Kilka stron nosiło nagłówek: „Dla

mojego syna Orreca z Caspromantu". Jedna z pierwszych, legen-

da o powstaniu Gorzkowody, miała tytuł: „Krople z wiadra ze

studni Melle Aulitty z Gorzkowody i Caspromantu – dla mojego

drogiego syna". W miarę jak jej stan się pogarszał, co poznawałem po słabych, pospiesznie kreślonych literach, zaczęło brakować wyjaśnień, a przybywało urywków. Zamiast opowieści pojawiały się wiersze i zaklęcia, spisane w ciasnych liniach biegnących przez cały arkusz, tak że rymy słyszałem tylko przy głośnym czytaniu. Najpóźniejsze strony trudno było odczytać. Na ostatniej – znajdowała się na samym wierzchu i tak ją zachowałem – było tylko parę bladych wersów. Pamiętałem, jak tamtego dnia matka mówiła, że jest zbyt zmęczona, by pisać.

Pewnie to dziwne, że po intensywnej radości czytania tych cennych darów matki z własnej woli znowu pogrążałem się w ciemnościach i przez cały dzień błąkałem się, prowadzony przez psa. To była nie tylko wola, lecz gotowość. Mogłem bronić Caspromantu jedynie jako ślepiec, więc stawałem się ślepcem. Znalazłem odkupicielską radość, która ujmowała ciężaru moim obowiązkom, lecz obowiązki pozostały.

Zdawałem sobie sprawę, że nie sam znalazłem to odkupienie.

To Gry powiedziała: „Mógłbyś je przeczytać”. Jako że nadeszła jesień, pomagała w Roddmancie przy żniwach i nie przyjeżdżała, lecz kiedy tylko się zjawiała, zabrałem ją do mojego pokoju, pokazałem skrzynię pełną kart i powiedziałem, że je czytam.

Zareagowała raczej zażenowaniem niż radością i pospiesznie

opuściła pokój. Oczywiście miała świadomość ryzyka, na jakie się narażała. Ludzie z posiadłości nie byli surowi wobec dziewcząt, a na Wyżynach nikt nie widział nic zdrożnego w tym, że młodzi razem jeżdżą konno, spacerują i rozmawiają na dworze czy przy świadkach; jednak piętnastoletnia dziewczyna w sypialni chłopca – tego było już za wiele. Rab i Sosso zwymyślałyby nas okropnie, a co gorsza, niektóre kobiety – prządki lub kuchenne – mogłyby rozpuszczać plotki. Kiedy ta możliwość wreszcie do mnie dotarła, poczułem rumieniec na twarzy. Bez słowa wyszliśmy z domu i poczuliśmy się swobodnie dopiero po półgodzinnej rozmowie o koniach.

Wówczas mogliśmy porozmawiać o tym, co czytałem. Z patosem wyrecytowałem jedną z litanii do Odressel. Na Gry nie zrobiło to większego wrażenia. Wolą opowieści. Mnie zafascynowały wiersze. Usiłowałem zrozumieć, jak się je komponuje, jak powtarzają się słowa, jak powracają dźwięki lub rymy, jak to możliwe, że w słowach brzmi rytm. Ten rytm całymi dniami dźwięczał mi w głowie. Usiłowałem dopasować własne słowa do schematów,

które znalazłem, i czasami się udawało. Sprawiało mi to ogromną przyjemność, która trwała i powracała za każdym razem, gdy myślałem o tych słowach, rytmie, wierszu.

Tego dnia Gry była przygnębiona – a także podczas następnej wizyty. Nadeszły już październikowe sloty, więc usiedliśmy w kącie przy piecu, by porozmawiać. Rab przyniosła nam talerz owsianych ciasteczek, które z wolna pojadałem. Gry siedziała w milczeniu. W końcu spytała:

–Jak myślisz, po co mamy dary?

–Żeby bronić naszych ludzi.

–Moim nikogo nie obronię.

–Nie, ale możesz dla nich polować, zdobywać dla nich jedzenie, trenować zwierzęta, by dla nich pracowały.

–Tak. A twój dar? Albo ojca? Niszczy. Zabija.

–Ktoś musi to robić.

–Wiem, ale twój ojciec może dzięki darowi noża wyjąć drzazgę z palca, cierń ze stopy. Tak szybko i zgrabnie, że wypływa tylko jedna kropla krwi. Tylko spogląda i już po wszystkim... Nanno Conde umie oślepić i odbierać słuch, ale też otworzyła uszy głuchego chłopca. Był głuchy i niemy, mógł się porozumiewać z matką tylko na migi, a teraz słyszy tak dobrze, że nauczył się mówić. Nanno twierdzi, że zrobiła to tak samo, jak przy odbieraniu słu-

chu, tylko na odwrót.

Rozmawialiśmy o tym przez chwilę, lecz dla mnie nie miało to wielkiego znaczenia. Dla Gry – tak.

–Ciekawe, czy wszystkie dary działają na wspak – powiedziała.

–Jak to?

–Przywoływanie działa zwyczajnie i na wspak. A nóż albo pieczęć Cordów... może są wsteczne? Może na początku były przeznaczone do leczenia. Do uzdrawiania. A potem okazało się, że mogą służyć jako broń i ludzie zaczęli ich tak używać, a o drugim sposobie zapomnieli... Nawet dar Tibrów, wodze, może początkowo służył do pracy z ludźmi, a potem Tibrowie go przeinaczyli, żeby ludzie pracowali za nich.

–A Morgowie? Ich dar nie jest bronią.

–Nie... Można nim tylko określać chorobę, żeby wiedzieć, jak ją leczyć. Nie można nim sprowadzić choroby. On działa tylko w przód. Dlatego Morgowie musieli się ukryć przed ludźmi. Nie mogliby się obronić.

–No dobrze. Ale niektóre dary nigdy nie działały do przodu.

Na przykład czyszczenie Helvarów. Albo mój dar.

–Na początku mogły służyć do uzdrawiania. Jeśli człowiek lub zwierzę mieli w sobie coś złego, coś, co nie działa, jakby zasu-
plany węzeł... może dar służył do rozwiązywania takich węzłów,
do naprawiania tego, co się zepsuło.

W jej słowach niespodziewanie odnalazłem głęboki sens. To
było jak wiersze, które układałem w głowie, plątanina słów, któ-
re nagle zaczynały się układać w pewnym porządku, krystalizo-
wały się, a ja czułem, że są takie, jakie być powinny.

–Dlaczego zaczęliśmy używać go tak, żeby ludzkie wnętrzoś-
ci zmieniły się w miazgę?

–Bo mieliśmy tylu wrogów. Ale może daru nie można używać
w obie strony. Nie można jednocześnie iść w przód i do tyłu.

Z jej tonu wywnioskowałem, że jest to dla niej ważne. To mu-
siało mieć związek z jej darem, choć nie byłem pewien, o co do-
kładnie chodzi.

–Gdyby ktoś chciał mnie nauczyć, jak używać mojego daru,
żeby czynić, zamiast odczyniać, wziąłbym się do nauki – rzuciłem
dość lekko.

–Naprawdę? – Była całkiem poważna.

–Nie. Dopóki nie unicestwię Ogge'a Druma.

Ciężko westchnęła.

**–Zrobię to! – Uderzyłem pięścią w kamienną ławkę przy pa-
lenisku. – Zabiję tego tłustego gada, jak tylko się nauczę! Dlaczego
Canoe tego nie robi? Na co czeka? Na mnie? Wie, że nie
umiem... nie potrafię panować nad darem... a on może. Czemu
nie szuka zemsty za matkę?**

**Nigdy dotąd nie powiedziałem tego Gry, powtarzałem to je-
dynie w duchu. Nagle ogarnął mnie palący gniew. A ona odpowie-
działa zimno:**

–Chcesz śmierci ojca?

–Chcę śmierci Druma!

**–Wiesz, że Ogge Drum dniem i nocą otacza się strażnikami
z mieczami, nożami i kuszami. Sebb, jego syn, odziedziczył dar,
służy mu Ren Corde i wszyscy jego ludzie wypatrują tylko śmiał-
ka z Caspromantu. Chcesz, żeby Canoe zginął?**

–Nie...

–Chyba nie sądzisz, że zadałby cios w plecy – tak jak Ogge?

Ze zakradłby się w ciemnościach? Myślisz, że Canoe tak by postąpił?

–Nie – mruknąłem i schowałem twarz w dłoniach.

–Mój ojciec od dwóch lat boi się, że Canoe jednak wskoczy na konia i pogalopuje do Drummantu, żeby zabić Ogge'a Druma.

Tak jak pojechał do Dunetu. Ale sam.

Nie znalazłem odpowiedzi. Wiedziałem, dlaczego Canoe tak postępuje. Ze względu na ludzi, którzy potrzebują jego ochrony.

Ze względu na mnie.

Po długim milczeniu Gry powiedziała:

–Może nie potrafisz używać swego daru do przodu, tylko wstecz, ale ja umiem.

–Masz szczęście.

–Mam. Choć matka tak nie uważa. – Wstała gwałtownie i zawołała: – Wronia! Chodź na spacer.

–Co powiedziałaś o matce?

–Że chce, żebym pojechała z nią do Borremantu na zimowe polowania. A jeśli nie pojedę, żeby się nauczyć przywoływania zwierzyny, kazała mi znaleźć sobie męża, i to szybko, bo mieszkańcy Roddmantu nie będą mnie utrzymywać, skoro nie chcę używać daru.

–Ale... co mówi Ternoc?

–Ojciec jest zmartwiony i nie chce, żebym denerwowała matkę. Nie rozumie, dlaczego nie chcę być brantorem.

Czułem, że Wronia się podniosła i stoi – cierpliwa, ale pełna nadziei na obiecany spacer. Ja także wstałem i wyszliśmy na bezwietrzną mżawkę.

–A dlaczego nie chcesz?

–Wszystko jest w tej opowieści o mrówkach. Chodź! – Wybiegła na deszcz. Wronia pociągnęła mnie za nią.

Była to niepokojąca rozmowa, z której zrozumiałem tylko część. Gry miała kłopot, nie mogłem jej pomóc, a jej wzmianka o mężu zamknęła mi usta. Ponieważ miałem zapieczętowane oczy, nie wspomnieliśmy o przysiędze złożonej nad wodospadem. Nie mogłem wymagać od Gry, żeby jej dotrzymała. Ale właściwie po co? Mogłem wszystko unieważnić. Mieliśmy po piętnaście lat, tak, lecz nie było potrzeby się spieszyć, nawet o tym mówić. Wystarczyło, że się rozumieliśmy. Na Wyżynach wcześniej aranżuje się narzeczeństwa, które służą celom strategicznym, ale ludzie rzadko

zawierają małżeństwa przed dwudziestką. Powiedziałem sobie, że Parn tylko straszy Gry. A jednak czułem tę groźbę i nad sobą. To, co Gry powiedziała o darach, wydało mi się sensowne, ale to była tylko teoria. Z wyjątkiem jej daru, przywoływania. Powiedziała, że działa w obie strony, do przodu i wstecz. Jeśli przez wsteczny sposób rozumiała przywoływanie dzikiego zwierzęcia na śmierć, działanie do przodu oznaczało pracę ze zwierzętami domowymi – trenowanie koni, przywoływanie bydła, tresowanie psów, leczenie. Szanowanie zaufania, nie zdradę. Tak to widziała. A jeśli ona tak to widziała, Parn nie mogła na nią wpłynąć. Nikt nie mógł. Tyle że kielznania koni mógł się nauczyć każdy. Darem rodu było przywoływanie zwierzyny na polowaniu. I rzeczywiście Gry nie mogła zostać brantorem w Roddmancie ani nigdzie indziej, jeśli nie chciała używać tego daru. Jeśli – jak to rozumiała Parn –nie oddawała swojemu darowi szacunku, lecz go zdradzała. A ja? Czy nie korzystając z daru, odtrącając go, nie ufając mu, także go zdradzałem?

•

I tak mijał ten rok, czarny rok, choć teraz codziennie o świecie miałem jedną godzinę światła. Nadeszła zima, gdy w Caspromancie zjawił się zbieg.

Ominął nieszczęście o włos, choć o tym nie wiedział, bo przy-

był na nasze ziemie z zachodu, z owczych pastwisk, na których znaleźliśmy żmiję, a Canoe akurat sprawdzał tam ogrodzenie, gdyż przy każdej okazji odwiedzał granice Drummantu z Corde-mantem. Zobaczył człowieka przeskakującego kamienny murek, zakradającego się na wzgórze. Zawrócił Księcia i runął na niego niczym sokół na mysz.

–Już wyciągałem lewą rękę – opowiadał – bo sądziłem, że to złodziej bydła, chce ukraść Srebrną Krowę. Nie wiem, co mnie powstrzymało.

Cokolwiek to było, nie unicestwił Emmona na miejscu, lecz stanął przed nim, żądając, by się przedstawił i wytłumaczył. Może w tym ułamku chwili dostrzegł, że ten człowiek nie jest jednym z nas, że to nie złodziej bydła z Drummantu ani złodziej owiec z Dolin, lecz przybysz.

I może kiedy usłyszał głos Emmona, ten łagodny akcent z Nizin, serce mu zmiękło. W każdym razie przyjął wersję o tym, że

przybysz zawędrował tu z Danneru, zgubił się i szuka jedynie dachu nad głową i pracy. Nad górami mżył zimny mglisty grudniowy deszcz, a ten człowiek nie miał porządnego płaszcza, jedynie skąpy kubrak i szalik, który nie dawał ciepła.

Canoe zaprowadził go do gospodarstwa, gdzie staruszka i jej syn opiekowali się Srebrną Krową, i oznajmił, że jeśli zechce, niech się jutro zjawi w Kamiennym Domu, gdzie może znaleźć się dla niego jakaś praca.

Jeszcze nie opowiedziałem o Srebrnej Krowie. Była to ta jedyna jałówka, która została, gdy złodzieje Druma zabrali dwie inne. Wyrosła z niej najpiękniejsza krowa na całych Wyżynach. Alloc i mój ojciec prowadzali ją do Roddmantu, żeby krył ją wielki biały byk Ternoca, a wszyscy po drodze się nią zachwycali. Za pierwszym razem dała nam dwa bliźniacze cielątka, byczka i jałówkę, za drugim – bliźniacze jałowki. Takie były początki wymarzonej hodowli Canoca. Staruszka i jej syn, pamiętając o swojej niedbałości, strzegli krowy jak księżniczki, nie odstępowali na krok, chronili jak źrenicę własnego oka, pielęgowali jej kremowobiałą sierść, dawali najlepszą paszę i wychwalali ją przed każdym, kto zjawiał się w okolicy. Srebrnej Krowie było tam dobrze i ojciec pozwolił jej zostać, lecz ledwie odstawiono od niej cielątka, zabrał je na wysokie hale, z dala od niebezpiecznych granic.

Następnego dnia przybysz z Nizin pojawił się w naszym Kamiennym Domu. Słyszając, że Canoe wita go uprzejmie, nasi domownicy zaakceptowali go bez wahania, nakarmili, dali stary płaszcz i słuchali jego opowiadań. W zimie każdy jest rad nowym opowieściom.

–Opowiada jak nasza kochana Melle – szepnęła Rab ze łzami w oczach. Ja nie płakałem, ale jego głos mnie także się podobał. O tej porze roku właściwie nie ma tyle pracy, by potrzebny był pomocnik, lecz obyczaje Wyżyn nakazują, by pomagając potrzebującemu, ocalić jego dumę, dać mu pracę choćby symboliczną – o ile nie zdradzi swej przynależności do wrogiej posiadłości, w którym to wypadku pewnie już by leżał martwy na naszej granicy. Było jasne, że Emmon kompletnie się nie zna na koniach, owcach, bydło i w ogóle pracach gospodarskich wszelkiego rodzaju; ale oczyścić uprzęż potrafi każdy. Więc powierzono mu czyszczenie uprzęży, co czynił – od czasu do czasu. Ratowanie jego dumy nie było trudnym zadaniem.

Na ogół siadywał ze mną, albo ze mną i Gry, w kącie wielkiego paleniska, a prądki siedzące naprzeciwko nuciły długie, ciche pieśni. Opowiedziałem już, jak lubiliśmy z nim rozmawiać. Przyjemna była sama świadomość, że pochodził ze świata, gdzie nasze troski nie miały żadnego sensu, a naszych ponurych pytań nikt sobie nie zadawał.

Kiedy dotarliśmy do kwestii mojej opaski i opowiedziałem, że ojciec zapieczętował mi oczy, ostrożność nie pozwoliła mi pytać dalej. Potrafił poznać bagno po chlupocie, jak mawiamy na Wyżynach. Ale od domowników się dowiedział, że oczy Orreca zostały zapieczętowane, ponieważ posiada on dziki dar, zdolny unicestwić wszystko i wszystkich stojących mu na drodze, czy tego chce, czy nie. Usłyszał także, jestem pewien, o Ślepym Caddardzie i o tym, jak Canoe najechał Dunet, może nawet o śmierci mojej matki. Wszystko to musiało nadszarpnąć jego niewiarę, a jednak rozumiem, że mogło się mu wydać przesadami ciemnego wiejskiego ludu, uwikłanego we własne lęki i straszącego się opowieściami o czarach.

Emmon polubił Gry i mnie; było mu nas żal i wiedział, jak bardzo cenimy jego towarzystwo; chyba sobie wyobrażał, że może zrobić dla nas coś dobrego – oświecić nas. Gdy sobie uświadomił, że choć oczy zapieczętował mi ojciec, z własnej woli godziłem się

na noszenie opaski, był wstrząśnięty.

–Sam to zrobiłeś?! Chyba oszalałeś! Nie masz w sobie nic złego. Nie mógłbyś skrzywdzić muchy, nawet gdybyś wpatrywał się w nią przez cały dzień!

On był mężczyzną, ja chłopcem. On był złodziejem, ja człowiekiem uczciwym. On widział świat, a ja nie, ale to ja znałem zło lepiej niż on.

–Nie ma we mnie zła – powiedziałem.

–No, odrobinka zła istnieje w najlepszych z nas, więc lepiej się do niego przyznać, pogodzić się z nim, a nie pielęgnować, by gniło w ciemnościach.

Jego rada płynęła z dobrego serca, lecz była zarazem obraźliwa i bolesna. Nie chcąc odpowiedzieć ostro, wstałem, zawołałem Wronie i wyszedłem. A wychodząc, usłyszałem, jak Emmon mówi do Gry:

–Ech, całkiem jakbym widział jego ojca!

Nie wiem, co mu odrzekła, ale nigdy więcej nie próbował udzielać mi rad co do opaski.

Najbezpieczniejszym tematem naszych rozmów było ujeżdżanie koni. Emmon nie znał się na koniach, lecz widywał piękne sztuki w miastach Nizin i powiedział, że nigdy nie spotkał tak dobrze ujeżdżonych jak nasze, nawet Deresza i Siwosz, o Gwiazdce nie wspominając. Kiedy pogoda nie była zbyt paskudna, wychodziliśmy i Gry chwaliła się wszystkimi sztuczkami i krokami, które wypracowały wspólnie z Gwiazdką, a ja znałem tylko z jej opisów. Słyszałem pochwalne i pełne podziwu okrzyki Emmona, starałem się wyobrazić sobie Gry i klacz – ale przecież klaczy nigdy nie widziałem. I nie widziałem Gry takiej, jaką się teraz stała.

Czasami kiedy Emmon mówił do Gry, w jego głosie pojawiał się ton, który drażnił mi ucho: łagodność, przymilność, niemal pieśczoć. Na ogół zwracał się do niej jak mężczyzna do dziecka, lecz czasami wydawało się, że mówi do kobiety.

Niewiele mu z tego przychodziło. Odpowiadała mu jak dziewczynka, z prostotą i bez zrozumienia. Lubiała go, ale nie ceniła. Gdy nad górami przechodziły słoty, wichry i zadymki, zostawaliśmy w kącie przy piecu. Skończyły się nam tematy do rozmowy, bo Emmonowi kiepsko szło odmalowywanie życia na Nizinach, więc pewnego dnia Gry poprosiła mnie o opowieść. Lubiała historie o bohaterach z „Chamhan”, więc opowiedziałem o Hamnedzie i jego przyjacielu Omnanie. Potem, zachęcony uwagą słuchaczy – bo

prządki przestały śpiewać, a niektóre nawet zatrzymały kołowrotki – wyrecytowałem wiersz z pism Świątyni Raniu, ten spisany przez matkę. Tam, gdzie pamięć ją zawiodła, zostawiła wolne miejsca, a ja wypełniłem je własnymi słowami, dbając o zachowanie skomplikowanego metrum. Za każdym razem, gdy je czytałem, moje serce śpiewało; ten wiersz brał mnie w posiadanie, śpiewał moimi ustami. Skończyłem i po raz pierwszy w życiu usłyszałem to milczenie, które jest najśłodszą nagrodą dla wykonawcy.

–Na wszystkie imiona! – powiedział Emmon z szacunkiem.

Prządki wydały miły, cichy pomruk podziwu.

–Skąd znasz tę opowieść, tę pieśń...? – pytał Emmon. – Ach, oczywiście od matki... Ona ci wszystko opowiedziała? A ty zapamiętałeś?

–Zapisała to dla mnie – oświadczyłem bez namysłu.

–Zapisała? Ty umiesz czytać? Ale chyba nie w opasce!

–Umiem czytać, ale nie w opasce.

–Jaką musisz mieć pamięć!

–Pamięć to oczy ślepcy – odparłem z pewną złościwością, czując, że jestem atakowany i że powinienem się lepiej bronić.

–I to ona nauczyła cię czytać?

–Gry i mnie.

–Ale co wy macie do czytania w tych górach? Nigdy tu nie widziałem żadnych książek.

–Napisała dla nas książki.

–Na wszystkie imiona! Słuchajcie, mam książkę... dostałem w mieście na dole. Dźwigałem ją przez całą drogę, sądząc, że komuś się przyda. Tam wyżej to już chyba nikomu, co? Ale może wam. Zaraz przyniosę.

Wkrótce powrócił i włożył w moje dłonie małe pudełko, głębokie na palec. Wieczko łatwo się uniosło. Pod nim zamiast otworu poczułem powierzchnię podobną do jedwabiu lub płatka kwiatu. Było tam wiele płatków, zebranych na jednej krawędzi, tak jak w książce zrobionej przez moją matkę, delikatnych i cienkich, a jednak sztywnych, tak że łatwo je było odwracać. Moje palce dotykały ich z nabożeństwem. A oczy pragnęły na nie spojrzeć, ale oddałem książkę Emmonowi.

–Poczytaj mi trochę – poprosiłem.

–Masz, Gry, przeczytaj – odparł natychmiast.

Usłyszałem, że Gry odwraca kartki. Przesylabizowała parę

słów i dała za wygraną.

–To wygląda całkiem inaczej od tego, co napisała Melle – powiedziała. – Jest małe, czarne, bardziej proste i wszystkie litery wyglądają podobnie.

–To druk – oznajmił Emmon uczenie, ale kiedy usiłowałem się dowiedzieć, co to znaczy, niewiele z niego wyciągnąłem. – To robią kapłani. Mają prasy, takie jak w tłoczni win, wiecie...

Gry opisała mi tę książkę: na zewnątrz skóra, pewnie cielęca, twarda i lśniąca, na brzegach wytłaczana w złote liście, na grzbiecie, gdzie liście się łączą, jest jeszcze więcej złotych liści i słowa wytłoczone na czerwono, a na krawędziach liści prawdziwe złoto.

–Jest bardzo, bardzo piękna – dodała. – Musi być cenna.

I oddała ją Emmonowi, co poznałem po jego słowach:

–Nie, to dla ciebie i Orreca. Przeczytajcie ją, jeśli potraficie.

A jeśli nie, może pewnego razu zjawi się tu ktoś, kto umie czytać?

Podziękowaliśmy i wtedy znowu włożył mi książkę w dłoń.

Zatrzymałem ją. Rzeczywiście, była cenna.

Ujrzałem ją przy najwcześniejszym, najbardziej szarym świetle poranka – złote liście, czerwone słowo „Przemiany” na grzbiecie; otworzyłem ją i zobaczyłem papier (który nadal uważałem za niewiarygodnie cienką tkaninę), wspaniałe, wielkie, śmiałe i ozdobne litery strony tytułowej, mały czarny druk, literki gęste jak mrówki rojące się na białych liściach... Liczne jak mrówki. Przypomniałem sobie mrowisko na ścieżce nad Jesionowym Potokiem, mrówki krzątające się wokół własnych spraw, przypomniałem sobie, jak uderzyłem w nie ręką, okiem, słowem i wolą, a one nadal zajmowały się swoimi sprawami, i jak zamknąłem oczy... zamknąłem i otworzyłem. Książka leżała przede mną. Była otwarta. Przeczytałem jeden wers: „Więc w sercu potajemnie przysiędze zadał kłam”. To była poezja, historia opisana wierszem. Z wolna wróciłem do pierwszej kartki i zacząłem czytać.

Wronia zmieniła pozycję u moich stóp i podniosła głowę.

Spojrzałem na nią. Zobaczyłem średniego psa o krótkiej, kędzierzawej czarnej sierści, z długą mordką, wysokim czołem, przejrzystymi, skupionymi, ciemnobrązowymi oczami, które wpatrywały się w moją twarz.

Zapomniałem wyprosić ją z pokoju, zanim zdjąłem opaskę.

Wronia usiadła, nie odrywając spojrzenia od moich oczu.

Była wstrząśnięta, ale zbyt godna i odpowiedzialna, by okazać to

w jakikolwiek sposób oprócz tego intensywnego, zdziwionego, wiernego spojrzenia.

–Wronia – odezwałem się drżącym głosem i wyciągnąłem rękę do jej pyska. Powąchała ją. Tak, to byłem ja.

Ukląknęłam i przytuliłam ją. Nieczęsto pozwalaliśmy sobie na wybuchy uczucia, ale przytuliła czoło do mojej piersi i tak na chwilę znieruchomiła.

–Nigdy cię nie skrzywdzę – obiecałem.

Wiedziała o tym. Jednak obejrzała się na drzwi, jakby chcąc mi powiedzieć, że choć tak jest o wiele przyjemniej, jest gotowa poczekać na zewnątrz, gdyż mamy to w zwyczaju.

–Zostań – powiedziałem.

Położyła się przy krześle, a ja znów zająłem się książką.

Niedługo potem Emmon odszedł. Gościnność Canoca nie dopuszczała jakichkolwiek uchybień, ale stało się jasne, że zaczyna mu jej brakować. A trzeba przyznać, że na przednówku w Kamiennym Domu brakowało wszystkiego – kury się nie niosły, kiełbasy i szynki zostały już dawno zjedzone, nie było już bydła rzeźnego. Żywiliśmy się głównie owsianką i suszonymi jabłkami; naszym jedynym mięsiwem i smakołykiem były świeże lub wędzone pstrągi lub trocie łowione w Strudze czy Jesionowym Potoku. Usłyszawszy nasze opowieści o wielkich, bogatych posiadłościach w Carrantagach, Emmon pewnie doszedł do wniosku, że tam znajdzie lepsze wyżywienie. Mam nadzieję, że tam dotarł. Mam nadzieję, że doświadczył na sobie działania darów.

Przed odejściem odbył z Gry i ze mną poważną rozmowę – na tyle poważną, na ile to możliwe w wypadku kogoś tak lekko traktującego życie i cudzą własność. Powiedział, że powinniśmy opuścić Wyżyny.

–Co was tu czeka? Gry, nie spełnisz życzenia matki i nie będziesz zwabiać zwierzyny myśliwym, więc uznają cię za bezużyteczną. Orrec, ciągle chodzisz w tym przeklętym bandażu, więc naprawdę jesteś bezużyteczny, bo w obejściu nie da się tak żyć. Ale gdybyś zeszła w Niziny z tą twoją kłaczą i pokazała, czego ją nauczyłaś, dostałabyś pracę u każdego hodowcy, w każdej stajni.

A ty, Orrec, skoro tak umiesz zapamiętać historie i pieśni, i potrafisz układać własne... to umiejętność ceniona we wszystkich miastach, małych i dużych. Ludzie schodzą się, żeby słuchać bazarza i śpiewaka, i dobrze mu płacą, bogacze dają mu miejsce w swoich domach, by się nim popisywać. A jeśli będziesz musiał przez całe

życie zasłaniać oczy... ha, niektórzy wielcy poeci i śpiewacy byli ślepcami. Choć na twoim miejscu przejrzałbym na oczy, zobaczyłbym, co mam w zasięgu ręki.

I roześmiał się.

Pewnego jasnego kwietniowego dnia odszedł, bez wątpienia zawadiacko machając ręką na pożegnanie, w porządnym ciepłym płaszczu Canoca i z jego starą sakwą, w której spoczywały srebrne łyżki z naszego kredensu, jaspisowa brosza, wielki skarb Rab, i wysadzana srebrem uzda z naszej stajni.

–Nigdy jej nie doczyścił – powiedział Canoe, ale bez większej goryczy. Jeśli się przyjmuje złodzieja, należy się spodziewać strat. Nie wiadomo, co można zyskać.

Przez długie zimowe miesiące, które z nami spędził, Gry i ja nie rozmawialiśmy jak kiedyś, całkiem szczerze. O pewnych sprawach w ogóle nie wspominaliśmy. Zima to czas zawieszenia, oczekiwania. Teraz wszystko, co powstrzymywaliśmy, nagle wybuchło.

–Gry, widziałem Wronie – powiedziałem.

Wronia zabębniła ogonem, słysząc swoje imię.

–Zapomniałem ją wypuścić z pokoju. Spojrzałem w dół i ją zobaczyłem, a ona zobaczyła, że ją widzę. No i... od tego czasu... już jej nie wyganiałem.

Gry zastanawiała się długo.

–Więc myślisz, że... to bezpieczne?

–Nie wiem, co myśleć.

Milczała zadumana.

**–Myślę, że kiedy... kiedy mój dar się znarowił, kiedy straci-
łem nad nim panowanie... usiłowałem go użyć... ciągle się stara-
łem i nie mogłem. To mnie rozgniewało i zawstydziło, a ojciec
wciąż mnie zmuszał i zmuszał, a ja się starałem i coraz bardziej się
złościłem i wstydziłem, aż dar się znarowił i zdziczał. Więc gdybym
nigdy go nie chciał użyć, może... może wszystko byłoby dobrze.**

Gry nad tym także się zastanowiła.

**–Ale kiedy zabiłeś żmiję... wtedy nie starałeś się użyć daru,
prawda?**

**–Owszem, starałem się. Przez cały czas się martwiłem, że go
nie mam. Ale czy to ja zabiłem żmiję? Słuchaj, Gry, zastanawia-
łem się nad tym tysiące razy. Uderzyłem, a razem ze mną uderzyli
Alloc i ojciec. Alloc uważał, że to ja, bo pierwszy ją zobaczyłem.
A ojciec... – urwałem.**

–Chciał, żebyś to był ty?

–Może... może chciał, żebym myślał, że to ja ją odczyliłem.

Żebym był bardziej pewny siebie. Nie wiem. Powiedziałem mu...

powiedziałem, że zrobiłem wszystko, co miałem zrobić, ale nie

czułem, żebym cokolwiek osiągnął. I usiłowałem go zmusić, żeby

mi powiedział, jak to jest, kiedy się używa mocy. Nie potrafił.

A przecież to się wie, kiedy moc przez ciebie przechodzi! Wiem, że

moc wstępuje we mnie, kiedy układam wiersz. Wiem, jak to jest!

Ale gdy robię to, czego uczy mnie ojciec, gdy usiłuję użyć tamtej

mocy, oka, ręki, słowa i woli, nic się nie dzieje, nic! Wtedy nic nie

czuję!

–Nawet... nawet tam, nad Jesionowym Potokiem?

Zawahałem się.

–Nie wiem. Byłem taki zły. Na siebie, na ojca... Dziwne. Tak

jakby pochwyciła mnie burza, poryw wichru. Usiłowałem uderzyć

i nic się nie działo, ale kiedy zerwał się wichur i otworzyłem oczy,

jeszcze nie wyciągnąłem ręki, a całe wzgórze wiło się, roztapiało

i czerniało. Wiesz, mnie się wydało, że tam stał ojciec, że on też się

kurczy i roztapia... ale to było drzewo. Ojciec stał za moimi plecami.

–A pies? – szepnęła Gry po chwili. – Hamneda.

–Książę się spłoszył, bo Hamneda rzucił się na niego. Wiem

tylko, że usiłowałem się utrzymać w siodle i nie pozwolić, żeby

Książę stanął dęba. Czy spojrziałem na psa? Nie pamiętam. Ale

ojciec siedział na Siwoszu. Za moimi plecami.

Nagle zamilkłem.

Podniosłem dłonie do oczu, jakby po to, by je zakryć, choć

zasłaniała je opaska.

–Czy możliwe... – zaczęła Gry, lecz nic dalej nie powiedziała.

–To robił ojciec. Za każdym razem.

–Ale...

–Wiedziałem. Od początku. Ale nie odważyłem się tak myś-

leć. Musiałem... musiałem wierzyć, że to byłem ja. Że mam dar.

Że ja to robiłem. Że zabiłem żmiję, psa, że mogę tworzyć chaos.

Musiałem w to uwierzyć. Musiałem uwierzyć, żeby inni w to uwie-

rzyli, żeby się mnie bali i trzymali z dala od granic Caspromantu!

Czy nie do tego służy dar? Nie po to istnieje? Nie tak działa? Czy

nie to robi brantor dla swojego ludu?

–Orrec... – odezwała się Gry i urwałem. – Co sądzi Canoe?

–spytała cicho.

–Nie wiem.

–Sądzi, że masz dar. Dziki dar. Nawet jeśli...

–Naprawdę? – wpadłem jej w słowo. – A może wie, że to był on, jego dar, jego moc, i tylko mnie wykorzystał, bo ja daru nie mam? Nie mogłem niczego odczytać, niczego i nikogo. Nadaję się tylko na straszycło. Strach na wróble. Lepiej omijajcie Caspromant z daleka! Omijajcie Ślepego Orreca, bo on niszczy wszystko, co zobaczy, jeśli nie będzie miał opaski! Ale to nieprawda, Gry. Nie zniszczyłbym niczego. Nie mogę! Widziałem matkę. Widziałem ją, kiedy umierała. Patrzyłem na nią. Nie zrobiłem jej krzywdy. I... książki... i Wronia... – Nie mogłem mówić dalej. Łzy, których nie uroniłem podczas czarnych lat, wezbrały we mnie, więc wypłakałem je wszystkie.

•

Tego dnia więcej nie rozmawialiśmy. Płacz mnie zmęczył. Gry pożegnała mnie lekkim pocałunkiem we włosy. Kazałem Wroni zaprowadzić mnie do pokoju. Na miejscu dotknąłem opaski, rozpalonej i przemoczonej, ugniatającej mi oczy. Zdjąłem ją wraz z mokrymi szmatkami. Było kwietniowe popołudnie, tak złotego światła nie widziałem od trzech lat. Patrzyłem na nie w otępieniu. Położyłem się, zamknąłem oczy i znów osunąłem się w ciemności. Gry powróciła następnego dnia koło południa. Stałem z opas-

ką na oczach w drzwiach, czekając, aż Wronia się wybiega, kiedy

nagle usłyszałem lekki stukot kopyt Gwiazdki na bruku.

Poszliśmy do warzywnika i sadu, daleko od domu. Usiedliśmy

na starym zwałonym drzewie, czekającym na porąbanie.

–Orrec... czy sądzisz... że nie masz daru?

–Wiem to.

–Więc chcę cię prosić, żebyś na mnie spojrział.

Długo nie mogłem się zdecydować, ale w końcu podniosłem

ręce i rozwiązałem opaskę. Spojrzałem na swoje ręce. Blask na

chwile mnie oślepił. Ziemia była pełna światła i cieni. Wszystko

lśniło, poruszało się, migotało. Podniosłem wzrok na Gry.

Była wysoka, miała pociągłą twarz, szczupłą, ogorzałą, wydat-

ne usta i ciemne oczy o bardzo jasnych białkach. Jej włosy lśniły

czernią, falujące i ciężkie. Wyciągnęła do mnie ręce. Wtulilem

twarz w jej dłonie.

–Jesteś piękna – wyszeptałem.

Pochyliła się, pocałowała moje włosy i znów się wyprostowała, poważna, surowa i czuła.

–Orrec, co my teraz zrobimy?

–Chcę na ciebie patrzeć przez cały rok. Potem się z tobą ożenię.

Zdumiała się; odchyliła głowę i parsknęła śmiechem.

–Dobrze! – powiedziała. – Dobrze! Ale co teraz?

–Co teraz?

–Co zrobimy teraz? Ja nie chcę używać daru, a ty...

–Nie mam czego używać.

–Więc kim jesteście?

Na to nie potrafiłem odpowiedzieć tak lekko.

–Muszę porozmawiać z ojcem – odezwałem się w końcu.

–Poczekaj chwilę. Dziś przyjechał ze mną mój ojciec. Chce się z nim spotkać. Matka wczoraj wróciła z Dolin. Mówi, że Ogge Drum pogodził się ze starszym synem, a pokłócił z młodszym. Plotka głosi, że planuje napaść, by odzyskać białe krowy, które, jak twierdzi, Canoe ukradł mu przed trzema laty. To znaczy, że chce napaść na nasze stado – albo wasze. Po drodze spotkaliśmy Alloca. Są teraz na waszych północnych polach. Radzą, co począć.

–A jakie miejsce w tych planach przypada mnie?

–Nie wiem.

–Co im przyjdzie ze stracha, którego wróble się nie boją?

Ale te wieści, choć niedobre, nie mogły zachmurzyć mego serca, bo widziałem ją, widziałem słońce na nielicznych kwiatach starych, usychających jabłonek i dalekie brązowe stoki gór.

–Muszę z nim porozmawiać – powtórzyłem. – A na razie... możemy się przejść?

Wstaliśmy. Wronia też wstała i przekrzywiła głowę z zatroskanym spojrzeniem, które mówiło: „A jakie miejsce w twoich planach przypada mnie?”.

–Ty idziesz z nami, Wroniu – powiedziałem, spuszczaając ją ze smyczy. I tak ruszyliśmy w dolinę, wzdłuż małego wartkiego strumyka, a każdy krok był radością i rozkoszą.

' Gry odeszła w porę, by dojechać do Roddmantu przed zmrokiem. Canoe wrócił nocą. Często, kiedy miał się tak spóźnić, nocował w tym czy tamtym gospodarstwie, gdzie witano go serdecznie, wmuszano w niego jedzenie i rozmawiano o pracy i troskach. Czasami, zanim zapieczętował mi oczy, jeździłem razem z nim.

W tych ostatnich latach zawsze wychodził wcześniej i wracał później, wyprawiał się dalej i pracował ciężej niż zwykle. Brał na siebie zbyt wiele. Wiedziałem, że będzie zmęczony, a po wieściach o Ogge Drumie w jeszcze gorszym nastroju niż zwykle. Ale i ja w końcu nabrałem odwagi.

Nie zauważyłem, kiedy Canoe wrócił i poszedł na górę. Rozpałiłem w kominie, bo wieczorem zrobiło się zimno. Zapaliłem świeczkę, skradzioną z kuchni, i zacząłem czytać „Przemiany” Deniosa.

Zdałem sobie sprawę, że w domu ucichło, a kobiety pewnie wyszły już z kuchni. Nałożyłem opaskę i poprosiłem Wronie, by zaprowadziła mnie do pokoju na wieży. Co ten biedny pies myślał o tym, że raz jestem ślepy, a raz nie?

Zapukałem do drzwi pokoju na wieży; nie słysząc odpowiedzi, zdjąłem opaskę i zajrzałem do środka. Lampka oliwna na kominiku dawała mdłe, przydymione światło. Palenisko wygasło i cuchnęło kwaśno, jakby od dawna nikt go nie używał. W pokoju było zimno. Canoe spał twardo na łóżku, na wznak, w ubraniu, jakby zasnął w chwili, gdy się położył. Przykrył się nie kocem, lecz brązowym szalem matki, frędzle zaciskał w pięści przytulonej do piersi. Poczułem to samo ukłucie w sercu co kiedyś, gdy namacałem szal na wezglowiu. Ale teraz nie mogłem sobie po-

zwolić na współczucie. Miałem przed sobą cel i musiałem oszczędzić siły.

–Ojciec – odezwałem się, a potem zawołałem go: – Canoe!

Poruszył się, podniósł na łokciu, osłonił oczy przed światłem i spojrzał nieprzytomnie.

–Orrec?

Zbliżyłem się, żeby mógł mnie zobaczyć.

Potał oczy i spytał ze zdziwieniem:

–Gdzie twoja opaska?

–Nie zrobię ci krzywdy, ojciec.

–Nigdy tak nie sądziłem – powiedział nadal tym samym zdziwionym tonem.

–Nigdy? Więc nigdy się nie bałeś mojego dzikiego daru?

Usiadł na łóżku. Potrząsnął głową i podrapał się po niej.

W końcu znowu na mnie spojrzał.

–O co chodzi?

–Chodzi o to, ojciec, że nigdy nie miałem dzikiego daru. Praw-

da? W ogóle nie mam żadnego daru. To nie ja zabiłem tę żmiję i psa, i w ogóle. To ty.

–Co...?

–Kazałeś mi wierzyć, że mam dar, nad którym nie panuję

–byś mógł się mną posłużyć. Wtedy nie musiałbyś się mnie wstydzić, bo nie mam daru, bo przynoszę hańbę twemu rodowi, bo jestem synem calluki!

Wstał, ale nic nie mówił i tylko patrzył na mnie ze zdumieniem.

–Gdybym miał dar, czy nie użyłbym go w tej chwili? Nie sądzisz, że pokazałbym ci te wspaniałe rzeczy, do których jestem zdolny, tę moc zdolną zabić? Ale ja jej nie mam. Nie dałeś mi jej. Dałeś mi tylko jedno – trzy lata ślepoty!

–Syn calluki? – szepnął z niedowierzaniem.

–Myślisz, że jej nie kochałem? Ale nie pozwoliłeś mi jej widzieć... przez ten rok... tylko raz... gdy umierała... bo musiałeś podtrzymać to kłamstwo!

–Nigdy cię nie okłamałem – odparł. – Myślałem...

Urwał. Nadal był zbyt zaskoczony, zbyt wstrząśnięty, by się rozgniewać.

–A potem nad Jesionowym Potokiem... wierzysz, że to ja zabiłem?

–Tak. Ja nie mam takiej mocy.

–Masz! I wiesz o tym! Wyznaczyłeś granicę w jesionowym zagajniku. Unicestwiłeś tych ludzi w Dunecie. Masz dar, masz dar odczyniania! A ja nie. I nigdy nie miałem. Oszukałeś mnie. Może oszukiwałeś samego siebie, bo nie mogłeś znieść, że syn ci się tak nie udał. Nie dbam o to. Dłużej nie będziesz mnie wykorzystywać. Ani moich oczu, ani ślepoty. Nie są twoje, lecz moje. Nie pozwolę, żebyś dłużej zwodził mnie kłamstwami. Nie pozwolę ci dłużej mnie hańbić. Znajdź sobie innego syna, bo ten nie jest dla ciebie dość dobry.

–Orrec – powiedział takim głosem, jakbym uderzył go w brzuch.

–Masz! – Cisnąłem mu pod stopy opaskę. Zatrzasnąłem drzwi i zbiegłem po kręconych schodach. Kompletnie zaskoczona Wronia puściła się za mną, szczekając ostrzegawczo. Dogoniła mnie na dole i złapała w zęby mój kilt. Pogłaskałem ją, ale nie dała się uspokoić. Warknęła. Wróciła ze mną do pokoju, poło-

żyła się przed drzwiami. Nie wiem, czy broniła wstępu innym, czy wyjścia mnie.

Rozpaliłem ogień w kominku, zapaliłem świeczkę i usiadłem przy stole. Książka leżała otwarta, dzieło wielkiego poety, skarb dający radość i pocieszenie. Jednak jej nie czytałem. Odzyskałem oczy, ale co miałem z nimi zrobić? Na co mi się mogły przydać, na co mogłem się przydać ja? Jeśli nie jestem synem mego ojca, to kim jestem?

17

Następnego dnia wczesnym rankiem zszedłem na dół bez opaski. Tak jak się obawiałem, na mój widok kobiety pierzchły z krzykiem. Rab nie uciekła, pozostała dzielnie, lecz powiedziała drżącym głosem:

–Orrec, straszysz kuchenne.

–Nie bójcie się – odrzekłem. – Czego się lękacie? Nie skrzywdzę was. Czy boisz się Alloca? Ma większy dar niż ja! Powiedz im, żeby się uspokoiły i wróciły.

Właśnie wtedy Canoe zszedł z wieży. Spojrzał na nas otępiały-

mi oczami.

–Rab, nie musisz się go bać. Musisz zaufać jego słowu, tak jak ja zaufałem. – Mówił z wysiłkiem. – Orrec, wczoraj nie zdążyłem ci tego powiedzieć. Ternoc uważa, że Drummant zagraża jego białemu bydłu. Dziś tam pojedę i razem z nim będę strzegł granic.

–Mogę pojechać z wami – zaproponowałem.

Zawahał się, a potem, z tym samym tępym spojrzeniem, powiedział:

–Jak chcesz.

Kucharki dały nam chleba z serem, który schowaliśmy do kieszeni, żeby jeść w drodze. Nie miałem broni z wyjątkiem laski Ślepego Caddarda, niewygodnej podczas jazdy. Canoe rzucił mi swój długi myśliwski sztylet, a ja, wychodząc, odwiesiłem laskę w korytarzu na stare miejsce. Ojciec osiodłał Księcia, a ja Siwosza, bo Deresza od marca została zwolniona z obowiązków. Alloc czekał na nas na dziedzińcu. Ojciec kazał mu trzymać się blisko domu, strzec go i w razie napadu zwołać wszystkich mężczyzn zdolnych

do walki. Alloc wytrzeszczył na mnie oczy, ale szybko odwrócił wzrok i nie spytał o opaskę.

Canoe i ja wyruszyliśmy szybkim tempem do Roddmantu –lub raczej najszybszym tempem, do jakiego był zdolny stary Siwosz. Przez całą drogę nie odzywaliśmy się do siebie.

Odzyskana moc mnie upoiła. Jakąż radością jest siedzieć w siodle bez obawy, że się spadnie, widzieć mijany cwałem jasny pejzaż, ocierać z oczu łzy, które wycisnął wiatr. Spieszyć z pomocą przyjacielowi, jechać na spotkanie niebezpieczeństwa, jak mężczyzna. Jechać u boku odważnego człowieka, tak – odważnego, bez względu na to, kim był. Siedział wyprostowany na pięknym kasztanie i patrzył wprost przed siebie.

Dotarliśmy do południowo-zachodniej granicy Roddmantu i spotkaliśmy Ternoca. Przybył tu jeszcze przed świtem. W nocy syn wieśniaka przyniósł mu wiadomość przekazywaną z jednego gospodarstwa do drugiego, że oddział konnych zbliża się przez Geremant w naszym kierunku leśną ścieżką.

Ternoc i jego ludzie spojrzeli na mnie i tak jak Alloc – nie pytali o nic. Niewątpliwie myśleli lub łudzili się, że nauczyłem się korzystać z daru.

–Może stary Erroy zauważy Drumów i zrobi z nich korkociąg – rzekł Ternoc z czarnym humorem.

Canoe nie odpowiedział. Czujny, lecz odległy, jakby przed oczami stała mu jakaś wizja, odzywał się tylko wtedy, gdy Ternoc pytał o drogę.

Było nas w sumie ośmiu, a z granicznych gospodarstw miało nadjechać jeszcze czterech. Plan Ternoca zakładał, że zajmiemy pozycje dość blisko siebie, tak by się słyszeć. W miejscach, w których najprędzej należało się spodziewać ludzi Druma, mieli stanąć Ternoc i Canoe. Ci z nas, którzy mieli tylko nóż albo dzidę, mieli stanąć na flankach, a nasi dwaj łucznicy – z tyłu.

I tak rozproszyliśmy się po wilgotnych łąkach i pagórkach na skraju lasu. Z lewej strony miałem dwóch gospodarzy Ternoca, z prawej Canoca. Ja byłem na wzgórzu, skąd roztaczał się dobry widok na całą okolicę. Widziałem także Ternoca na wzniesieniu za Canokiem. Słońce wspięło się już wysoko, choć dzień był szary i zimny. Od czasu do czasu siąpiła mżawka. Zsiadłem z Siwosza, żeby mógł wypocząć i poskubać trawę, a sam obserwowałem południe, zachód, północ. Obserwowałem! Patrzyłem! Przydawałem

się do czegoś, nie byłem bezużytecznym balastem, ślepcem prowadzonym przez dziewczynę i psa! Co z tego, że nie mam daru? Mam oczy, gniew i nóż.

Godziny wlokły się sennie. Zjadłem do ostatniej okruszyny chleb i ser, żałując, że nie wziąłem z sobą porcji dwukrotnie większej. Trzykrotnie.

Godziny wlokły się sennie, i mnie zachciało się spać. Czułem się jak skończony głupiec, czekający na nie wiadomo co.

Godziny wlokły się sennie. Słońce chyliło się już ku wzgórzom. Chodziłem tu i tam, deklamując zapamiętane pierwsze strofy „Przemian” i religijne poematy, które zapisała matka. Byłem coraz bardziej głodny.

Niewielka postać w czarnym płaszczu w dolinie po lewej – gospodarz – siedziała na kępie trawy. Obok pasł się koń. Niewielka postać w czarnym płaszczu na skraju lasu po prawej, mój ojciec, siedziała na wysokim kasztanie, kryjąc się i wyłaniając z lasu.

Między drzewami dostrzegłem zbliżające się inne małe postaci, pieszych. Wytężyłem wzrok, zamrugałem i krzyknąłem na całe gardło:

–Canoe! Przed tobą!

Puściłem się pędem do Siwosza i tak go przestraszyłem, że się spłoszył i nie mogłem złapać cugli. Niezgrabnie na niego wsoko-

czyłem i pogałem w dół, bębniąc piętami w jego boki.

Straciłem z oczu Canoca i ludzi, których zobaczyłem – czy ich zobaczyłem? Siwosz pośliznął się i potknął na zbyt stromym dla niego skłonie. Kiedy wreszcie dotarliśmy na równy teren, ten okazał się błotnisty. Popędziłem konia ku drzewom i w końcu dotarliśmy na bardziej suchy grunt. Ledwie sobie uświadomiłem, że Siwosz utyka, kiedy pomiędzy drzew wyskoczył mi na drogę człowiek. Właśnie naciągał kuszę, patrząc w prawo. Natarłem na niego z rykiem. Stary ogier, nietrenowany do walki, chciał go wyminać, lecz zrobił to niezdarnie i powalił go lewym zadnim kopytem, galopując pomiędzy drzewa. Minęliśmy coś na ziemi, ciało człowieka rozłupane jak melon. I drugie ciało – jak worek śmieci w czarnym płaszczu. Siwosz gnał przez las, na otwarty teren. Tuż przed sobą zobaczyłem ojca. Zawracał Księcia w stronę lasów. Lewą rękę trzymał wyprostowaną i wysoko wzniesioną, a twarz rozświeślała mu wściekłość i radość. Nagle jego twarz się zmieniła, przez chwilę spoglądał w moją stronę, choć nie wiem,

czy mnie widział; potem pochylił się i ześliznął z siodła, bokiem i do przodu. Sądziłem, że zrobił to umyślnie, i nie rozumiałem przyczyny. Księżę stał tak, jak go nauczono. Usłyszałem jakiś krzyk za sobą i po lewej, ale już pędziłem ku ojcu. Zeskoczyłem z Siwosza i podbiegłem. Leżał na podmokłej trawie tuż przy koniu, a spomiędzy jego żeber wystawała strzała z kuszy.

Zjawił się Ternoc i jego ludzie, a także jeden z naszych. Krzyczeli. Niektórzy pobiegli w las. Ternoc ukląkł obok mnie. Lekko uniósł głowę mojego ojca i powiedział:

–Och, Canoe, stary, o nie, nie zrobisz tego, nie.

–Czy Ogge nie żyje? – spytałem.

–Nie wiem. Nie wiem. Sprowadź kogoś do pomocy.

Ludzie nadal krzyczeli.

–To on, to on! – wrzasnął jeden, biegnąc ku nam. Księżę zarżał i stanął dęba. – Ten gad, ten tłusty gad, cały rozpruty, martwy, odczyniony! A razem z nim jego bękart, ten złodziej bydła, jego syn!

Podszedłem do Siwosza. Stał, opierając ciężar ciała na prawej przedniej nodze. Zaprowadziłem go do Księcia, żeby móc trzymać cugle obu jednocześnie.

–Możemy go posadzić na źrebaku? – spytałem.

Ternoc podniósł głowę, wciąż oszołomiony.

–Chcę go zawieźć do domu – powiedziałem. – Możemy go

wsadzić na źrebaka?

Znowu rozległy się krzyki i nastąpiło zamieszanie, aż wreszcie

znaleziono deskę, która służyła jako kładka przerzucona przez

strumień. Położyli na niej Canoca i tak go zanieśli przez wzgórze

do Roddmantu. Położyli go na plecach, bo strzała przeszła pierś

i sterczała z niej na stopę. Szedłem u jego boku. Twarz miał spo-

kojną i skupioną. Nie chciałem mu zamknąć oczu.

W

Cmentarz w Caspromancie znajduje się na zboczu wzgórza na południe od Kamiennego Domu, z widokiem na brązowe stoki góry Airn. Pochowaliśmy Canoca obok Melle. Otuliłem ciało jej brązowym szalem. Nie Parn, lecz Gry przewodziła lamentowi.

Oddział Ogge'a, równie źle dowodzony jak tamto polowanie na dzika, rozpadł się na dwie grupy; jedna zabłąkała się w Gere-mancie i dotarła na nasze granice, gdzie zdołała jedynie podpalić stodołę; nasi gospodarze ich przepędzili. Ogge i Harba trzymali się leśnej ścieżki, a towarzyszyło im dziesięciu ludzi, w tym pięciu kuszników. Canoe unicestwił Ogge'a, jego syna i jednego kusznika. Reszta uciekła. Syn gospodarza z Roddmantu zapędził się za nimi zbyt głęboko w las. Zanim go trafili, ugodził jednego włócznią. Tak więc napaść zakończyła się śmiercią pięciu ludzi.

Po jakimś czasie z Drummantu nadeszła wieść, że Denno i jej syn Sebb pragną zakończenia tej waśni i proszą Caspromant o przysłanie białego cielaka, jak obiecał Canoe, na znak zgody. Posłaniec zjawił się z pięknym dereszowatym żrebakiem. Pojechałem z grupą, która odprowadziła do Drummantu białego cielaka.

Dziwnie było zobaczyć komnaty, w których kiedyś byłem, choć ich nie widziałem, twarze znane mi tylko jako głosy. Ale w tamtym czasie nic nie mogło mnie poruszyć. Załatwiłem sprawę

i wróciłem.

Dereszowego źrebaka podarowałem Allocowi. Teraz dosiadałem Księcia, bo podczas galopu po wzgórzu Siwosz okulał. Nie dało się tego wyleczyć i stary ogier razem z Deresza pasł się spokojnie na przydomowym wybiegu. Odwiedzałem ich codziennie

z miarką owsa. Oba konie cieszyły się swoim towarzystwem i często zastawiałem je stojące bok przy boku, z chrapami muskającymi brzuchy, oganiające się ogonami przed majowymi muchami. Lubiałem na nie patrzeć.

Wronia towarzyszyła mi podczas moich pieszych i konnych wypraw, biegając swobodnie, spuszczonej ze smyczy.

Na Wyżynach tradycja nakazuje, by przez pół roku po śmierci bliskiego nie dzielić majątku, nie zawierać małżeństw, nie dokonywać wielkich przedsięwzięć ani zmian. Wszystko ma pozostać tak, jak było, jeśli to tylko możliwe. Potem rozdziela się spadek. Nie jest to zły zwyczaj. W sprawie zawarcia pokoju z Drummantem musiałem zadziałać; w innych nie.

Alloc objął obowiązki ojca w zarządzaniu posiadłością, a ja miejsce Alloca jako jego pomocnika. Alloc sądził, że jest inaczej, tylko pomaga synowi brantora. Ale to on wiedział, co trzeba zrobić i w jaki sposób. Ja od trzech lat pozostawałem beczynny, a przedtem byłem dzieckiem. To Alloc znał ludzi, ziemię, zwierzęta. Nie ja.

Gry nie przyjeżdżała już do Caspromantu. Odwiedziłem Rodmant dwa lub trzy razy w ciągu dwóch tygodni, a wtedy towarzyszył nam Ternoc i Parn, jeśli była w domu. Ternoc za każdym razem witał mnie mocnym, ciepłym uściskiem i nazywał synem.

Kochał i podziwiał Canoca, opłakiwał go gorzko i chciał we mnie widzieć jego następcę. Parn była niespokojna i jeszcze bardziej małowówna. Z Gry rzadko rozmawialiśmy na osobności; była łagodna i milcząca. Od czasu do czasu wybieraliśmy się na konne przejażdżki – ona na Gwiazdce, ja na Księciu, by nasze młode wierzchowce wybiegały się na wzgórzach.

Lato było piękne, a żniwa obfite. W połowie października zbiory znalazły się w spichrzach. Przyjechałem do Roddmantu i spytałem Gry, czy wybierze się ze mną na przejażdżkę. Osiodłała swoją śliczną, lekkonogą klaczkę i ruszyliśmy w ozłoconą promieniami słońca dolinę.

Przy wodospadzie wypuściliśmy konie na trawę, jeszcze soczystą i zieloną. Sami usiedliśmy na kamieniach nad wodą, w świetle słońca. Gałęzie wierzb kołysały się na wietrze od wodospadu. Ptak śpiewający melodię o trzech nutach milczał.

–Może jeszcze powinniśmy poczekać ze ślubem – odezwałem się. – Ale uważam, że nie ma co zwlekać.

–Tak – zgodziła się.

–Chcesz tu zostać?

–W Roddmancie?

–Lub Caspromancie.

Po chwili spytała:

–A jeśli nie tu?

–Przyszło mi do głowy coś takiego: Caspromant nie ma branta. Alloc zarządza posiadłością. Mógłby się połączyć z Roddmanem, by znaleźć się pod opieką twego ojca. To by chyba obydwóm odpowiadało. Alloc ma w przyszłym miesiącu poślubić Rab. Razem zamieszkają w Kamiennym Domu Caspromantu. Może urodzi im się syn, który będzie miał dar...

–Skoro posiadłości mają się połączyć, mógłbyś zamieszkać tu z nami.

–Mógłbym.

–A chcesz?

–A ty chcesz?

Zamilkła.

–Co byśmy tu robili?

–To co teraz – powiedziała po chwili.

–Zgodziłabyś się wyjechać?

Nie spodziewałem się, że tak trudno będzie wypowiedzieć te

słowa. Brzmiały dziwniej, niż sądziłem.

–Wyjechać?

–Na Niziny.

Nie odpowiedziała. Spojrzała na nakrapianą słońcem, lśniąca wodę – i daleko poza nią.

–Emmon ukradł łyżki, ale może mówił prawdę – dodałem.

–Tutaj to, co umiemy robić, jest bezużyteczne, ale tam...

–To, co umiemy... – powtórzyła.

–Oboje mamy dar.

Zerknęła na mnie. Powoli, stanowczo skinęła głową.

–Możliwe też, że w Gorzkowodzie mam dziadka lub babkę

–ciągnąłem dalej.

Wtedy spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. To nigdy nie przyszło jej do głowy. Roześmiała się głośno.

–Ależ tak! I mógłbyś się nagle pojawić jakby nigdy nic i powiedzieć: Oto ja, wasz wnuk, czarownik! Och, Orrec. To takie dziwne!

–Oni też tak pomyślą. – Wyjąłem mały opal, który nosiłem na szyi. – Ale mam to. I pamiętam wszystko, co mi opowiedziała... chciałbym tam pojechać.

–Chciałbyś? – Oczy zaczęły jej błyszczeć. Zastanawiała się przez chwilę i spytała: – Myślisz, że moglibyśmy na siebie zarabiać? Tak jak powiedział Emmon? Bo będziemy musieli.

–No, spróbować zawsze można.

–Jeśli nie, będziemy obcymi wśród obcych.

To największa obawa ludzi z Wyżyn: znaleźć się między obcymi

–Ty będziesz trenować ich żrebaki, ja – recytować wiersze

Jeśli tamci ludzie nie przypadną nam do gustu, ruszymy dalej. Jeśli nijak nie będziemy mogli się do nich przekonać, wrócimy do domu

–Moglibyśmy dotrzeć aż na brzeg morza – powiedziała, tera; spoglądając już bardzo daleko przez słońce i rozkołysane wierzby
Potem zanuciła trzy tony, a ptak odpowiedział.

Wyruszyliśmy w kwietniu i tu zakończę naszą historię – na południowej górskiej drodze. Młodzieniec jedzie na wysokin kasztanie, młoda kobieta na jasnogniadej klaczce, czarny pie: biegnie przed nimi, a za nimi spokojnie podąża najpiękniejszy krowa na świecie. Bo to był właśnie mój ślubny dar od posiadłość

–Srebrna Krowa. Wydawał się niezbyt praktyczny, dopóki Pan nie przypomniała nam, że będziemy potrzebować pieniędzy

a w Dunecie dostaniemy za nią dobrą cenę, bo nadal pamiętaj;

tam białe bydło z Caspromantu.

–Może przypomną sobie także, co dali Canocowi – powiedzie

łem, a Gry odparła:

–Wtedy zrozumieją, że jesteś darem daru.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-25

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/